

Maria
Nurowska
Dwie miłości

10009657

Mimo przejmującego zimna Andrew Sanicki szedł ulicą w rozpiętym palcie, z rękami założonymi do tyłu. W pewnej chwili przystanął. To było dokładnie to miejsce, gdzie kilka lat temu Elizabeth wbiegła pod koła jego samochodu. Stała bezradnie na chodniku, a potem, nie rozglądając się na boki, ruszyła przez jezdnię. Z trudem udało mu się zahamować.

Zanim ją spotkał, wydawało mu się, że doszedł do takiego punktu, kiedy mężczyzna wie o sobie wszystko i nie planuje zmian. A jednak wiele się w jego życiu zmieniło. Ze stroniącego od ludzi, zamkniętego w sobie samotnika przemienił się nagle w męża i ojca i to napawało go dumą, dając jednocześnie poczucie niezwykłego szczęścia. Tak, nie bał się do tego przed sobą przyznać. Wydawało mu się, a nawet był pewien, że jego życie osiągnęło tę idealną równowagę, jaką daje satysfakcja w sprawach rodzinnych i zawodowych. Do tego dochodziły zmiany w kraju, które jeszcze pół roku temu wydawały się czymś niemożliwym. Za kilka tygodni Wiktor Juszczenko zostanie zaprzysiężony na prezydenta i Ukraina zmieni kurs, popłynie w stronę

Europy. Widział swoją ojczyznę jako olbrzymi okręt, który po latach trwania na mieliźnie obierał właściwą drogę. A więc naprawdę był szczęściarzem. Niepokoiło go tylko, że Elizabeth nie dawała żadnego znaku, ale najwidoczniej w lasach za Donieckiem jej komórka nie miała zasięgu. Powinna jednak już stamtąd wyjechać i najdalej za parę godzin odezwie się do niego. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że nie udało jej się odnaleźć męża. To tylko ten niezrozumiały upór, z jakim starała się go poszukiwać. Jeffrey Connery od dawna nie żył, ale ona nie chciała się z tym pogodzić. Podróż, w którą się wybrała w tajemnicy przed nim, niczego nie mogła tu zmienić. Zapewniała go przez telefon, że to już ostatnia próba, ale prawda była taka, że Elizabeth będzie poszukiwała swojego męża do końca życia. To jedna ze zbrodni reżimu Kuczmy, który swoim przeciwnikom politycznym odmawiał nawet prawa do godnego pochówku.

Miał nadzieję, że ona w końcu uwolni się od przeszłości. Bolało go, że nie potrafił jej pomóc. Być może to, co nie udało się jemu, uda się ich córce, której urodzenie zmusi Elizabeth do myślenia o nowej rodzinie i nieogładania się już za siebie. Jak mało kto zasługiwała na trochę szczęścia, a ta niewyjaśniona sprawa kładła się cieniem na jej życiu.

Stała mu w oczach jej szczupła, niewysoka postać. Ciemne, lekko wijące się włosy, zmienna, trudna do zapamiętania twarz, z której tak łatwo można było odczytywać uczucia i myśli. To wszystko stanowiło o niezwykłym uroku tej kobiety, któremu uległ już chyba w chwili, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył na lotnisku JFK w Nowym Jorku.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Komórka Elizabeth nadal milczała. Wiedział, że nie zatrzymała się w żadnym z hoteli w Doniecku, zdążył już to sprawdzić. Więc pewnie zanocowała w którymś z miasteczek po drodze. Oby jak najszybciej z powrotem znalazła się w zasięgu sieci. I żeby już wreszcie wróciła do domu. Dopiero wtedy się uspokoi. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak tylko na nią czekać. Zastanawiał się, czy nie wyjechać jej naprzeciw. Kiedy się tylko odezwie, coś takiego jej zaproponuje. Mogliby się spotkać w połowie drogi, u Borysa. Zostawił tam jeden samochód, potem się go jakoś ściągnie. Najważniejsze, żeby była już bezpieczna.

„Elizabeth! Odezwij się wreszcie!” - pomyślał z bólem.

Ten nagły atak niepokoju przestraszył go. Starał się podchodzić do sprawy rozsądnie. W Doniecku panował spokój, a stamtąd do kozackiej osady było niecałe sto kilometrów.

„Ale gdzie nocowała? - przebiegło mu przez głowę. - Gdzieś przecież musiała nocować, w nocy był duży mróz... A jeżeli zepsuł jej się samochód? Albo, nie daj Boże, zabłądziła w lesie? Nie wjeżdżałaby nocą w las, nie jest przecież szalona... A dzisiaj, zanim wstała, zjadła śniadanie i wyruszyła w podróż powrotną, minęło co najmniej kilka godzin. Nie trzeba się martwić. Elizabeth odezwie się wczesnym popołudniem, jestem tego pewien...”

Z daleka zobaczył fasadę kamienicy, w której mieściła się jego kancelaria, i to jakoś podniosło go na duchu. Miał kilka pilnych rzeczy do załatwienia, przez

udział w kampanii wyborczej Juszczenki zaniedbał sprawy zawodowe. Klienci mogli mieć do niego słuszne pretensje.

Odezwwała się komórka i poczuł przyśpieszone bicie serca, był tak przekonany, iż usłyszy głos Elizabeth, że niemal nie rozumiał, co sekretarka do niego mówi. Okazało się, że oficer dyżurny milicji prosi go o pilny kontakt. Komenda mieściła się niedaleko kancelarii, postanowił więc wstąpić tam po drodze.

Na jego widok milicjant, młody chłopak, poderwał się służbiście, jakby Andrew był co najmniej generałem. Po wystąpieniach u boku Juszczenki jego twarz stała się znana.

- Czegoś ode mnie chcieliście, więc jestem - powiedział.

- Panie mecenasie, sprawa wygląda tak, znaleziono pana samochód...

- Mój samochód - odrzekł zdumiony - stoi w garażu, nie wyjeżdżałem nim dzisiaj...

Milicjant pokazał mu faks z komendy milicji w Doniecku: ustalono, że rozbity samochód marki Nissan Patrol należy do Andrija Sanickiego, zamieszkałego we Lwowie.

Tych kilka suchych zdań poraziło go.

- Źle się pan czuje? - spytał z troską chłopak.

- Może wody?

Andrew pokręcił głową.

- Pewnie złodzieje, uciekając, rozbili auto - ciągnął milicjant. - Trzeba będzie zrobić z takimi porządek. Ale za mało nas, może nowy prezydent nie poskąpi grosza ha milicję.

- Tym samochodem jechała... moja znajoma - odezwał się wreszcie Andrew - nie wiem, co z nią. Może się pan połączyć z Donieckiem?

- Tak jest, panie mecenasie - odrzekł służbiście.

Po chwili oddał mu słuchawkę.

- Tu Andrij Sanicki, wiem, że znaleźliście mój samochód. Pożyczyłem go znajomej. Co się z nią dzieje?

- Pogotowie zabrało ją do szpitala - usłyszał.

„Dzięki Bogu, żyje” - pomyślał z ulgą.

- Czy była przytomna?

- Nie znamy szczegółów - odparł jego rozmówca.

- Posterunek z Brodów wzywał pogotowie. Wiemy tylko, że przewieziono ją tutaj, do Doniecka.

Ale żaden ze szpitali w Doniecku nie potwierdził przyjęcia takiej pacjentki na swój oddział.

- Jak to jej nie ma? - denerował się Andrew. - Otrzymałem informację z komendy milicji, że została przewieziona do szpitala.

- Ale u nas jej nie ma - odpowiadano.

„Może jest nieprzytomna - pomyślał - i nie wiedzą, kim jest...”

Wszystkiego dowie się na miejscu. Za dwie godziny startuje samolot do Doniecka. Zawiadomił matkę, że musi pilnie wyjechać.

- Na długo? - spytała. - Mielicie odbierać Oksankę ze szpitala...

- Odbierzemy ją, zaraz po moim powrocie.

- Ale kiedy ty wracasz?

Nagle nie wiedział, co odpowiedzieć. Przyszłość, nawet ta najbliższa, wydawała się wielką niewiadomą. Wszystko zależało od tego, w jakim stanie znajdowała się Elizabeth. To, że nie potrafiono jej odnaleźć

w żadnym ze szpitali, mogło wskazywać, że skończyło się na potłuczeniach i po prostu zwolniono ją z izby przyjęć. Ale jeżeli tak właśnie było, jeżeli nie przyjęto jej na oddział, dlaczego się do niego nie odezwała? Może była w szoku...

- Synku, czy coś się stało? - spytała z niepokojem matka.

- Nie, mammo, wszystko w porządku. Chodzi o sprawy zawodowe.

- A kiedy wróci Elizabeth?

- Wróci na pewno - odrzekł, starając się zapamiętać nad swoim głosem.

Jej imię przywołało nową falę bólu.

-Telefonowałam do Marii, ale tam jej nie było...

- drażyła matka. - Gdzie ona jest, synku?

-Mamo... wszystko w porządku, nie martw się

- powiedział z wysiłkiem. - Wrócimy oboje, może już jutro...

- Więc ty jednak nie jedziesz w sprawach zawodowych - odrzekła wolno. - Czuję, że coś się stało, ale mi nie mówisz.

- Bo nie wiem, co mam ci powiedzieć - odrzekł zniecierpliwiony. - Elizabeth jest w Doniecku, jadę do niej.

- W Doniecku? Co ona tam robi?

- Mammo, śpieszę się na samolot.

- Ale... ja się tak martwię.

-Nie musisz się martwić. Wszystko będzie dobrze.

„ Czy naprawdę wszystko będzie dobrze?” - pytał sam siebie, siedząc w samolocie. Brak kontaktu z Elizabeth powodował, że nie mógł zebrać myśli. On,

zawsze taki uporządkowany, nie potrafił przewidzieć, co spotka go po wylądowaniu.

Przypomniał mu się ich wspólny sylwester, w jego domku w górach. Siedzieli przy kominku, pijąc wino, rocznik 1930. Prezent od człowieka, któremu Andrew uratował życie, dosłownie, bo groziła mu kara śmierci. To był swego czasu głośny w Kanadzie proces poszłakowy. Znany chirurg został oskarżony o podwójne morderstwo - żony i jej kochanka. Andrew był nawet zdziwiony, że właśnie jemu lekarz zlecił swoją obronę. Istniały przecież lepsze nazwiska.

Elizabeth przyjrzała się butelce.

- To wino jest znacznie starsze ode mnie - powiedziała.

Dlaczego zdecydował się je wtedy otworzyć, traktował ją tylko jak dobrą znajomą. Może tą okazją była szczególna data, właśnie kończył się wiek dwudziesty.

Powiedziała wtedy:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy ludźmi z przełomu wieków?

Niemal zobaczył, jak to mówi z uśmiechem. I znowu wróciła mu otucha. To niemożliwe, aby stało się z nią coś złego. Ona żyje. Ona musi żyć. Jest potrzebna jemu i ich małej córeczce. Wszystko się wyjaśni na miejscu. Odnajdzie ją i przytuli. Poczuje ciepło jej ciała. To przecież największa prawda jego życia.

Kiedy wyszedł przed dworzec lotniczy, ogarnęło go przejmujące zimno. Wiał silny wiatr przy kilkustopniowym mrozie. Ołowiane niebo nad głową sprawiało, że wszystko dookoła było bardziej szare i przygnębiające niż w rzeczywistości. W tym momencie brzydota miasta mało go jednak obchodziła, gdzieś tutaj przeby-

wała Elizabeth i jego zadaniem było ją odnaleźć. Odnajdzie ją i wyjadą stąd najszybciej, jak tylko to możliwe.

Swoje poszukiwania zacznie od komendy milicji, muszą wiedzieć więcej, niżby to wynikało z lakonicznych odpowiedzi przez telefon. Ale niestety, nie udało mu się dowiedzieć niczego ponad to, co wcześniej mu przekazano. Oficer dyżurny patrzył spode łba, a na prośbę Andrew, aby zaanonsował go komendantowi, odrzekł, że komendant jest zajęty.

- Może jednak pan komendant znajdzie chwilę, aby ze mną porozmawiać - nie rezygnował.

Starał się zachować spokój. Mimo że wczorajsze wybory potwierdziły zwycięstwo Juszczenki, tutaj wyraźnie nie przyjmowano tego do wiadomości. Andrew, jako jego bliski współpracownik, był traktowany niechętnie, a nawet wrogo. Można to było łatwo wyczytać z gęby tego milicjanta.

- Komendant ma ważniejsze sprawy na głowie, niż bawić się w poszukiwania jakiejś baby. Trzeba jej było nie puszczać samej! - wypalił funkcjonariusz, patrząc mu bezczelnie w oczy.

Nie panując nad sobą, chwycił tamtego za kłapy i zaczął nim potrząsać:

- Uważaj, gówniarzu, co mówisz i do kogo, bo jutro może cię tu nie być! Połącz mnie z komendantem, i to już!

Funkcjonariusz posłusznie ujął za słuchawkę, potem oddał ją Andrew.

- Jestem pełnomocnikiem pani Connery i żądam informacji o miejscu jej pobytu - powiedział. - Jeżeli została przewieziona do szpitala, chcę wiedzieć, do którego.

- Ma pan pełnomocnictwo na piśmie? - spytał komendant.

- Owszem, tak - odrzekł.

- I tak niewiele panu pomoże, bo my żadnych informacji na temat tej pani nie posiadamy. Posterunek w Brodach przesłał nam tylko meldunek o samochodzie.

- Kobieta prowadząca samochód została przewieziona do szpitala w Doniecku.

- To niech jej pan tam szuka, bo my nic więcej nie wiemy.

W tym momencie Andrew zrozumiał, że nikt mu tutaj nie pomoże, nikt nie będzie sprzymierzeńcem w poszukiwaniach Elizabeth. Niestety, jego twarz stanowiła niewygodną wizytówkę.

Postanowił zacząć od największego szpitala w mieście, usytuowanego w znacznej odległości od centrum. Pojechał tam taksówką która przywiozła go pod ogromne gmazysko, wybudowane niedawno, jednak w stylu minionej epoki. „W tym miejscu nie można naprawdę wyzdrowieć - pomyślał. - Jeżeli Elizabeth tu jest, powinienem ją stąd jak najszybciej zabrać”.

W izbie przyjęć panował straszny harmider, pod ścianami siedzieli ludzie oczekujący na swoją kolej, jakieś dzieci płakały, na kozetce leżał mężczyzna z urwaną stopą. Zrobiono mu prowizoryczny opatrunek, który jednak przesiąkał, krew kapała na podłogę.

Nie było mowy, aby ktokolwiek udzielił mu informacji. Sekretarka dyrektora oświadczyła, że szefa nie **ma**.

- A pan w jakiej sprawie? - spytała, przyglądając mu się uważnie; twarz Andrew kogoś jej przypominała.

- Szukam kobiety, którą przywieziono z wypadku.
- Proszę pytać na chirurgii.

Portier nie chciał go oczywiście wpuścić i dopiero odpowiedni banknot otworzył mu drogę.

Lekarz dyżurny patrzył na niego niechętnie, z pewnością chodziło o wczorajsze wybory.

- Nie ma u nas takiej pacjentki - oświadczył.
- Może jest na oddziale intensywnej terapii? - spytał z nadzieją.
- Tam też jej nie ma.

Zanim zdążył zadać następne pytanie, zobaczył plecy chirurga oddalającego się korytarzem. Nie do wierzał jego słowom, więc postanowił wypytać pielęgniarki, ale wyraźnie przestraszone wymawiały się, że nic nie wiedzą. Tylko jedna z nich, starsza już kobieta, powiedziała:

- Tej osoby tu na pewno nie ma, niech pan szuka gdzie indziej. Może w szpitalu kolejowym, oni najczęściej wysyłają karetki w teren.

Szpital kolejowy mieścił się po drugiej stronie miasta, był to kompleks kilku budynków, szarych i odrapanych. Andrew trochę błądził, zanim znalazł blok F, w którym znajdowała się chirurgia. Tutaj bez problemów wpuszczono go na oddział, chodził od łóżka do łóżka z uczuciem, że zakłóca spokój chorym kobietom. Wszystkie były stare, pomarszczone, miały apatyczne twarze i rozczochrane siwe włosy. Leżały w przedziwnych pozach, szpitalne koszule odsłaniały ich obwisłe piersi, granatowe od żyłaków łydki, koślawe stopy. Do tego ten okropny szpitalny zapach, który przyprawiał o mdłości.

Tutaj też nie była Elizabeth.

Wyglądało na to, że w żadnym ze szpitali jej nie ma. Gdyby udało się ustalić, z którego z nich wysłano po nią karetkę. Niestety, nawet proponowane pieniądze nie pomogły. Panował ogólny bałagan, żaden z wypytywanych przez niego kierowców ambulansów nie potwierdził takiego wezwania.

- Ale wzywano karetkę - denerwował się - milicja z Brodów ją wzywała.

- To jedź pan do Brodów i tam pytaj - poradził mu młody, pryszczaty pielęgniarz.

Być może należał do nielicznych tu zwolenników Juszczenki, bo rozmawiał z Andrew bez jawnej niechęci.

Postanowił skorzystać z jego rady. Nic innego mu zresztą nie pozostawało. Jadąc taksówką do Brodów, myślał, że ona też tędy jechała, i to była jedyna pociecha w tym dniu.

Przypomniał mu się ich pierwszy wspólny poranek w Rzymie. Elizabeth jeszcze spała, a on wyszedł na balkon i podziwiał naprawdę wspaniały widok na miasto, jak na dłoni widoczna była kopuła Bazyliki św. Piotra oświetlona promieniami porannego słońca.

Śniadanie zamówili do pokoju. Elizabeth poprzestała na kawie i gorących rogalikach z masłem, on natomiast zażyczył sobie jajecznicę na boczku, bo po tak cienkim śniadanku natychmiast byłby głodny. Siedział przy stole, ale jej podał tacę do łóżka, przykrytą białą serwetką. Obok talerzyków i filiżanki stał mały wazonik z orchideą. Dokładnie pamiętał, jak wyglądała: miała fioletowy środek i zielone listki.

- Pierwszy raz ktoś tak mnie rozpieszcza - powiedziała Elizabeth.

- Odtąd już zawsze będę cię tak rozpieszczał - odrzekł z uśmiechem.

- Jeśli będziesz w pobliżu - odpowiedziała na to.

A wczoraj, kiedy potrzebowała pomocy, nie było go w pobliżu. Zaciśniętą pięścią, czując, jak paznokcie wbijają się w ciało. Dlaczego tak postąpiła, dlaczego nie powiedziała mu o swoich planach. Przecież nie zatrzymywałby jej siłą, a na pewno pomógłby jej lepiej to zorganizować. Jeżeli nie chciała, aby jej towarzyszył, mógłby z nią pojechać któryś z jego pracowników. Kiedy będzie już po wszystkim, powie jej, co o tym myśli. Związek dwojga ludzi powinien się opierać na zaufaniu, w przeciwnym razie nie miałyby żadnego sensu, a ona w tym przypadku zachowała się tak, jakby to zaufanie straciła. Przecież nie dał jej ku temu żadnych powodów, przynajmniej tak sądził...

Komenda w Brodach mieściła się w starej, drewnianej chałupie. Schodki, po których do niej wchodził, sprawiały wrażenie, że się za chwilę rozlecą. Wnętrze było mroczne, przesiąknięte stęchlizną. Za biurkiem siedział potężny mężczyzna w milicyjnym mundurze. Miał szopę rudych włosów, niskie czoło i małe świdrujące oczka. Patrzył na Andrew bez słowa.

- Nazywam się Sanicki, podobno stoi u was mój samochód - pierwszy przerwał milczenie.

- Stoi - odrzekł tamten krótko.

Przyglądał się Andrew w taki sposób, że nie wróżyło to nic dobrego.

- Co się stało z kobietą, która prowadziła samochód?

- Nie wiem, nie było mnie wtedy na służbie.
- Może istnieje jakaś notatka służbowa? To była Amerykanka.

- Nasłali ją, żeby szpiegowała! - milicjant powiedział to z taką nienawiścią, że w głowie Andrew pojawiła się myśl, iż Elizabeth została zamordowana. Może dlatego nie było jej w żadnym ze szpitali, a żaden z kierowców karettek jej nie pamiętał. Zaraz to jednak odrzucił. Nie odważyliby się w tym momencie, kiedy wszystko wskazywało na wygraną Juszczenki. Ona żyła. Był tego pewien.

- Pogotowie ją stąd zabrało - powiedział, starając się zapanować nad swoim głosem.

- Nie wiem, nie było mnie wtedy na służbie.

- A kto był na służbie?

- Nie wiem.

- Jak nic nie wiecie, to po co tu siedzicie? - wybuchnął. — Gdzie wasz komendant?

- Nie wiem, on mnie się nie melduje.

Andrew zastanawiał się, jak ma z nim dalej rozmawiać. Proponować mu pieniądze? Na pierwszy rzut oka widać było, że to fanatyk. Jeszcze się na niego rzuci urażony taką propozycją. Trudno. Musi zaryzykować.

- Możemy się jakoś dogadać? - spytał ugodowym tonem.

- Dogadać się? Z wami? - wybuchnął tamten. - Z bandą zdrajców! Chcecie sprzedać nasz kraj Amerykanom! Ja bym was powystrzelał jak wściekłe psy!

- To my wygraliśmy wybory, sytuacja może się odwrócić - odrzekł ostro.

Mężczyzna zerwał się z za biurka, jednym szarpnięciem rozchylił klapy munduru, kilka guzików



potoczyło się po podłodze. Spod koszuli wyjrzał rudy zarost.

- To strzelaj, zdrajco! Strzelaj do patrioty!

Andrew odwrócił się i bez słowa wyszedł.

Taksówkarz palił papierosa oparty o wysłużoną ładę, poprosił go, aby jeszcze trochę poczekał, i poszedł obejrzeć swoje auto.

Na widok nissana serce skoczyło mu do gardła. Ten kawał blachy był jedynym łącznikiem z dawnym życiem, które skończyło się bezpowrotnie w chwili, gdy koła samolotu uderzyły o beton lotniska w Doniecku. Samochód miał wgniecioną przednią maskę, zupełnie jakby spadło na nią coś ciężkiego, ale reszta nie była uszkodzona, nawet poduszka powietrzna nie wystrzeliła. Wszystko wskazywało na to, że Elizabeth wyszła cało z wypadku i zamiast po szpitalach powinien jej szukać w którymś z hoteli. Siedzi tam pewnie przestraszona. Ale dlaczego nie dzwoni? I dlaczego nie odpowiada jej komórka? Pewnie ją wyłączyła. Chce się doprowadzić do porządku. Już raz tak przecież było, po jej powrocie z Czeczenii do Moskwy. Zamknęła się wtedy w hotelowym pokoju. Nie zwiedzała muzeów, jak jej proponował, tylko dochodziła do siebie po ciężkich przeżyciach. Teraz może być podobnie. Ona jest przecież jak czuły instrument, z którym należy obchodzić się nader delikatnie, nagle znalazła się w świecie, gdzie panują brutalne prawa.

„Moja madame Butterfly” - pomyślał z czułością.

Może któryś z mieszkańców miasteczka będzie coś wiedział na temat tego wypadku. Na pewno było o nim głośno. Skoro milicja jest taka małomówna, trzeba popytać ludzi. Ale nie było to wcale proste.

Na słupach ulicznych wisały jeszcze plakaty przedstawiające Juszczenkę w esesmańskim mundurze. Andrew miał tylko nadzieję, że jego twarz nie jest tu tak znana jak w Doniecku. Nie wiadomo, czy został rozpoznany, jednak nikt nic nie chciał powiedzieć. Kiedy zatrzymywał taksówkę i wysiadał, aby pytać przechodniów, oni pośpiesznie odchodzili. Zupełnie jakby nie mówili tym samym językiem co on.

„Czy to jest jeszcze mój kraj?” - myślał z goryczą.

Co dalej? Wracać do Doniecka i szukać Elizabeth w hotelach? A jeżeli jej tam nie będzie? Przecież niczego się tu nie dowiedział. Gdzie zdarzył się wypadek, dokąd została przewieziona i w jakim stanie.

Czuł się jak w koszmarnym śnie, z którego nie można się obudzić.

Może pojechać do tej osady? Przynajmniej się wyjaśni, czy ona tam dotarła.

Taksówkarz jednak odmówił. Twierdził, że ma słabe opony i zakopie się na bocznej drodze. Nie było więc innego wyjścia, musiał wracać.

Kiedy znalazł się w zasięgu sieci, zatelefonował do Julii. Natychmiast odebrała komórkę.

- Nie wiem, co mam robić - mówił zgnębiony.

Nikt tu ze mną nie chce gadać, a Elizabeth zniknęła. Szukałem jej po szpitalach... Zostały jeszcze tylko hotele... Czy możesz mi jakoś pomóc?

- Bardzo bym chciała, ale sam wiesz, jak nas tam traktują. Taka protekcja tylko pogorszy sprawę - odrzekła zmartwionym głosem. — Może w ambasadzie już coś wiedzą, może te świnię ich zawiadomiły, a ciebie ignorują. Zadzwoń do Amerykanów... albo nie, ja zadzwonię, a ty czekaj na wiadomość ode mnie!

To bardzo prawdopodobne, że tutejsza milicja zawiadomiła ambasadę w Kijowie. Dla nich to był przecież spory kłopot, z ulgą się go pozbędą. I Julia na to wpadła! Ciepło pomyślał o tej kruchej kobiecie, którą przyrównywano do Margaret Thatcher i nazywano „Żelazną Damą”. Pamięta, jak ją pierwszy raz odwiedził w więzieniu. Leżała na pryczy, przykryta futrem z norek. I cela pachniała inaczej niż inne. Od razu zażądała gumowych rękawiczek i wzięła się do sprzątnia. Tak przynajmniej mówiono. Nigdy jej nie spytał, czy to prawda.

Jak to dobrze, że do niej zatelefonował, ona na pewno pomoże mu odnaleźć Elizabeth. Zadzwoiła po pół godziny.

- Andrij, kochany, w Doniecku jest już ich konsul. On coś wie o Elizabeth. Podam ci jego komórkę.

- Co on wie?

- Sam ci to powie, zadzwoń do niego i umów się na spotkanie.

- Ale ja muszę wiedzieć natychmiast! - wybuchnął. - Powiedz mi, co ty wiesz!

- Niewiele więcej od ciebie, że jej szukają i że milicja ma jakieś informacje. Konsul ci wszystko wyjaśni. Nazywa się Edward Knitte... Gdzie ty teraz jesteś?

- Jadę taksówką w kierunku Doniecka. Mam jeszcze ze dwadzieścia kilometrów — odpowiedział skwapliwie jak uczeń.

I tak czuł, że Julia prowadzi go za rękę.

- Więc niedługo się spotkacie, on ci wszystko wyjaśni.

- Ale ja nie z nim chcę się spotkać, ale z moją żoną!

- Zaprowadzi cię do niej.
- Ty jednak coś wiesz, prawda? Wiesz, gdzie ona jest?

- Nie wiem, kochany - odrzekła jakoś nieszczerze, a może tylko mu się wydawało.

Byli parą dobrych przyjaciół. Julia by go nie oszukiwała.

- Andrij, przylatuję do Doniecka - usłyszał.

- W mojej sprawie?

-I tak miałam tam być - odrzekła wymijająco.

- Czy z Elizabeth jest bardzo źle?

- Nie wiem, już ci powiedziałam, że nie wiem.

- To po co przylatujesz?

- Bo może będę ci... wam potrzebna. Trzymaj się!

Kilka razy przechwycił uważne spojrzenie taksówkarza. W czasie wspólnej jazdy prawie się nie odzywał. I Andrew to milczenie odbierał jako niechętnie. Mężczyzna pochodził przecież stąd, z twierdzy kandydata, który właśnie przegrał wybory.

-Rozmawiał pan z Tymoszenko? — spytał nieoczekiwanie.

-Tak.

- Ja to tego Juszczenki nie lubię, ale ona by mogła być nasza... To świetna babka. Zna się i na biznesie, i na polityce. Na nią może bym i głosował.

Andrew nie odpowiedział. Nie potrafił już myśleć o niczym innym jak tylko o tym, czego za chwilę dowie się od konsula. Wybrał podany mu przez Julię numer.

- Tak, tak, wiem, o co chodzi - głos Amerykanina brzmiał bardzo uprzejmie - pani Tymoszenko już do mnie dzwoniła.

- A czy może mi pan udzielić informacji o Elizabeth Connery? - spytał, czując, jak zasycha mu w gardle.

- Oczekuję pana - padła odpowiedź.

Andrew miał wrażenie, że od dzisiejszego ranka świat dookoła niego zwariował. O ile mógł zrozumieć tutejszych urzędników, którzy odmawiali odpowiedzi na jego pytania, o tyle trudno mu było pojąć ludzi mu życzliwych traktujących go w podobny sposób.

A ona, Elizabeth, nadal nie dawała znaku życia, chociaż tak bardzo ją prosił, niemal błagał w myślach, aby wreszcie się odezwała.

Umówił się z konsulem w restauracji hotelu Kijów. Kiedy wszedł na salę, zza jednego ze stolików podniósł się mężczyzna w podobnym wieku co on, wysoki, o okazałej łysinie, którą tuszował, zaczesując na nią włosy. Dziwnie to wyglądało.

- Edward Knitte - przedstawił się.

- Andrij Sanicki.

Podszedł kelner, ale Andrew nie byłby w stanie niczego przełknąć, zamówił tylko wodę mineralną.

- Oczekuję od pana odpowiedzi, gdzie przebywa Elizabeth Connery - zwrócił się oficjalnie do konsula, ale głos mu się załamał. - Jest moją żoną, mamy małeńkie dziecko... Nie wiem, gdzie mam jej szukać...

Nagle poczuł wilgoć na policzkach i zrozumiał, że to łzy. Z uczuciem upokorzenia ocierał chusteczką twarz, obcy człowiek był świadkiem jego słabości.

Konsul patrzył na niego ze współczuciem.

- Panie Sanicki, proszę o cierpliwość. Za dwie godziny będzie tu pani Tymoszenko i sprawa... pobytu pana żony się wyjaśni

- Żądam natychmiastowej odpowiedzi, gdzie ona jest! - rzekł zdecydowanie.

Mężczyzna był wyraźnie zakłopotany.

- Kiedy ja sam dokładnie tego nie wiem - powiedział po długiej chwili. - Jak przyjedzie pani Tymoszenko, udamy się do komendy milicji, oni nam to wyjawia.

- Czy... Elizabeth... czy pani Connery została aresztowana?

- Nie sądzę.

- Więc po co ta cała konspiracja? Mnie powiedziano, że karetka zabrała ją do szpitala, ale w żadnym ze szpitali jej nie znalazłem. A jakich wyjaśnień udzielono panu?

Konsul odchrząknął, jakby przygotowując się do dłuższej wypowiedzi, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Właściwie niczego mi nie wyjaśniono... Mają być jakieś bliższe informacje... późnym popołudniem... jak pani Tymoszenko tu będzie.

- Co ona ma z tym wspólnego - zdenerwował się Andrew. - Dopiero ode mnie się dowiedziała, że Elizabeth... że pani Connery zaginęła...

- No tak, tak - przyznał szybko konsul - to zapewne zbieg okoliczności, jej przyjazd i te informacje... Ale skoro ona już tu będzie, może nam pomóc.

- Albo zaszkodzić. Nie kochają jej tutaj.

- Ona panu pomoże, na pewno... - konsul nagle Umilkł.

Dla Andrew koszmar trwał nadal. Był niemal pewien, że z jakichś powodów nie mówią mu prawdy. Może Elizabeth uprowadzono? Ta zgnieciona od góry maska samochodu mogłaby wskazywać, że najechała

na jakąś blokadę. Może chodzi o okup i dlatego wszyscy się tak dziwnie zachowują. Julia tu jedzie, bo wiezie pieniądze. No dobrze, ale dlaczego miałyby być wyłączony z tych negocjacji. Przecież jest tu najbardziej zainteresowaną osobą.

- Czy jest coś, co dotyczy mojej żony, a czego nie może mi pan powiedzieć? - spytał ostrożnie.

Konsul poczerwieniał. Wyglądało to dość dziwnie. Andrew nie pamiętał, aby ktoś dorosły tak się czerwienił, to się zwykle zdarza dzieciom.

- Panie Sanicki, proszę pana o cierpliwość - odrzekł tamten wreszcie.

Julia objęła go i długo trzymała przy sobie. Delikatnie, ale stanowczo się uwolnił.

- Czy mogę cię prosić o wyjaśnienia - zaczął, starając się nadać swojemu głosowi odpowiednio zdecydowane brzmienie - co się naprawdę stało? Gdzie jest Elizabeth? Muszę ją zobaczyć!

- Zobaczysz ją, Andrij - powiedziała, a jej oczy z wolna wypełniły się łzami - ale ona nie żyje.

Wszystko brał pod uwagę, tylko nie to, że Elizabeth może już nie być wśród żywych. To było tak bardzo niesprawiedliwe, że zburzyło całe jego dotychczasowe wyobrażenie o otaczającym świecie. Przestał go akceptować, jakby odchodził razem z nią. I to była jedyna ulga. Ulga, że jego też już nie ma, niczego nie pragnie, niczego nie jest ciekaw.

W chwili kiedy Julia wypowiedziała te słowa, dla Andrew zatrzymał się czas. Działał jak automat.

Pojechał z konsulem do szpitala, w którym zresztą szukał Elizabeth jeszcze kilka godzin temu, aby zidentyfikować jej zwłoki.

Pielęgniarz prowadził ich do podziemi wąskimi schodami.

Zejdź niżej, zstąp w dół, zejdź
W świat stałej samotności

Zamajaczyło mu w głowie. To z Eliota, ulubionego poety Elizabeth, często czytała mu jego wiersze. Jak było dalej?

W świat nie-świat, który już nie jest światem -
Ale ciemnością wnętrza, pozbawieniem,
Wydziedziczeniem z wszystkiego, co własne.

„Wydziedziczeniem z wszystkiego, co własne”, powtórzył w myślach głucho. Trzeba być geniuszem, aby w kilku słowach zawrzeć ludzki dramat. Może dlatego te strofy zapadły mu w pamięć. Poczł nagłą wdzięczność, że ktoś przed nim pojał, czym naprawdę jest strata.

Szli teraz korytarzem, który niczym pokraccne ramiona oplatały grube, miejscami skorodowane rury. Kapała z nich woda i na posadzce tworzyły się niewielkie rdzawe kałuże.

Człowiek w kitlu otworzył jakieś drzwi.

Było to obskurne pomieszczenie, taka graciarnia, gdzie piętrzyły się żelazne zdezelowane łóżka, uszkodzone wózki inwalidzkie, pordzewiałe baseny.

Pod ścianą stała kozetka, na której ktoś leżał pod prześcieradłem. Obaj z konsulem stali w drzwiach, nie

mając odwagi wejść dalej. Na przekór wszystkiemu pojawiła się w nim nadzieja, że tam na kozetce pod ścianą leży inna osoba, nie Elizabeth, i że to wszystko to jakaś potworna pomyłka.

- Który z panów zidentyfikuje zwłoki? - spytał pielęgniarz.

Andrew ruszył do przodu. Przydepnął prześcieradło, które odsłoniło tors nagiej kobiety. Tą kobietą była Elizabeth. W nagłym odruchu zdjął kurtkę i chciał ją przykryć, ale pielęgniarz go powstrzymał.

- Panie, mróz na dworze. Chce pan zamarznąć jak ona? - rzekł, naciągając prześcieradło na jej zwłoki.

-Zamarznąć - powtórzył wolno. - Moja żona zamarzła?

Obejrzał się na konsula, który ciągle stał w drzwiach.

- Taką otrzymaliśmy wiadomość - potwierdził.

-I nic mi pan nie powiedział...

-Pani Tymoszenko prosiła, aby poczekać z tym na nią.

Andrew po chwili poprosił, aby obaj mężczyźni wyszli, chciał chociaż przez chwilę pozostać z Elizabeth sam.

- Ale to jest ta osoba, ta Amerykanka? - upewniał się natrętnie pielęgniarz.

Kiedy tamci wyszli, usiadł na podłodze obok kozetki. Twarz Elizabeth była spokojna, powieki lekko się nie domykały i sprawiała wrażenie, jakby budziła się ze snu. Ale wiedział, że już się nie obudzi. Ogarnęła go tęsknota za jej rękami, które tak bardzo kochał. Z przerażeniem stwierdził, że u prawej dłoni brakuje dwóch palców.

Starał się natychmiast o tym zapomnieć. Chciał pamiętać Elizabeth taką, jaka była naprawdę. Piękna, mądra, wyjątkowa pod każdym względem.

- Elizabeth - wyszeptał - co sobie myślałaś... czy pamiętałaś, jacy byliśmy szczęśliwi...

Wyszedł na korytarz z uczuciem, że wszystko dookoła się chwieje, podłoga, ściany.

- Moja żona ma uszkodzone palce - powiedział jakimś obcym, beznamiętnym głosem.

- To szczury, trujemy je, trujemy i nie możemy wytruć - odrzekł pielęgniarz. - Rodziny nieboszczyków mają potem pretensje.

Konsul wydawał się wstrząśnięty tą informacją.

- W szpitalu powinna być kostnica - powiedział z naganą w głosie.

- Nie w naszym, na wszystko brakuje kasy.

Było już ciemno, kiedy wreszcie pozbyli się towarzystwa tego człowieka i wyszli przed szpital. Konsul musiał załatwić jeszcze formalności związane z przetransportowaniem zwłok Elizabeth. Wyraził zgodę na to, aby zostały przewiezione do Lwowa. O miejscu, gdzie będzie pochowana, miała zdecydować jej matka.

Andrew pojechał do hotelu. Czekąca tam już na niego Julia. Usiedli przy stoliku w pustawej sali restauracyjnej. Próbowała go namówić, aby coś zjadł, ale wiedział, że niczego nie przełknie. Mimo to skinęła na kelnera:

- Przynies nam wódki — szybko zdecydowała.

Niemal zmusiła go, aby się z nią napił. Poczul rozlewające się w żołądku gorąco. Zakręciło mu się w głowie.

- Pomyśl o córeczce, mająż tylko ciebie - powiedziała Julia.

W tym momencie uświadomił sobie, że zapomniał o swoim dziecku. Utrata Elizabeth wewnątrz go zmiażdżyła, czuł się tak, jakby wymazano mu pamięć. Pozostał tylko obraz jej martwej twarzy.

- Nie wiem, czy będę umiał być ojcem - odpowiedział. - Bez Elizabeth wszystko traci sens.

- To minie - rzekła ciepło Julia - ból minie i odnajdziecie się z Oksanką, zobaczysz.

Kolejne dni przesuwwały się niczym niemy film, jacyś ludzie przychodzili do jego mieszkania, coś do niego mówili, ale on ich nie słyszał. Siedział w fotelu wpatrzony w ścianę. Nie mył się, nie golił, nic nie jadł, wypalał tylko setki papierosów. W myślach rozmawiał z Elizabeth, robił jej wymówki, że go nie posłuchała, wybierając się w tę podróż. Za jednym zamachem zniszczyła siebie i jego. Nie był już właściwie zdolny do życia, nie był też zdolny do samobójstwa.

Ulgę przynosiły obrazy z przeszłości, twarz Elizabeth, tak pełna wyrazu, znikła pod nieruchomą maską, jaką zobaczył w podziemiach szpitala. Starał się wyrzucić ją ze świadomości, ale z uporem powracała, przywołując nową falę bólu.

Stracił rachubę czasu, nie odsłaniał okien, więc nie wiedział, jaka jest pora dnia, czy to już noc, czy jeszcze dzień. W salonie stała paliła się lampa.

Zdarzały mu się krótkie momenty snu, z których budził się przerażony, nie do końca pojmując, co się naprawdę stało. Ale już po chwili dopadała go świadomość

mość. Elizabeth... jaką niezwykłą kobietę zdarzyło mu się pokochać. Ona nadała jego życiu zupełnie nowy sens. Dzięki niej powoli wkraczał w świat sztuki, prowadziła go za rękę jak nowicjusza. „Gdzie teraz jesteś?”, spytał, dzwoniąc do niej do Rzymu. „Na moście, z aniołami Berniniego”, odpowiedziała.

Czy gdyby się nie spotkali, to wszystko by się nie wydarzyło? I ona chodziłaby teraz ulicami Rzymu? Nie... to przecież nie chodziło o niego, to tamten mężczyzna, którego nie chciała pochować. Nie wierzyła w jego śmierć, chociaż wszystko za tym przemawiało. Dlaczego się tak upierała? Dlaczego nie potrafiła oderwać się od przeszłości? Przecież czekało ich wspólne życie, pełne miłości i oddania...

... wieczór przed jej odlotem do Moskwy. Uparła się na tę podróż, naprawdę niebezpieczną. Nie potrafił jej powstrzymać, chociaż robił, co mógł, aby nie jechała do Czeczenii.

Zaprosił ją na pożegnalną kolację i sam zabawił się w kucharza. Jego specjalnością była sola w sosie koperkowym, do tego wino chardonnay z dobrego rocznika.

- Wypijmy za Ukrainę twoich marzeń - powiedziała, wznosząc kielich.

- Są inne, ważniejsze toasty— odrzekł na to.

- Nie ma - zaprotestowała. - Nie może być nic ważniejszego niż własna ojczyzna. Bez niej jesteś nikiem.

To dlaczego nie mamy wypić za twój kraj, za Stany Zjednoczone?— spytał przekornie.

- Stany Zjednoczone sobie poradzą bez nas, a tutaj potrzeba dużo zaangażowania, dużo pracy i więcej takich ludzi jak ty. Masz tu coś do zrobienia.

- A ty? Zostałabyś tu ze mną? - spytał nieoczekiwanie.

- Chciałabym, Andrew - odrzekła, patrząc mu w oczy.

„... i nie zostałam ze mną, Elizabeth, rozdzielono nas, źli ludzie nas rozdzielili, zły los. Nie mogę znieść, że tam leżysz, oddzielona ode mnie milczeniem... Dlaczego nie możemy porozmawiać... Być może uratowałyby to moje życie, jedno jedyne słowo, Elizabeth. Odezwij się do mnie, proszę... Wzywałem cię najgoręcej, jak potrafiłem, kiedy byłaś w Czeczenii... I w końcu mnie usłyszałaś. Dlaczego nie słyszysz mnie teraz... ”

Nagle poraził go strumień światła, odruchowo zmrugał powieki. Po chwili dostrzegł nad sobą twarz przyjaciela.

- Światło mnie razi - powiedział słabo.

- Wiem, świecę ci latarką w oczy.

- Dlaczego?

- Bo na nic nie reagujesz.

Borys odsłonił okna i Andrew spostrzegł, że jest dzień.

- Która godzina? - spytał.

- Pierwsza po południu.

- A ty skąd się tutaj wzięłeś?

- Pani Nina mnie wezwała, nie jest w stanie załatwić za ciebie tych wszystkich spraw - powiedział z naganą w głosie.

- Ja już nie mam żadnych spraw - odparł.
Przyjaciel zmarszczył brwi.

- Mężczyzna się tak nie zachowuje.

- Borys, ja nie mogę...

- Nie wiem, czego nie możesz - odrzekł twardo przyjaciel - wiem natomiast, czego ci nie wolno. Nie wolno ci pozostawiać dwóch bezradnych kobiet. Nie zapominaj, co jest twoją powinnością.

- Jakich dwóch kobiet? - spytał, mrugając powiekami.

- Jutro przylatuje pani Veysey.
Podziałało to na niego piorunująco.

- Ona tu przylatuje? A kto ją zawiadomił?

- Ja.

- Czy już wie, że Elizabeth... - urwał, nie mając odwagi głośno wypowiedzieć tego słowa.

- W tym rzecz, że nie wie. Starąłem się ją jakoś przygotować, powiedziałem, że córka miała wypadek. Przebywa w szpitalu. To starsza kobieta, mogłaby tego po prostu nie przeżyć.

„Ja nie mogę tego przeżyć” - pomyślał, ale bał się powiedzieć głośno, bo Borys wyglądał bardzo groźnie.

- Andrew - zarządził surowo - weź prysznic, ogól się. A ja zrobię coś do jedzenia.

Nie miał siły przeciwstawić się woli przyjaciela. Posłusznie poszedł do łazienki, w lustrze nad umywalką zobaczył twarz obcego mężczyzny z kilkudniowym zarostem. Po chwili uświadomił sobie, że ogląda sam siebie.

Zdjął ubranie i wszedł pod prysznic. Woda, niemal wrzątek, parzyła mu skórę, ale było w tym coś oczyszczającego. Spływał po nim gorący, ożywczy strumień.

Z wolna zaczął akceptować to, że jednak żyje, oddycha. Nikt go nie nauczył, jak znosić cierpienie, które paraliżuje wolę życia. Tej woli życia nie było w nim nadal, ale rozpoczął się powolny proces oddzielania się od Elizabeth.

Ogolił się, włożył czystą koszulę. Kiedy wszedł do kuchni, Borys parzył właśnie kawę, jej mocny aromat rozchodził się po całym wnętrzu.

- Kawy się napiję, ale nic nie będę jadł - zastrzegł od razu.

- Zjesz bułkę z chudą szynką - odrzekł zdecydowanie Borys - nakazuję ci to jako lekarz. Myślę, że na twój wyposzczony żołądek to wystarczy.

I znowu nie miał siły przeciwstawić się przyjacielowi.

- Jaki dziś jest dzień tygodnia? - spytał.

- Czwartek, pojutrze sylwester.

Andrew skinął głową.

-A co zaplanowałaś jeszcze dla mnie na dziś? - spytał z goryczą.

- Musisz odebrać córkę ze szpitala. W domu twojej matki wszystko jest przygotowane. Wczoraj byliśmy po nią z panią Niną, ale nie pozwolili nam jej zabrać.

- Dyrektor szpitala za mną nie przepada - odrzekł Andrew - w zeszłym roku prowadziłem przeciw nim proces. Nie chcieli zapłacić odszkodowania pacjentce, której chirurg w czasie operacji zaszył w brzuchu nożyczki.

- No tak, tak, oni nie lubią płacić, a prawdę powiedziawszy, nie mają z czego.

- Ale mojej klientki to nie obchodziło.

- Nie, oczywiście, że nie.

Oto dwóch mężczyzn przy stole prowadziło zwyczajną rozmowę. Uprzejmą wymianę zdań. Ale gdzieś z tyłu jego głowy czaiła się świadomość, że nigdy już nie zobaczy Elizabeth żywej, nie dotknie jej, nie przytuli, nie usłyszy jej głosu. Ciagle nie umiał się z tym pogodzić, ale jego bunt osłabł. Wracało tak zawsze silne w nim poczucie obowiązku. A obowiązek nakazywał, aby zajął się swoją córką. To była teraz sprawa najważniejsza. Nie umiał powiedzieć, czy powróci ta niezwykła ojcowska miłość do dziewczynki, śmierć jej matki wymiotła z niego wszystkie uczucia.

Kawa dobrze mu zrobiła, wyglądało na to, że fizycznie doszedł już do siebie, ale kiedy zapalał papierosa, ręka mu drżała.

- Słuchaj, Andrew - zaczął Borys - powinieneś zadzwonić do pani Niny. Ona strasznie to wszystko przeżyła, a wiesz, jakie ma słabe serce.

Posłusznie ujął słuchawkę.

- To ja, mamó.

- Jak tam, synku? Jak się czujesz? - głos się jej łamał, niemal nie mogła mówić.

- Już się nie musisz o mnie martwić - powiedział z uczuciem wstydu, że niczego jej nie oszczędził, myśląc tylko o sobie i swoim bólu. - Zaraz pojedziemy z Borysem po Oksanę.

- A to dobrze - ucieszyła się. - Myśmy tam już z panem Hnatiukiem byli, ale nawet nie pozwolono nam jej zobaczyć.

Do zobaczenia, mamó.

Do zobaczenia, synku.

Borys zawiózł go do szpitala swoim samochodem, towarzyszył mu też w drodze na oddział noworodków. Dyżur miała lekarka, która opiekowała się Oksaną zaraz po porodzie, i Andrew uznał to za dobry znak. Była to młoda, sympatyczna dziewczyna, która tak ładnie się zawsze uśmiechała. Tym razem nie powitała go uśmiechem, wyglądała raczej na spłoszoną. Pewnie już dotarła do niej wiadomość o śmierci matki jej małej pacjentki.

- Chciałbym przywitać się z moją córeczką - powiedział, pełen wewnętrznych obaw, jak to przywitanie wypadnie. Co będzie czuł na widok dziecka, czy powróci uczucie miłości?

Miał nadzieję, że tak właśnie będzie. Przecież w niej była Elizabeth, jakaś jej ważna część.

- Bardzo mi przykro, panie mecenasie - powiedziała lekarka - ale dziecko mogą odwiedzać tylko krewni, takie polecenie wydał ordynator.

- Jak to tylko krewni? - oburzył się Andrew. - Przecież jestem jej ojcem.

-Ale... ale w dokumentach figuruje ktoś inny... -jąkała się dziewczyna.

Była wyraźnie przestraszona i Andrew zrobiło się jej żal. Ona przecież nic tu nie zawiniła. To znowu te rozgrywki, pamiętny proces, a poza tym powszechnie znana zażyłość dyrektora szpitala z ludźmi byłego prezydenta.

-Może nam pani doktor pozwoli przez szybę popatrzeć na dziewczynkę - odezwał się Borys.

- Dobrze - zgodziła się szybko. - Chodźmy.

Weszła na salę i wyjęła z łóżeczka zawiniątko. Podeszła potem do dużego okna, unosząc dziecko tak,

aby można było cokolwiek zobaczyć. Z rozchylonego kocyka wyjrzała twarz Elizabeth w miniaturze i Andrew już nie musiał siebie pytać, czy potrafi kochać to dziecko.

Julia Veysey, matka Elizabeth, wybierała się z przyjaciółką do teatru, kiedy zadzwonił telefon. Miała nadzieję, że telefonuje jej córka, która ostatnio zamilkła. To się już w przeszłości zdarzało, nie kontaktowały się nawet przez kilka tygodni, nie powinna więc być zaniepokojona. Ale od czasu zaginięcia Jeffa obawiała się złych wiadomości i prosiła Elizabeth, aby informowała ją o wszystkim, co się z nią dzieje. Córka przyrzekała, ale na tym się kończyło. To ona ściagała ją telefonami. Były tak daleko od siebie, że tylko to im pozostawało: rozmowy przez komórkę.

W słuchawce odezwał się obcy, męski głos:

- Mówi Borys Hnatiuk, mam dla pani niedobłą wiadomość. Chodzi o pani córkę.

- O Elizabeth? - spytała przestraszona. - Czy coś z jej zdrowiem?

- Tak. Miała wypadek, jej stan jest niestety bardzo ciężki...

Przez chwilę nie mogła nic powiedzieć, mężczyzna po drugiej stronie też milczał.

- Gdzie ona teraz jest? W szpitalu?

- Tak, w szpitalu. I byłoby dobrze, gdyby pani jak najszybciej przyjechała.

Klim był człowiek, który przekazał jej tę wiadomość? I dlaczego wymagał od niej rzeczy niemożliwej. Od dawna nie podróżowała już samolotami, a do

Europy płynęła statkiem. Trwało to oczywiście znacznie dłużej, ale przynajmniej nie była zdana na pokładową, mikrofalową kuchnię i, co było nie bez znaczenia, nie musiała odrywać się od ziemi. Od kilku lat zresztą w ogóle nie ruszała się z Nowego Jorku, chociaż latem było tu nie do wytrzymania. A teraz wymagają od niej, aby opuściła nie tylko Piątą Aleję, ale także miasto, i udała się gdzieś na koniec świata. No tak, ale tam właśnie była teraz Elizabeth, w szpitalu, po ciężkim wypadku. Każda matka w takiej sytuacji pojechałaby do swojego dziecka. Więc nie miała wyboru?

- Czy pan jest pewien, że chodzi o moją córkę?
- spytała z nadzieją, że to może jednak jakaś pomyłka, a mężczyzna o dziwnym nazwisku bierze ją za kogoś innego. - Dzwoni pan w sprawie Elizabeth Connery?

- Niestety - usłyszała. - I jeżeli mogę cokolwiek pani radzić, proszę nie zwlekać z przyjazdem.

- A, przepraszam, kim pan jest dla Elizabeth? I dlaczego nie skontaktował się ze mną jej przyjaciół, Andrew Sanicki? Czy on też jest ranny?

- Nie, ale siedzi przy niej i dlatego ja jestem posłańcem złej wiadomości.

- To naprawdę zła wiadomość - odrzekła zgnębnym głosem, z wolna docierało do niej, co się naprawdę stało. - Czy córka jest przytomna?

Chwila milczenia w słuchawce.

- Nie.

- A co mówią lekarze?

- Nie wiedzą jeszcze nic pewnego. Trzeba czekać.

- Czekać? - wybuchnęła. - Trzeba ją ratować! Przewieźć tutaj, do domu. Tutaj są wspaniali specjaliści, pomogą jej. Wynajmę samolot!

- Co pani mówi - obruszył się mężczyzna.
- To, co pan słyszy. Stać mnie na to, aby wynająć samolot i przewieźć córkę do Ameryki.
- To niestety w tej chwili nie jest możliwe, nie wolno jej transportować.
- Kto tak uważa?
- Lekarz. Proszę, aby pani tu przyleciała. Z Londynu ma pani dogodne połączenia do Lwowa.
- Ale... ale ja się muszę przygotować - broniła się, coraz bardziej przestraszona perspektywą nagłej zmiany w swoim uporządkowanym życiu - nie mogę tak zostawić domu...
- Proszę pani - powiedział ostro - o czym pani myśli, córka być może umiera...

Po jego słowach zaczęła trząść się na całym ciele, trudno jej było utrzymać słuchawkę.

- Dobrze - odrzekła z trudem - ... wylecę dzisiaj... jeżeli będzie to możliwe, nie mam przecież rezerwacji.

- Jest tyle połączeń do Londynu.

Rozmawiała z tym człowiekiem, stojąc, teraz ciężko usiadła w fotelu. Telefon znowu dzwonił. To była Susanne, jej przyjaciółka.

- Jesteś gotowa, kochanie? - spytała.

Nie była gotowa, aby stawić czoło tej sprawie, która spadła na nią tak nieoczekiwanie. Przez ostatnie kilka lat zdążyła się już co prawda przyzwyczaić do dziwnych kolei losu swojej córki. Zaginięcie Jeffa, potem wyjazd Elizabeth na Ukrainę, jej wyprawa do Azji, do tych ukrywających się w górach bojowników. To Wszystko było trudne do przyjęcia, ale w końcu Beth wróciła, przywożąc ze sobą chłopca. Wydawało się, że

nie będzie już większych niespodzianek, ona jednak znowu wyjechała i nie wiadomo, czy stamtąd wróci...

- Julio, czy coś się stało? - spytała przyjaciółka.

Zawahała się.

- Nie mogę pójść z tobą do teatru, bo rozboleła mnie głowa - odrzekła, nie czując się na siłach wyjawić jej prawdy.

- Przykro mi, kochana. Czy to ta twoja migrena?

- Na to wygląda.

Jedna sprawa załatwiona, teatr został odwołany. Teraz powinna przełożyć wizytę u dentysty, uprzedzić sprzątaczkę, że jakiś czas jej nie będzie. Jak długo, nie wiedziała. Wszystko zależało od tego, co zastanie na miejscu. O tym starała się teraz nie myśleć. Musiała zebrać wszystkie siły, aby zorganizować swój wyjazd. Ponieważ tego dnia nie było wolnych miejsc w żadnym samolocie do Londynu, wpisała się na dzień następny na listę oczekujących. Pracownica biura podróży pocieszała ją, że szanse są duże. Z czystym sumieniem mogła się więc przygotowywać do wyjazdu. Termin był krótki, ale nie niemożliwy. A rzeczy niemożliwych wymagał od niej ten nieznajomy. W końcu nie powiedział jej, kim jest. Dla niej stał się posłańcem złej wiadomości. Być może nie myślał o niej najlepiej, po tym jak ją przeraziła perspektywa dalekiej podróży. Nic o niej nie wiedział. Tylko Elizabeth, która dobrze ją znała, mogłaby docenić cały heroizm, na jaki się zdobyła, opuszczając dom. Nie uczyniłyby tego dla nikogo, nawet dla siebie samej. Gdyby w jakiś sposób mogła się rozdzielić i jedna jej połowa znalazłaby się na drugiej półkuli, ta druga nie ruszyłaby się z miejsca.

No więc ma czas do jutra. Pójdzie teraz do mieszkania Elizabeth, Alek powinien już wrócić ze szkoły. On i Alona z pewnością nic jeszcze nie wiedzą. Tym razem, niestety, ona stanie się posłańcem złej wiadomości.

Alona otworzyła jej drzwi. Miała zapuchniętą twarz, oczy wyglądały jak dwie szparki.

- Cóż to, jesteś chora? - spytała zaskoczona.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wiesz już o pani Elizabeth?

Skinęła twierdząco.

- A Alek? Jest w domu?

- Jeszcze w szkole.

- On wie?

- Nie powiedziałam mu wszystkiego, tylko że pani Elizabeth zachorowała.

Usiadły w kuchni przy stole, Alona bez pytania zaparzyła jej kawę.

- Od kogo się dowiedziałas? Do ciebie też dzwonił ten pan... Hja...

- Ja dzwoniłam do mamy.

- Więc już wiesz, że pani Elizabeth jest w szpitalu, w ciężkim stanie, ale wyjdzie z tego. Zawsze wychodziła cało z opresji...

Alona miała dziwny wyraz twarzy.

- Jutro do niej lecę- ciągnęła - lecę do tego Lwo-wa... Czy tam są jakieś hotele?

- Są i nie są— odpowiedziała dziewczyna.

- Co to znaczy?

- Jeszcze nie jesteśmy Europą, dopiero się jej uczyjemy.

- Strasznie jesteś tajemnicza - zniecierpliwiła się.
- Prosiłam tego pana Hja... jakoś tam, aby wynajął mi apartament.

- Pewnie w George'u.

- To dobry hotel?

- Dobry, tylko trochę stary.

- Ach, nieważne, przekonam się na miejscu. Teraz musimy ustalić kilka rzeczy, zostajecie sami z Alekiem. Nie wiem, ile czasu mnie nie będzie, to zależy od stanu mojej córki...

Alona spuściła głowę. Nagle stała się małomówna, ona, której usta się nie zamykały. Widać było, że jest bardzo przejęta.

- Gdybyś sobie z czymś nie dawała rady, zostawię ci telefon mojej przyjaciółki.

- To niepotrzebne - zaprotestowała dziewczyna.

- Z czym mam sobie nie dać rady? Alek jest już duży. Wszystko wiem, co mam robić.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Zostawię ci klucze od mojego mieszkania, żebyś mogła podlać kwiaty. Dobrze, że nie mam zwierząt, to byłby dodatkowy kłopot.

Alonie nagle łzy pociekły po policzkach.

- Co ty, płaczesz? - zdumiała się.

- Nie wiem, łzy same mi lecą...

Julię wzruszył ten objaw przywiązania do jej córki.

- Wiem, że dobrze życzysz pani Elizabeth. Ona wyzdrowieje, jest silna.

Dziewczyna zerwała się i wybiegła z kuchni, zamykając się w łazience. Julia pukała do niej, ale nie chciała wyjść. Nie wiedziała, co dalej, czy czekać na

Aleka, czy przyjść później? Postanowiła zajrzeć później. Zbierała się już do wyjścia, kiedy stanął w drzwiach. On też miał bardzo smutną minę.

- Gdzie Alona? - spytał.

- Zamknęła się w łazience.

-I beczy?

Skinęła głową.

-I tak już od trzech dni - powiedział z wymówką.

-Ale ty dzielnie się trzymasz. Jestem z ciebie dumna i Elizabeth też by była dumna. Powiem jej, jak sobie świetnie radzisz.

- To babcia do niej jedzie?

- Tak, kochanie, już jutro.

- Ja bym też chciał pojechać.

- Nie, ty musisz chodzić do szkoły, a poza tym dzieci do szpitala nie wpuszczają. Będę do ciebie dzwoniła i wszystko opowiem, a jak Elizabeth się polepszy, być może pozwoli ci przyjechać.

- Naprawdę? - ucieszył się.

- Obiecuję, że się za tobą wstawię.

- Alona by mnie przywiozła, ale sam też mógłbym lecieć. Już jestem duży.

- Nie wątpię - uśmiechnęła się. - Teraz muszę już iść, mam sporo pakowania.

Pochyliła się, aby go pocałować na pożegnanie, a on w nagłym odruchu przytulił się do niej. Trwali tak długą chwilę. To był ten moment, kiedy oboje czuli, że są rodziną.

Późnym wieczorem zadzwoniła do Susanne, która powinna była wrócić już z teatru.

- Jak twoja migrena? - spytała.
- Mam ci coś do powiedzenia. Wyjeżdżam.
- Ty wyjeżdżasz? - przyjaciółka nie kryła zdumienia. - Dokąd?
- Daleko. Na Ukrainę.
- Tam, gdzie jest ten otruty prezydent?
- Elizabeth miała wypadek.
- O mój Boże, czy to coś poważnego? - zawołała Susanne.
- Niestety tak, muszę tam do niej jechać. I miałabym do ciebie prośbę, abyś z daleka czuwała nad moim wnukiem, nad Alekiem. Jest z nim ta dziewczynka, ale jeszcze taka młoda. W razie jakiejś choroby może stracić głowę.
- A dałaś jej mój numer?
- Właśnie nie chciała, uważa, że sobie sama poradzi, ale byłabym spokojniejsza, gdybyś zajrzała tam od czasu do czasu.
- Możesz na mnie liczyć - odrzekła przyjaciółka.
- Będę do nich zachodziła codziennie.

Silniki startującego odrzutowca zagłuszały myśli. Czy to możliwe, że siedzi w samolocie, który uniesie ją na koniec świata? Ach, ta Elizabeth, zawsze były z nią kłopoty, odkąd się tylko urodziła...

To było lato sześćdziesiątego drugiego roku. Razem z grupą kolegów i koleżanek ze studiów biwakowali w Górach Skalistych. Przez parę tygodni włączyli się z plecakami, nocując w namiotach i żywiąc się konserwami. Czuła się tak rozkosznie beztrosko, chodząc na okrągło we flanelowej koszuli, džinsach

i butach na grubej podeszwie. Jej sympatią był wtedy kolega z uniwersytetu, miał na imię Walter i wydawał jej się niezwykle przystojny. Był wysoki, miał uśmiech Kennedy'ego i bardzo jasne, zaczesane do tyłu włosy. Trzymali się razem, od jakiegoś czasu też ze sobą sypiali, jak oboje ustalili, niezobowiązująco. Ale po tych wakacjach okazało się, że Julia jest w ciąży. Właśnie skończyła studia, on odbywał staż w kancelarii adwokackiej, nie myśleli o zakładaniu rodziny, ale ta rodzina, niestety, założyła się sama. Julia nie miała odwagi pójść na zabieg, mimo że Walter usilnie ją do tego namawiał. Potem, trzeba przyznać, uniósł się honorem i poprosił ją o rękę. Ale ich małżeństwo nie było szczęśliwe.

Rozwiedli się, kiedy Elizabeth miała dziewięć lat. Walter się wyprowadził i właściwie zniknął z jej życia. Bardzo rzadko odwiedzał też swoją córkę. Lepszy kontakt nawiązał z Elizabeth, gdy była już dorosła. Opowiadała ze śmiechem, że ojciec na spotkania z nią przyprowadza swoje kolejne narzeczone, które często są młodsze od niej. A Julia właściwie nie lubiła mężczyzn. Uważała, że są próżni i egoistyczni. Jej romanse bardzo szybko się kończyły, a kiedy zanosilo się na coś poważniejszego, po prostu się wycofywała. Było jej dobrze tak, jak jest, nie chciała niczego zmieniać. Skończyła dość niepraktyczny wydział nauki o teatrze i próbowała się jako reżyser teatralny. A potem napisała sztukę o swoim zbuntowanym pokoleniu, która narobiła wiele hałasu. Wróżono jej przyszłość w tym zawodzie, uznała jednak, że pisanie to bardzo męczące zajęcie. Nie zależało jej na uznaniu ani na rozgłosie.

Chciała wygodnie żyć. I los jej to ofiarował, Walter płacił wysokie alimenty, napływały tantiemy z wystawianej latami na Broadwayu sztuki, a kiedy to się skończyło, umarł jej ojciec, pozostawiając spory spadek. Nie miał więcej dzieci, jego druga żona umarła przed nim, więc Julia była jedyną spadkobierczynią. Z dnia na dzień stała się bardzo bogatą kobietą i narazie mogła robić to, co najbardziej lubiła, to znaczy kupować dzieła sztuki i otaczać się pięknymi przedmiotami. Byłaby naprawdę zadowolona ze swojego życia, gdyby nie macierzyństwo. To był wieczny wyrzut sumienia, że nie jest taką matką jak powinna. Kiedy godzinami przesiadywała w klubie jazzowym, gdzie jej przyjaciel grał na klarnecie, nie mogła się w pełni rozluźnić, bo wiedziała, że Elizabeth jest sama w domu. W drodze powrotnej kupowała jej jakąś zabawkę, dobrze wiedząc, że to niczego nie załatwia. Była dla siebie bardzo wyrozumiała we wszystkich sprawach, tylko w tej jednej oceniała się surowo. Nic więc dziwnego, że nie cierpiała siebie w tej roli, ale nie mogła z niej przecież zrezygnować. To była rola na całe życie. Więc starała się jakoś jej sprostać, a dziecko jest najsurowszym sędzią, wie, czy jest naprawdę kochane. Problem w tym, że Elizabeth była jedyną osobą na świecie, do której Julia żywiła jakieś uczucie. Może dlatego właśnie dochodziło między nimi do spięć. Kiedyś córka powiedziała w gniewie, że Julia traktuje swoje macierzyństwo jak dopust boży.

- Co ty znowu wymyśliłaś? - wybuchnęła. - Widocznie nudzisz się na studiach, więc postanowiłaś poddać analizie charakter swojej matki!

- To by mnie zabiło - odpowiedziała Elizabeth.

Ale może nadszedł czas zawieszenia broni? Ostatnio prawie się nie kłóciły. Niestety, nie oznaczało to zbliżenia. Elizabeth zawiadomiła ją, iż została babcią, w parę tygodni po tym fakcie. Powiedziała, że jej córeczka urodziła się przedwcześnie i były obawy o jej życie. Nie chciała więc Julii martwić. Ale tak naprawdę Elizabeth nie zależało, aby się z nią dzielić czymkolwiek. To ciągle podkreślanie, że stara się Julię chronić, w rzeczywistości było odsunięciem się od niej. Może córka dawała jej w ten sposób do zrozumienia, że jest już za późno, aby coś między nimi naprawić? Nie, nie było za późno, dopóki ona żyła i dopóki żyła Elizabeth, wszystko jeszcze mogło się między nimi wydarzyć.

Podczas całego lotu nad oceanem nie zmrużyła oka, chociaż była noc i wszyscy dookoła spali.

Miała wrażenie, że oderwała się od swojego życia, że odrzuciła je jak zużyty płaszcz. Tamta Julia nie zdobyłaby się na to, aby z dnia na dzień pojechać w nieznanne miejsce. No, nie było może tak znowu nieznanne. Wiedziała o nim sporo od córki, zaczęła się też interesować życiem tego heroicznego kandydata na prezydenta, pana Juszczenki. Być może, już wtedy zaczynała się w niej zmiana, której jeszcze nie była w stanie rozpoznać. Powoli stawała się kimś innym, nie myślała już przede wszystkim o swojej wygodzie.

W jej mózgu przesuwwały się obrazy z całego życia. Szczęśliwe dzieciństwo, dopóki żyła matka, i mniej szczęśliwa dorosłość. Zrobiło jej się żal, że nie poznała

prawdziwego uczucia do mężczyzny, że przed nim uciekała. I tego także, iż przegapiła dzieciństwo swojego dziecka. Ale teraz był przyszywany wnuczek Alek i ta maleńka dziewczynka, której jeszcze nie poznała. Postara się im oddać to, co się należało ich mamie. Powie jej o tym, jak już będą mogły ze sobą rozmawiać. Na pewno Elizabeth to ucieszy.

Na lotnisku w Londynie zdążyła wypić kawę i zaraz zapowiedziano samolot do Lwowa.

Pamięta takie jedno lato, jakie spędzała z córką, wtedy prawie sześćioletnią, w letnim domu rodziców Waltera. Dziadkowie Elizabeth wyjechali do Europy, a one miały do dyspozycji cały dom, pięknie położony w lesie nad jeziorem. Była tam też łódź motorowa, ale pływały nią tylko wtedy, gdy odwiedzał je Walter. Julia panicznie bała się wody i nigdy do niej nie wchodziła.

Opalała się na brzegu, kiedy w pewnej chwili usłyszała płacz córki. Podniosła głowę, a potem zerwała się na równe nogi. Elizabeth była w łodzi, która z wolna odpływała od pomostu.

- Skacz - zawołała do córki - błagam cię, skacz!
Ale córka bała się skoczyć.

Wtedy zsunęła się z pomostu do wody, która sięgnęła jej po szyję. Gdyby było odrobinę głębiej, zanurzyłaby się z głową. Uchwyciła się burty i przyhylała łódź z powrotem, przywiązując do pała.

Przeżywały potem to, co się stało, każda osobno...

Samolot wylądował i Julia wraz z innymi pasażerami weszła do terminalu. Wszystkiego mogłaby się spodziewać, tylko nie tego, że dworzec lotniczy będzie przypominał pałac z czasów Franciszka Józefa. Kto wie, czy budowla nie była autentyczna, przynajmniej na taką wyglądała. Elizabeth powinna to wiedzieć.

Po kontroli paszportowej wyszła za barierkę, za którą stała grupka ludzi oczekujących na pasażerów jej samolotu. Słyszała radosne okrzyki powitalne, ktoś komuś wręczał kwiaty. Rozejrzała się bezradnie, uczeptiona wózka, na którym piętrzyły się jej bagaże.

Po chwili dostrzegła stojącego nieco z boku wysokiego, szpakowatego mężczyznę, który trzymał w ręku planszę z jej imieniem i nazwiskiem.

Ruszyła w jego stronę.

- Julia Veysey to ja - powiedziała, siłąc się na uśmiech.

- Borys Hnatiuk - przedstawił się mężczyzna i pocałował ją w rękę.

- Co z moją córką? - spytała, czując, jak niespokojnie wali jej serce. - Będę mogła zaraz do niej pojechać?

- Może najpierw zawiozę panią do hotelu? - zaproponował zaskakująco niskim głosem.

Ten głos przez telefon brzmiał całkiem inaczej.

- Dobrze — zgodziła się posłusznie. - Czy Elizabeth odzyskała przytomność?

- Niestety nie - odrzekł, idąc przodem, pchał jej wózek.

Załadował walizki do samochodu zupełnie przyzwoitej europejskiej marki. Ruszyli.

- Według pani życzenia wynająłem apartament, proszę wybaczyć, dla nowożeńców. Tylko takim dysponowano.

- A jak się nazywa hotel?

- George - padła odpowiedź.

- Mówiono mi już o nim.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Czasy świetności ma za sobą, ale jest w miarę elegancki. Są inne w tym mieście, bardziej nowoczesne, nie wiem jednak, czy dobrze by się tam pani czuła.

- No tak, stary hotel najlepiej pasuje do starej damy - teraz ona się uśmiechnęła.

- Proszę nie żartować, oczekiwałem kogoś starszego.

- To Elizabeth robi ze mnie staruszkę - odrzekła kwaśno. - Czy pan dobrze zna moją córkę?

- Jestem zaprzyjaźniony z Andrew Sanickim, córkę pani zapamiętałem jako niezwykłą kobietę, pełną prawdziwego uroku. W pierwszej chwili myślałem nawet, że to ta aktorka MacDowell i że mam halucynacje...

- Nie pan jeden - uśmiechnęła się. - Elizabeth de-nerwuje to podobieństwo, przez pewien czas farbowała nawet włosy na jasny kolor...

Zajechali przed piękny, secesyjny budynek. Nie pojawił się boy hotelowy, więc pan Hnatiuk sam wniósł jej walizki do recepcji.

- Proszę się rozpakować, a ja tutaj zaczekam - zaproponował.

- I zawiezie mnie pan do córki?

- No... tak - zająknął się - ale najpierw chciałbym, aby przyjechał tu Andrew Sanicki. Pojadą państwo razem.

«

- Dobrze - zgodziła się. - Proszę ze mną na górę, z pewnością mam tam pokój dla gości?

Wjechali na piętro piękną, starą windą. Apartament rzeczywiście przypominał gniazdko dla nowożeńców. Wszystko w białych draperiach i kokardach. W innej sytuacji Julia pewnie by się ubawiła.

- Zostawię teraz pana w saloniku - powiedziała - a sama się trochę odświeżę. Może poprosimy o kawę?

- Ja to załatwię - odparł - proszę zająć się sobą.

Przeszła do sypialni z rozległym łóżem pod tiulowym baldachimem, a stamtąd do łazienki. W lustrze zobaczyła swoje odbicie.

„Jak ja staro wyglądam” - pomyślała.

Wzięła prysznic, potem poprawiła makijaż. Spieszyła się, ręce jej drżały, miała za sobą długą podróż i nieprzespaną noc.

Znajomy Elizabeth odsunął dla niej krzesło przy okrągłym biedermeierowskim stoliku.

- Marzyłam o kawie - powiedziała, unosząc filiżankę do ust.

- Podróż była męcząca?

- Owszem, ale to teraz nie jest najważniejsze. Teraz najważniejsza jest ona i chciałabym już do niej pojechać.

- Pani Julio, jeżeli wolno mi tak do pani mówić - zaczął jakimś dziwnym głosem mężczyzna - mój przyjaciel jest w bardzo złym stanie. Więc może będzie lepiej, jeżeli ja z panią pojedę.

- Dobrze, ale jedźmy wreszcie do niej - niecierpliwiła się. — Przemierzyłam pół świata, żeby się z nią zobaczyć. Chciałabym poza tym porozmawiać z leka-

rzami. Obawiam się, że będę zmuszona poprosić pana, by wystąpił w roli tłumacza...

Mężczyzna milczał długą chwilę.

- To nie będzie potrzebne - powiedział wreszcie.

- Nie wiedziałam, że tu wszyscy znają angielski.

On nagle wstał, podszedł do Julii, wziął ją za ręce i podprowadził do stojącej przy ścianie kanapki. Usiadł obok, ciągle trzymając jej dłonie w swoich. Była tym tak zaskoczona, że nawet nie próbowała się uwolnić.

- Jest gorzej, niż to pani przedstawiałem - powiedział, patrząc jej w oczy.

Czuła, jak krew odpływa jej z głowy. Nagle zrozumiała, że Elizabeth nie żyje.

Andrew ogarnęły wyrzuty sumienia, że nie wyszedł po matkę Elizabeth na lotnisko, a potem nie spotkał się z nią w hotelu. Obarczył tym obowiązkiem przyjaciela, bo czuł się tak wyczerpany, iż trudno mu było utrzymać się na nogach. Wiadomość, że nie wydadzą mu córki ze szpitala, dosłownie go zdruzgotała. Teraz tylko matka Elizabeth miała jakieś prawa do Oksany i przypuszczał, że zechce z nich skorzystać i wywiezie jego córeczkę do Ameryki. Od niego nic już nie zależało. Wydawało mu się niemal pewne, że ta kobieta zabierze mu Elizabeth, nie zgodzi się, aby jej córka została we Lwowie. Z tego powodu myślał o niej z niechęcią. Elizabeth co prawda nigdy źle o niej nie mówiła, ale wyczuwał, że jej matka była egoistką przedkładającą swoją wygodę nad wszystko inne.

Późnym wieczorem przyszedł Borys. Kiedy usiedli w gabinecie, poprosił o kieliszek wódki.

- Może być koniak?

- Wolałbym napić się wódki - odrzekł Borys - ale jak nie ma, to trudno.

Andrew przyniósł butelkę i kieliszki.

- Czy ona już wie? Powiedziałaś jej? - spytał.

- Wie.

-I jak zareagowała?

- Jak każda matka na jej miejscu.

Chwilę obaj milczeli.

- Od razu chciała jechać do kostnicy, musiałem ją zatrzymać niemal siłą - odezwał się Borys. - Dałem jej zastrzyk uspokajający i teraz śpi.

Andrew skinął głową.

- Myślisz, że zgodzi się, aby moja córka ze mną została?

- Tak właśnie myślę.

- Ty, Borys, zawsze byłeś optymistą - rzekł z goryczą- a to jest jakaś zwariowana Amerykanka, której wszystko może przyjść do głowy.

-Elizabeth też była Amerykanką - zauważył Hnatiuk.

- Elizabeth była jedna jedyna na całym świecie. Cudowna, wyjątkowa...

- Zgadzam się, ale mam też bardzo dobre zdanie ojej matce.

- Przecież jej nie znasz — rzekł z rozdrażnieniem.

- Wydaje mi się, że ją trochę poznałem - wolno odpowiedział Borys.

Siedzieli jeszcze długo, wypili całą butelkę. Borys u niego nocował, więc mogli sobie na to pozwolić.

- Już wiem, że do końca życia będę sam - powiedział do przyjaciela. - Żadna kobieta jej nie zastąpi.

- Jest taka jedna, ma na imię Oksana.

- A jak mi ją zabrają?
- Nawet o tym nie myśl - ofuknął go.
- Zwróciłeś uwagę, jaka ona jest podobna do Elizabeth?

- Owszem, ale powiem ci coś jeszcze, ona jest też podobna do jej matki.

- Jak to? - zdumiał się, był już lekko pijany, może dlatego nie zrozumiał przyjaciela.

- Rodzinne podobieństwo po prostu.

- Elizabeth była podobna do swojej matki?

-I to bardzo.

- Nigdy mi nie mówiła.

- Może dla niej nie było to takie ważne.

- A dla mnie? Dla mnie może to mieć znaczenie?

- Sądzę, że tak. Będzie ci ją łatwiej zaakceptować. Spojrzał zdziwiony na przyjaciela.

- A po co ją mam akceptować albo nie akceptować? Przyjechała i pojedzie.

- O nie - zaprotestował Borys - ona jest teraz twoją bliską rodziną jest babką twojego dziecka.

Myślał o tych słowach Borysa, kiedy rano jechali po Julię Veysey do hotelu. Czekali ich odwiedzenie szpitalnej kostnicy.

Kiedy pani Julia wysiadła z hotelowej windy, uczuł nagłe ukłucie w piersi. Bardzo przypominała swoją córkę. Elizabeth mogłaby tak wyglądać mniej więcej za dwadzieścia lat. Jej matka miała identyczny, czarny kolor włosów, tylko srebrzyły się w nich pasma siwizny. To, że ich nie farbowała, jakoś dobrze go do niej usposobiło. •

Twarz ukryła za ciemnymi okularami, nie widział więc jej oczu, zachowywała się jednak bardzo spokojnie.

- Cieszę się, że mogę poznać człowieka, którego kochała moja córka - powiedziała na przywitanie.

Andrew z szacunkiem pocałował ją w rękę.

Borys miał absolutną rację, to była osoba z dużą klasą co z daleka rzucało się w oczy.

Potem był ten przygnębiający szary budynek szpitala, bezosobowa klatka schodowa, schody prowadzące na dół i chłodnie, w których trzymano zwłoki.

- Może chce pani zostać z nią sama? - spytał.

- Chciałabym - powiedziała cicho.

Idąc po schodach, pomyślał, że jej przynajmniej zostało oszczędzone to, czego nie oszczędzono jemu. Podziemia szpitala w Doniecku można by z łatwością przyrównać do przedsionka piekła.

Borys stał przy samochodzie i palił papierosa. On ich tutaj przywiózł, Andrew nie był jeszcze w stanie prowadzić samochodu.

- Chciała zostać z Elizabeth sama - powiedział.

Przyjaciel skinął głową. Czekali ponad pół godziny, a potem pani Julia pojawiła się w drzwiach szpitala. Szła w ich stronę, miała spowolnione ruchy, jakby brakowało jej sił do zrobienia następnego kroku. Borys ruszył jej na spotkanie i podtrzymał ją.

- Ja tylko jestem zmęczona - usprawiedliwiła się, wsiadając do samochodu.

Długą chwilę jechali w milczeniu.

- Moja córka ma poranioną rękę. Co się stało? Czy to w czasie tego wypadku?

- Tak, w czasie wypadku - skłaniał Andrew.

Nie mógł przecież powiedzieć prawdy, bo jak coś tak potwornego można powiedzieć matce.

Kiedy żegnali się przed hotelem, matka Elizabeth zdjęła okulary i spojrzała mu prosto w oczy:

- Nie odbiorę ci jej - powiedziała. - Tutaj ją pochowamy.

Windą wjechała na piętro i weszła do apartamentu. Mimo że już tu przecież była, uderzył ją wygląd tego wnętrza, zupełnie jakby pomyliła drzwi. Przypominało dekorację z bulwarowej sztuki i było w o wiele gorszym guście niż sam hotel. Ale urządzono je przecież dla nowożeńców, jak jej powiedział Borys. Tak już o nim myślała, po imieniu. Ten mężczyzna pojawił się w najgorszym momencie jej życia, był posłańcem złej wiadomości, ale jednocześnie jakoś ją wspierał i była mu za to wdzięczna.

Świadomość, że Elizabeth już nie ma, poraziła i przeniknęła ją całą, czuła się pokonana fizycznie. Ona, zawsze taka sprawna, dbająca o kondycję, miała trudności z najprostszymi czynnościami, jak ubieranie się czy mycie zębów. Zupełnie jakby przyszyto jej obce ręce. Wtedy, przed szpitalem, kiedy wyszła z kostnicy, poczuła, że się boi otwartej przestrzeni. I ten obcy mężczyzna to zrozumiał, wyszedł jej naprzeciw. Takie przysługi pamięta się do końca życia.

Znużona położyła się na kanapce i przymknęła oczy. Pod powiekami trwał obraz ze szpitalnej kostnicy. Martwa twarz córki, jej nagie ciało, biedna poszarpana dłoń.

- Elizabeth - powiedziała wtedy z wymówką - miałyśmy porozmawiać i nie zdążyłyśmy...

Niczego nie wolno odkładać, teraz to wiedziała. Ale co mogła zrobić z tą wiedzą? Nie powie już Elizabeth, że jako matka ma sobie wiele do zarzucenia i chce ją prosić o wybaczenie, że czuła się samotna w dzieciństwie, że nie umiała dzielić z nią smutku po zniknięciu Jeffa i radości z poznania, czym jest miłość i macierzyństwo. „Ja tego nie wiem do tej pory, chociaż żyję dwa razy dłużej od ciebie. Więc odeszłaś bogatsza ode mnie. Jestem żebraczką, tak się właśnie czuję, jak ktoś najbiedniejszy pod słońcem...” - pomyślała.

Z recepcji nadeszła wiadomość, że na dole czeka pan Borys Hnatiuk. Poprosiła, aby wszedł na górę.

Jego twarz o twardych, męskich rysach i wysoka, barczysta postać w innym czasie pewnie zmusiłyby Julię do zachowania odpowiedniego dystansu. Nie darzyła go sympatią i jawne oznaki męskości ją odpychały, wolała mężczyzn nieco zniewieściałych, wręcz neurastenicznych, stąd pewnie wieloletnia przyjaźń z Woodym. Chociaż nie było między nimi nic z erotyzmu, dobrze się ze sobą czuli. Jej dotychczasowi partnerzy też nie wyróżniali się męską krzepą, byli nieco bezradnymi intelektualistami, to ona w tych związkach dominowała, narzucała swoją wolę, ale widocznie przeciwieństwa się przyciągają. Teraz czuła się pokonana.

Na widok mężczyzny, który wchodząc, musiał pochylić w drzwiach głowę, nawet się uśmiechnęła czy raczej próbowała się uśmiechnąć.

Ujął obie jej ręce i po kolei ucałował.

- Przyszedłem zabrać panią, Julio, na obiad - powiedział niskim głosem.

- Jestem umówiona z Andrew, mamy pojechać do mojej wnuczki - odrzekła.

- Przedtem jednak musi pani coś zjeść, podejrzewam, że nie zeszła pani na śniadanie.

- Nie jestem wcale głodna - usprawiedliwiała się jak mała dziewczynka.

- Idziemy - zdecydował.

Sądziła, że zejdą do restauracji, ale podał jej futro.

- W pobliżu opery jest mała restauracyjka - powiedział. - Mają świetnego kucharza.

„Czy to nie wszystko jedno” - pomyślała, ale nie chcąc robić mu przykrości, nie powiedziała tego głośno.

Wnętrze restauracji było przytulne, urządzone starymi meblami, pełne kotar i antycznych żyrandoli. Usiedli w niszy za kotarą i miała wrażenie, że schowali się tutaj przed światem. To jej bardzo odpowiadało.

Zaraz podszedł kelner, podał im kartę dań w trzech językach: ukraińskim, angielskim i niemieckim. Julia zamówiła królika w śmietanie i kieliszek białego wina, Borys długo studiował kartę, w końcu też coś wybrał.

-Odnoszę wrażenie - powiedziała - że pański przyjaciel goni resztką sił.

- Stracił kobietę swojego życia.

- A ja straciłam córkę.

- No i nie jest pani w lepszej kondycji od niego. Muszę was pilnować, żebyście oboje nie poumierali z głodu. Wtedy będą trzy pogrzeby.

Julia uznała to za niezbyt delikatne, jednak podziękowało. Zmusiła się do przełknięcia kilku kęsów.

-Mówi pan świetnie po angielsku, ale chyba z kanadyjskim akcentem?

Uśmiechnął się lekko.

- O to samo pytała pani córka. Wiele lat spędziłem w Kanadzie, ale także w Nowym Jorku.

-Tak?

-Jak pani wie, jestem lekarzem, pracowałem w St. Vincent w Greenwich Village. Ale teraz zakopałem się na wsi, mieszkam z matką. Musi wydarzyć się coś naprawdę ważnego, aby mnie wywabić z mojej nory.

„To tak jak ze mną - pomyślała - tylko że ja mam swoją norę na Piątej Alei”.

To, że Elizabeth tu pozostanie, że matka jej stąd nie wywiezie, sprawiło Andrew dużą ulgę. Niby nie miało znaczenia, gdzie pochowa się ciało. Człowieka już nie ma i nigdy nie będzie. A jednak odczuwał obecność Elizabeth i świadomość, że może jej tu nie być, była bolesna. Ważny okazał się fakt, że będzie mógł pójść do niej na cmentarz.

Ustalono, że Elizabeth zostanie pochowana w ich grobie rodzinnym na Cmentarzu Łyczakowskim. W pięknym miejscu, w otoczeniu starych drzew. Matka Andrew wyraziła na to zgodę.

- Przyjmiemy ją oczywiście, że przyjmimy-powiedziała - chociaż będzie ciasno, dla mnie jeszcze wystarczy miejsca, ale dla ciebie, synku, już nie.

- Córka mnie pochowa gdziekolwiek - odpowiedział.

Właśnie jechał do niej. Tym razem będzie mógł wejść na salę z jej babką już mu nie mogą odmówić.

Pani Julia i Borys czekali pod szpitalem. Wszyscy troje od razu udali się na górę. Dyżur miała ta sama młoda lekarka, która wtedy *nie* zezwoliła mu na wejście na oddział.

- Proszę się na mnie nie gniewać, panie Sanicki
- powiedziała - ale bałam się, że mogę stracić pracę.

- Nie gniewam się i rozumiem - odrzekł.

Kiedy matka Elizabeth rozwinęła dziewczynkę z kocyka i wzięła na ręce, ogarnęło go dziwne wzruszenie. Rodzinne podobieństwo babki i wnuczki spowodowało, że poczuł obecność Elizabeth.

- To takie pogodne dziecko - powiedziała lekarka.
- Naprawdę łatwe do chowania, świetnie je, bez problemu zasypia.

„Może już wie, że będzie sobie musiała radzić bez matki” - pomyślał.

-Andrew, spytaj, kiedy możemy zabrać malutką
- powiedziała pani Julia.

-W każdej chwili, tylko trzeba załatwić wypis
- odrzekła lekarka.

- Dzisiaj?

- Dzisiaj już kancelaria nieczynna, a jutro Nowy Rok - wyjaśnił Andrew.

- Przecież według waszego kalendarza Nowy Rok jest dwa tygodnie później. Sprawdziłam to - zdziwiła się pani Julia.

- Ale to oficjalne święto.

- Więc pojutrze? - Andrew skinął głową chociaż nie wiedział, dokąd właściwie pani Veysey zechce zabrać córkę.

Nic nie wiedział o jej planach wobec wnuczki, ona też o nich nie mówiła.

Kiedy czekali na windę, odważył się spytać:

- Czy... możemy na razie umieścić Oksanę u mojej matki? Wszystko jest dla niej przygotowane...

- Sądzę, że tak - odpowiedziała. — Nie zabiorę jej przecież do apartamentu dla nowożeńców. Tam nie ma warunków dla małego dziecka.

„A w Nowym Jorku? - pomyślał. - Tam są warunki?”

Głośno zaś powiedział:

- Jeżeli nie jest pani zmęczona, chciałbym przedstawić pani moją matkę.

- Z największą chęcią - odpowiedziała szybko.

Mimo zimna matka Andrew oczekiwała ich przybycia na ganku, i to w samym swetrze, zaniepokoił się więc, że się przeziębi. Włożyła w dodatku swoją cienką, odświętną sukienkę z koronkowym kołnierzykiem i mankietkami. Wzruszyło go to. W tej samej sukience witała kiedyś Elizabeth.

Na szczęście pani Julia znała francuski, więc nie musiał znowu występować w roli tłumacza.

- To ja zostawiam panie - powiedział - zajrzę do kancelarii.

Ale nie pojechał do kancelarii, tylko do swojego mieszkania. Czuł się bardzo zmęczony, położył się w gabinecie na kanapie i przymknął oczy. Wydawało mu się, że zdrzemnął się tylko chwilę, ale ze zdziwieniem spostrzegł, że ktoś okrył go kocem, usłyszał też krzątanie w głębi mieszkania.

W kuchni Borys smażył jajecznicę na boczku, pachniało świeżo parzoną kawą.

Powitał go słowami:

- Wiedziałeś, kiedy wstać.

- Długo spałem?

- Bardzo długo, zasnąłeś w roku dwa tysiące czwartym, a obudziłeś się rok później.

- Jak to?
- Mamy pierwszego stycznia *Anno Domini* dwa tysiące pięć.
- Żartujesz sobie?
- Ani trochę.
- Więc dlaczego mnie nie obudziłeś?
- Starałem się, ale bez skutku. Twój organizm upomniał się o swoje, przecież tak naprawdę nie spałeś od wielu dni.
- A co z panią Veysey? Zostawiłem ją u mamy.
- Wszystko w porządku, powitałem z obiema paniami Nowy Rok, a potem odwiozłem panią Julię do hotelu.
- Nie wiem, jak mam ci dziękować, Borys - powiedział, czując się winny. - Wszystko mi się wymyka z rąk.
- Spokojnie, przyjacielu - odrzekł, stawiając przed nim talerz. - Sprawy powoli wrócą na swoje miejsce.
- Zawsze będę miał poczucie straty - wybuchnął.
- Wypił tylko kawę, chociaż Borys gorąco namawiał go na jajecznicę.
- Czy matka Elizabeth mówiła coś o swoich planach wobec Oksany?
- Nie poruszaliśmy takich tematów, raczej mówiliśmy o skomplikowanej sytuacji na świecie. Pani Julia jest gorącą wielbicielką Juszczenki, wiedziałeś o tym?
- Nie wiedział i prawdę powiedziawszy, mało go to obchodziło. Niepokoiła go niewyjaśniona sytuacja jego córki. Bał się zaczynać rozmowę z panią Julią, bo nie wiedział, co może usłyszeć. A jeżeli ona zechce wywieźć stąd jego dziecko? Wtedy dojdzie między

nimi do konfliktu. Lepiej więc odłożyć to na później. Nie wolno zakłócać spokoju Elizabeth, przynajmniej do pogrzebu.

Nie ustalono jeszcze wszystkich szczegółów, nie wiedział, jaki to ma być pogrzeb, katolicki czy protestancki. Czy może w ogóle świecki. Nigdy nie rozmawiał z Elizabeth na temat wiary, ale gdyby w uroczystościach pogrzebowych nie uczestniczył ksiądz, byłby to wielki cios dla jego matki.

No i trzeba wreszcie zawiadomić Aleka, miał prawo wiedzieć, co się stało z Elizabeth. Powinien też być na jej pogrzebie. Zadzwoił w tej sprawie do Alony, ale ona kategorycznie odmówiła.

- Ja mu tego nie powiem, żeby mnie pan mecenas zabił, coś takiego nie przejdzie mi przez gardło - mówiła z płaczem. - Jak ja mam mu powiedzieć, że druga jego matka idzie do ziemi? Przywiozę go, wy mu to powiedzcie...

Potem Andrew nie mógł sobie darować, że kazał Alonie przywieźć Aleka. Myślał tylko o Elizabeth i wyobraził sobie, że ona chciałaby, aby jej syn uczestniczył w pogrzebie. A on był przecież małym chłopcem i nie potrafił sobie poradzić z tym faktem. Może tam, w Nowym Jorku, byłoby to dla niego łatwiejsze. Można by tę straszną wiadomość odsuwać w czasie tak długo, jak tylko się da. Chłopiec zacząłby się przyzwyczajać do nieobecności matki. Ale co odpowiadać na jego pytania? Kłamać w nieskończoność? Tak chyba nie wolno. Matka Elizabeth też była zdania, że trzeba dziecku powiedzieć prawdę.

Tylko co wyniknęło z tej prawdy? Chłopiec był w ciężkim szoku, Borys szpikował go zastrzykami. Alek spał, budził się i znowu zapadał w sen.

Nie było mowy o tym, aby zabrać go na cmentarz.

Pogrzeb Elizabeth odbył się szóstego stycznia, w samo południe. Niestety, media rozgłosiły tę datę, czyniąc z Elizabeth ostatnią ofiarę reżimu Kuczmy. Na cmentarzu zebrały się setki ludzi. Doszło tam niemal do politycznej manifestacji, tym bardziej że była na nim Julia Tymoszenko i w imieniu przyszłego prezydenta obiecała ludziom, że sprawa śmierci Gongadzego i zniknięcia amerykańskiego naukowca zostanie wznowiona. Po jej słowach rozległy się okrzyki i oklaski. To wszystko zakłóciło uroczystość.

Andrew wolałby, aby Elizabeth pożegnali tylko najbliżsi. I pani Julia też by sobie tego życzyła. Niestety, stało się inaczej. Amerykańską ambasadę reprezentował konsul Knitte. On też powiedział kilka słów.

Kiedy dębową trumnę spuszczano do grobu, uczuł silny ból pod mostkiem i był pewien, że to zawał. Po chwili jednak skurcz puścił i mógł rzucić grudkę ziemi na wieko.

W pewnej chwili ze zdumieniem rozpoznał w tłumie starego Krywenkę. Uznał to za oburzające i chciał wyrzucić go z cmentarza, ale potem przyszła refleksja, że Elizabeth na pewno by tego nie chciała. Dziadek Aleka sprawiał wrażenie nawróconego grzesznika.

Po pogrzebie Andrew zaprosił Julię Tymoszenko i konsula na obiad do domu matki. Przy stole siedziały więc dwie Julie i jakoś dobrze się rozumiały. Konsul rozmawiał głównie z Borysem, on mógł milczeć. I był za to wdzięczny swoim przyjaciołom.

Kiedy goście wyszli, pani Julia zwróciła się do Borysa:

-Chciałabym przed wyjazdem do Ameryki odwiedzić to miejsce, w którym umierała moja córka. Ale sama tam nie trafię, czy mógłby mi pan towarzyszyć?

- W każdej chwili - odpowiedział.

Andrew pomyślał, że nadal nie wie, czy pani Julia wyjeżdża sama, czy też zechce zabrać mu córkę. Jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

- Andrew, musimy zastanowić się nad przyszłością dzieci Elizabeth, trzeba ustalić, kto podejmie się opieki nad nimi.

Andrew patrzył na nią z napięciem.

- Dużo myślałam o tej sytuacji. Uważam, że dzieci nie powinno się rozdzielać, bo to są przecież jej dzieci. A nie wiadomo, gdzie zechce mieszkać Alek. On ma dom w Nowym Jorku, tam chodzi do szkoły, tam ma kolegów...

- Więc to Alek ma decydować o losie mojej córki?

- spytał, czując, jak z emocji zasycha mu w ustach.

Matka Elizabeth udała, że tego nie słyszy.

- Córka mówiła mi, że masz zamiar przenieść się do Ameryki, szukaliście domu pod Nowym Jorkiem. Czy nie tak?

- Chciałem to zrobić dla niej, dla Elizabeth, teraz nie mam powodu, aby opuszczać swój kraj. I nie chciałbym, aby opuszczało go moje dziecko.

- Oksana jest w połowie Amerykanką, dlaczego ma się wychowywać tutaj?

Chwilę patrzyli sobie w oczy, jakby badając, które z nich jest silniejsze.

- Bo tutaj ma ojca.

Pani Julia długą chwilę milczała.

- To na pewno ważny argument, jednak dla mnie ważniejsze jest, aby nie rozdzielać dzieci. Ale porozmawiajmy jeszcze o tym, może znajdzie się jakieś rozwiązanie...

- Będę walczył o swoją córkę - odrzekł twardo.

Ostatnie dni były dla Julii ponad miarę ciężkie. Powtarzała w myślach, że musi znaleźć w sobie siłę, aby dotrzeć do pogrzebu córki. A potem, potem będzie jej już wszystko jedno. Miała takie uczucie, że wraz z odejściem Elizabeth dla niej też wszystko się skończyło. Mimo że nigdy nie były ze sobą blisko, że każda z nich miała swój krąg ludzi i spraw, w tym tragicznym momencie wszystko się skupiło wokół niej. Przyszłość rysowała się dla Julii jak ciemna plama.

W dniu pogrzebu, po kilku pochmurnych, ponurych dniach, pojawiło się słońce, oświetlając przepiękny, stary cmentarz.

Zaskoczył ją tłum, który wypełnił cmentarne aleje, ludzie stali też na chodniku przed bramą i na jezdni, hamując ruch. Pojawił się milicjant i kierował samochody w boczne ulice. A potem były długie przemówienia, których nie rozumiała, ale ludzie przerywali je oklaskami. Niektórzy nawet płakali.

„Elizabeth - myślała - kim naprawdę byłaś, dlaczego nie zadałam sobie trudu, aby cię lepiej poznać... ”

Kiedy trumnę spuszczano do dołu, zauważyła, że coś złego dzieje się z Andrew. Miał upiornie bladą, wykrzywioną bólem twarz. Powodowana współczuciem dla tego mężczyzny, którego poznała przed kilku-

ma zaledwie dniami, a traktowała jak kogoś bliskiego, poszukała wzrokiem Borysa, chcąc jakoś dać mu do zrozumienia, żeby pomógł Andrew, ale on pokręcił nieznacznie głową na znak, że nie powinni się wtrącać.

Wychodziła z cmentarza z poczuciem, że za bramą rozpocznie zupełnie nowe życie, niemające nic wspólnego z kobietą, którą była przedtem. Niczego teraz o sobie nie wiedziała ponad to, że nie będzie już tak, jak było.

Wróci do Nowego Jorku, bo tam jest jej dom, ale jak się będzie umiała w tym domu odnaleźć? Czy będzie żyła w nim sama, czy z wnukami?

Andrew zechce z pewnością mieć wpływ na los swojej córki. Najlepiej, żeby przeniósł się do Ameryki, jak to planowali z Elizabeth. Wtedy nie byłoby już takie istotne, gdzie mieszkałyby dzieci, u niej czy u niego. Jedno nie ulegało wątpliwości: dzieci nie wolno rozdzielać. A przecież Alek na pewno zechce z nią wrócić. Oczywiście, trzeba go będzie o to spytać, jak już przyjdzie do siebie. Na razie nie można z nim było prowadzić żadnych poważnych rozmów. Trzeba będzie poczekać jeszcze kilka dni. Tak twierdził Borys, a do niego miała całkowite zaufanie.

Ucieszyła się, że chciał towarzyszyć jej do miejsca, w którym zdarzył się wypadek. Sądziła, że polecą samolotem do najbliższego miasta, gdzie było lotnisko, a tam wynajmą samochód. Borys stwierdził jednak, że musi wstąpić po drodze do domu. A poza tym o wynajmowaniu samochodu nie mogło być mowy, pozostawała taksówka, jednak żaden taksówkarz nie zaryzykuje wyprawy w zaśnieżone lasy.

„A moja córka się nie bała” — pomyślała gorzko.

Wczesnym rankiem, w dwa dni po pogrzebie, wyjechali ze Lwowa terenowym samochodem Borysa.

- Lwów jest pięknym miastem - powiedziała, wyglądając przez okno - tylko szpecą je te straszne bloczydła. Dlaczego tyle tego nabudowali?

- Oto jest pytanie - uśmiechnął się mężczyzna.
- To grzechy poprzedniego systemu, zostawił po sobie wielką płytę, jedyny pomnik, który trudno będzie zburzyć.

Dobrze się czuła w jego towarzystwie, mimo że wielokrotnie w czasie tych dni był świadkiem jej słabości, a takich świadków się nie lubi.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeżeli uchylę okienko i sobie zapalę? - spytał.

- Ależ nie, ja nawet lubię zapach dymu - odpowiedziała szybko, chociaż oczywiście nie było to prawdą.

Borys się chyba domyślił, bo odrzekł:

- To nie będę palił.

- Ależ proszę - zaoponowała. - Nie chciałabym, aby w związku z moją osobą spotkała pana najmniejsza niedogodność...

- Pani Julio - odrzekł, spoglądając na nią swoimi ciemnymi, głębokimi oczami - przebywanie z panią jest dla mnie przyjemnością.

Długi czas jechali w milczeniu, Julia wyglądała przez okno.

- Ja i moja córka inaczej widziałyśmy świat - odezwała się - więc nie mogłyśmy się porozumieć. Istniałam tylko po to, aby z tego świata korzystać, a ona chciała go zmieniać. Ale nie zmieniła, ten świat ją zmiażdżył. I nikt o tym nie wie.

- Nie powiedziałbym, że przeminęła bez śladu. Ona czegoś nauczyła nas, Ukraińców. Dzięki jej obecności na Ukrainie wiedzieliśmy, że nie jesteśmy sami. Stąd te tłumy na jej pogrzebie. Ludzie przyszli jej podziękować.

- Więc to nie była ciekawość?

- Jestem pewien, że nie.

Na drodze panował duży ruch, wymijały ich i nadjeżdżały z przeciwka przedziwne pojazdy, najczęściej ciężarówki, jakby wyjęte z muzeum motoryzacji. Ich kierowcy jednak mieli na ten temat inne zdanie, widocznie wydawało im się, że prowadzą najnowsze modele wyścigowe, bo pędzili na złamanie karku. Kilka razy uniknęli kolizji tylko dzięki zimnej krwi jej towarzysza podróży.

-Uf, może zatrzymamy się gdzieś na chwilę. Marzę o filiżance kawy - powiedziała Julia.

Borys wydawał się zakłopotany tą propozycją.

- Jeżeli to jakiś kłopot - zaczęła szybko.

-Żaden kłopot - odparł - tylko kawa w tych wszystkich zajazdach jest wyjątkowo podła. Gdyby wytrzymała pani jeszcze godzinę, ugoszczę ją w swojej chacie, a kawę parzyć umiem.

- Skoro tak, to nie mam wyjścia.

Miejscowość, w której mieszkał Borys, nazywała się Kukoliwka i nazwa ta od razu skojarzyła się Julii z Anatewką. Była zresztą równie malownicza jak tamta, większość stanowiły drewniane domy, niektóre kryte specjalnym rodzajem słomy. Drewniany był też dom, przed którym się zatrzymali, położony na skraju lasu. Większość drzew stanowiły brzozy.

- Pięknie pan mieszka - powiedziała - a brzozy są bardzo przyjazne człowiekowi, gdzieś o tym czytałam.

- O tak - odrzekł - to moje ulubione drzewa.

Oczekiwała, że dom wewnątrz będzie tak samo skromny, a znalazła się w przestronnym wnętrzu, ciekawie urządzonego. Wszystko tu miało swoje miejsce, kuchnia oddzielona była bufetem od salonu z kominem, gdzie stały wygodne, skórzane meble i wszędzie widziało się książki. Całe ich sterty zalegały półki.

- Mogłabym się tu zaszyć i czytać, widzę angielskie wydania - powiedziała z uśmiechem.

- Jest pani zaproszona - odrzekł gospodarz, a potem dodał: - Upichcę coś, po co mamy sobie psuć żołądki w jakiejś restauracji.

Patrzyła na niego lekko zaskoczona.

- A ma pan z czego? - spytała wreszcie.

- Oczywiście. Lubi pani spaghetti bolognese?

- Owszem, ale jadam je tylko we Włoszech.

- No to teraz zrobi pani odstępstwo i zje spaghetti bolognese w Kukoliwce.

Patrzyła, jak z dużą wprawą wyjmuje produkty z różnych szafek, kroi w kostkę warzywa, mięso. Gotuje makaron. Z prawdziwych pomidorów, czosnku i innych przypraw robi sos.

Mniej więcej po godzinie siedziała nad parującym talerzem.

Borys przyniósł z piwniczki czerwone wino.

- Czy nie jest pan z pochodzenia Włochem? - spytała rozbrojona.

- Jestem Ukraińcem z dziada pradziada, ale uwielbiam kuchnię śródziemnomorską.

Przenieśli się potem do salonu na kawę. Julia zapadła w miękką kanapę i nagle odczuła zmęczenie, najchętniej już by się z niej nie ruszyła.

- Pani Julio, mam propozycję - powiedział.
- Zrobmy przerwę w podróży. Dni są krótkie, nie dojedziemy na miejsce przed zmrokiem.

- Czy to nie będzie dla pana kłopot?

- Żaden, a mama będzie zachwycona.

- Nie przyszła się przywitać, więc może jednak jestem nieproszonym gościem?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Ona już nie wstaje. Ma sto lat.

- Sto lat! - zdumiała się Julia.

Ale jej zdumienie jeszcze wzrosło, gdy Borys zaprowadził ją na górę. Pod olbrzymią, puchową pierzyną leżała małeńka pani z siwym warkoczem oplecionym wokół głowy.

- Przedstawiam ci panią Julię Veysey, matkę tej uroczej kobiety, która niedawno u nas nocowała - powiedział do niej głośno syn.

- Wiem, Elizabeth Connery - odrzekła staruszka.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia. To była piękna kobieta.

Julia poczuła się tak zaskoczona, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- To, że nie chodzę, nie oznacza, że nie mam mózgu - usłyszała szorstkie wyznanie. - Słucham wiadomości i stąd wiem o nieszczęściu, jakie panią spotkało. Ja bym nie chciała przeżyć swojego syna i bardzo, bardzo pani współczuję.

- Dziękuję - odrzekła speszona.

Borys pochylił się nad łóżkiem.

- Mamusiu, schodzimy na dół, chcesz do nas dołączyć?

- Może później - odrzekła - teraz rozmyślam.

Na schodach Julia powiedziała:

- Pańska matka to niezwykła osoba, nikogo takiego dotąd nie spotkałam.

- O, tak - odrzekł z naciskiem.

Nie bardzo wiedziała, co to miało oznaczać. Może staruszka go terroryzuje? Na pierwszy rzut oka widać było, że ma zdecydowany charakter. Ciekawe, jakie prowadziłyby z Elizabeth rozmowy, gdyby ona dożyła stu lat i rezydowała pod taką pierzyną? Może bardzo podobne, jeśli skleroza nie zagłuszyłaby jej myśli. Ale to się nie mogło wydarzyć z tego chociażby powodu, że nawet gdyby dożyła podobnego wieku, nie miała już dla kogo być matką...

Borys zauważył chyba zmianę w jej nastroju, bo zaproponował spacer, zanim zapadnie zmrok.

Szli leśną drogą, na której wyjeżdżone były głębokie koleiny. Wszędzie dookoła leżał śnieg, promienie zachodzącego słońca zabarwiały go na różowo. Wyglądało to naprawdę pięknie, ale z Julią zaczynało dziać się coś bardzo niedobrego. Nagle nie mogła znieść widoku tych ośnieżonych drzew, tej drogi. Bo to była sceneria, w której umierała jej córka. Czuła, że musi natychmiast opuścić to miejsce, ale jej towarzysz niczego nie zauważył. Wyprzedził ją o parę kroków, potem dopiero dotarło do niego, że ona nie idzie za nim.

- Julio, co się stało? - zawołał.

Nie była w stanie odpowiedzieć, miała zaciśnięte gardło. Zaczynało brakować jej powietrza.

Borys chwycił ją za ramiona, zaczął silnie potrząsać, ale było coraz gorzej. Słyszała jego głos gdzieś z daleka, a potem ogarnęła ją ciemność.

Otworzyła oczy i ze zdziwieniem stwierdziła, że leży na kanapie, przykryta pledem.

- Jak się tutaj znalazłam? - spytała słabo.

- Przyniosłem cię na rękach - usłyszała. - Gwałtownie ci spadło ciśnienie...

„To nie ciśnienie - pomyślała - tylko ból, którego nie można wytrzymać... ”

Po kolacji Borys rozpałił w kominku, Julia zapatrzyła się w ogień. Płomienie pełzały wokół polan, a potem wystrzeliły w górę. Było w tym coś fascynującego, jakby na jej oczach odbywało się misterium życia, podczas gdy ona przebywała w kręgu śmierci. Czuła to, wiedziała, że aby móc dalej żyć, musi przestać tak myśleć.

- Mama o tej porze jest nastawiona towarzysko, nie miałabyś nic przeciw temu, gdybym zniósł ją na dół?

- Oczywiście, bardzo chętnie zobaczę się z twoją mamą.

W jakiś naturalny sposób zaczęli sobie mówić po imieniu.

Obserwowała, jak Borys znosi po schodach tę kruchą panią. Była owinięta w koc, spod którego wystawały stopy w grubych, wełnianych skarpetach.

Syn posadził ją w fotelu, z niezwykłą czułością obkładając poduszkami.

- Tak dobrze, mamó? - spytał.

- Świetnie, synu - odrzekła - ale raczej zajmij się gościem. Może przyniesiesz nam z piwniczki nalewki, tej na pigwie. Rozjaśnia myśli.

Julia doceniła fakt, że mówili po angielsku. Borys zszedł do piwnicy i została sama ze staruszką.

- Wiele lat spędziłam za granicą, ale w końcu za tęskniłam za swoimi stronami - powiedziała. - Przykro mi tylko, że mój syn wycofał się z życia. Za wcześnie na to.

- Wydaje mi się, że czuje się na swoim miejscu.

- Wiejska chałupa pod lasem to nie jest miejsce dla wspaniałego lekarza i naukowca - odpowiedziała gniewnie. - Mam nadzieję, że on to w końcu zrozumie i że zrozumieją to nowe władze. Dlatego głosowałam na Juszczenkę.

- Podziwiam tego człowieka - powiedziała Julia z ożywieniem.

- Zobaczymy, jak sobie będzie radził, ma bardzo trudną sytuację.

Wrócił Borys, postawił karafkę na stoliku, na tacy ze starego srebra. Julia przyjrzała się jej i dostrzegła wyrzeźbionego dwugłowego orła.

- Ten orzeł to chyba dla was symbol niewoli? - spytała.

- Był dla nas łaskawszy niż sierp i młot - odrzekł z uśmiechem mężczyzna. - Śledzę dyskusję na forum europejskim o zakazie używania nazistowskich symboli, którą sprowokował młodszy syn angielskiego następcy tronu, przychodząc na prywatkę ze swastyką na rękawie... •

- To nie jest syn Karola - wtrąciła jego matka - tylko tego koniuszego, z którym Diana go zdradzała. Jest rudy i do niego łądząco podobny.

- Mamo, skąd ty masz takie informacje? - zdumiał się Borys.

- Z telewizji, mój synu - odrzekła.

-Chciałem tylko jeszcze dodać, że gdyby ktoś wystąpił z podobną propozycją w odniesieniu do symboli komunistycznych, odezwałyby się głosy oburzenia. A liczba ofiar tych dwóch totalitaryzmów jest nieporównywalna. Nazizm zabił dwadzieścia pięć milionów ludzi, a komunizm ponad sto!

Julia była wstrząśnięta tym, co usłyszała.

- To aż taka różnica? My tego po prostu nie wiemy, bo nikt nam o tym nie mówi.

-Nazizm zabijał jawnie, a komunizm po cichu - rzekła gniewnie matka Borysa - a poza tym ten pierwszy uderzył w Europejczyków, Anglików, Francuzów, a ten drugi wyniszczał gorsze rasy...

- Tak nie możesz mówić, mamo — zaprotestował jej syn.

- A właśnie, że mogę. Sama na własne uszy słyszałam, jak reporter BBC relacjonował, że w jakiejś katastrofie zginęło dwustu ludzi i dwa tysiące Chińczyków! A jak myślisz, czy dla brytyjskiego reportera tacy Czeczeni na przykład to ludzie? Czy tylko Chińczycy?

- Tak chyba nie wolno patrzeć na świat - powiedziała cicho Julia.

- Z perspektywy Nowego Jorku nie wolno, ale z perspektywy Kukoliwki jak najbardziej.

- Mamo! Z tobą nie można dyskutować na tematy polityczne, bo się strasznie zacietrzewiasz - powiedział Borys ugodowo.

- Bo już za długo żyję, synu, i widzę, że nikt nie wyciąga żadnych nauk z historii. Więc muszę się denerwować.

- A za dziesięć minut jest twój ulubiony program o majsterkowiczach.

- Tak? - ożywiła się starszuszka. - To zanieś mnie na górę i włącz mi telewizor!

Kiedy Borys zszedł na dół, Julia spytała, co to za serial.

- Uczą w nim, jak z niczego zrobić krzesło albo stolik.

-I twoją mamę to interesuje?

- Wyobraź sobie, że tak.

W nocy nie mogła zasnąć, może dlatego, że to było kolejne nowe miejsce, a może obawiała się tego, co ją jutro spotka. Wydawało jej się, że zna siebie dobrze i potrafi przewidzieć swoje reakcje, a to, co się dzisiaj wydarzyło, wymknęło jej się spod kontroli. Nagle nie rozumiała, co się dzieje. Ta leśna ośnieżona droga i drzewa... Może nie powinna jechać w tamto miejsce, może powinna poczekać, aż rana się zagoi. A jeżeli nie zagoi się nigdy?

Mówią, że czas leczy wszystko. Ale czy dotyczy to matek, które straciły swoje dzieci?

Przecież musi żyć, nie popełni samobójstwa. Ale nie poznaje teraz siebie. Nie wie, na co ją stać. I ma żal, że jest taka bezbronna. Że chłonie ból jak gąbka. Jak będzie teraz żyła? «

Nie zapalając światła, niemal po omacku, zeszła na dół. Nalała sobie szklanę wody i usiadła na kanapie. W kominku dopalało się smolne polano, rzucając na podłogę świetlne refleksy.

W pewnej chwili na schodach rozległy się kroki. To był Borys.

- Nie możesz spać? - spytał.

-Jakoś nie mogę...

- Zaparzyć ci ziółek?

-A czy ziółka mogą uleczyć duszę? - spytała gorzko.

- Moje mogą- odparł całkiem serio.

- To zaparz mi je, Borysie - powiedziała i nagle łzy pociekły jej po policzkach.

Płynęły teraz i płynęły, jak słona woda. Nie wstydziała się ich, przynosiły jej ulgę.

W pewnej chwili położyła głowę na ramieniu mężczyzny, który w milczeniu usiadł obok.

Wiele godzin Andrew spędzał teraz w kancelarii, przesiadując za biurkiem zawalonym dokumentami. Przeglądał teczki, porządkował papiery i odkładał do segregatorów, które chował potem do szuflad lub na półki. Te zwyczajne czynności paradoksalnie wprowadzały pewien ład w jego życie. Wychodził ostatni, długo po opuszczeniu kancelarii przez pracowników. Gasił światło, zamykał drzwi na klucz z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Potem jechał do domu matki, gdzie przebywała jego córka. Zwykle o tej porze już spała, siadał więc przy jej łóżeczku i patrzył na nią. To, co czuł do tego dziecka, nie dało się prosto

zdefiniować. Była w tym więc rodzinna, był przecież jej ojcem, ale także żał, że nie potrafi mu zastąpić Elizabeth. A tak bardzo wierzył, że córeczka wypełni pustkę, jaką odczuwał od momentu odejścia jej matki. Starał się, naprawdę się starał, ale mimo wysiłków wracało poczucie, że bez Elizabeth nic nie ma sensu. Popadał wtedy w stan apatii, godzinami potrafił siedzieć bez ruchu, patrząc w ścianę. Zazwyczaj po wizycie u matki wracał do swojego mieszkania. Matka proponowała mu, aby przeniósł się do niej, mógłby wtedy więcej czasu spędzać z Oksaną. Ale nie zdecydował się na takie przenosiny, nie był jeszcze na to psychicznie przygotowany. Musiał mieć miejsce, gdzie mógłby być sam.

A przecież sprawy potoczyły się lepiej, niż przypuszczał. Matka Elizabeth wyraziła zgodę na to, aby Oksana z nim została. Postawiła jednak warunek, że dzieci muszą być razem. Nieoczekiwanie przyszedł mu z pomocą Alek. Szanse na to, że chłopiec zechce zostać na Ukrainie, były raczej małe. Kiedy jednak minął pierwszy szok po stracie matki, zadali mu pytanie: czy chce wrócić do Nowego Jorku, czy woli zostać tutaj.

Długo się zastanawiał, a potem odrzekł:

- Chcę być tam, gdzie moja siostra. Ona też nie ma mamy i muszę się nią opiekować.

- A jeżeli Oksana zostanie ze swoim tatą? - spytała pani Julia.

- To ja też tu zostanę.

Po długich dyskusjach Andrew i matka Elizabeth wspólnie zdecydowali, że chłopiec jednak wróci do Nowego Jorku, gdzie będzie do końca roku szkolnego.

Potem przyjedzie tutaj na wakacje i jeżeli wtedy zdecyduje się zamieszkać we Lwowie na stałe, pani Julia się temu nie sprzeciwi.

Andrew odwiózł tych dwoje na lotnisko, Alona wyjechała już wcześniej, zaraz po pogrzebie. Patrząc, jak odchodzą za barierkę, pani Julia prowadziła chłopca za rękę. Był niemal pewien, że Alek tu nie wróci i że ona o tym dobrze wie. Zrezygnowała jednak z walki o wnuczkę. Dlaczego? Czy zabrakło jej uczucia, czy to był raczej lęk przed odpowiedzialnością za takie małe dziecko? Nie znał odpowiedzi.

Zaczął znowu śledzić to, co się dzieje w jego kraju. Dwudziestego trzeciego stycznia Wiktor Juszczenko został zaprzysiężony na prezydenta, następnego dnia zaś udał się z oficjalną wizytą do Moskwy. Andrew obserwował spotkanie tych dwóch ludzi, z których jeden - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - zamieszany był w zamach na drugiego. Teraz musieli podać sobie ręce i w końcu zasiąść do rozmów przy stole. Ale Putin przedtem musiał przełknąć jeszcze jedną gorzką pigułkę: poszukiwana listem gończym w Rosji Julia Tymoszenko w swoim kraju miała pełnić obowiązki premiera. Przyjął to z kwaśnym uśmiechem. Tłumaaczył, że Rosja nie prowadziła żadnych działań zakulisowych w czasie wyborów na Ukrainie, ulegała jedynie prośbom o pomoc ówczesnych władz.

- Cieszę się, że na Ukrainie sytuacja się ustabilizowała - mówił, a przecież nie było w tym słowa prawdy.

Dla Andrew wyglądało to jak spotkanie śmiertelnie rannego niedźwiedzia z przebiegłym lisem. Lis nie mógł pokonać niedźwiedzia wprost, ale jego chytre

spojrzenie mówiło, że to tylko kwestia czasu. Wiedział dokładnie, jaką truciznę podano przeciwnikowi i jak ona działa. Czas grał na jego korzyść. Kiedy patrzył, jak Juszczenko schodzi po schodkach samolotu na lotnisku w Moskwie, zwrócił się w myślach do swojego przyjaciela.

- Ile jeszcze zdążysz zrobić dla Ukrainy?

On sam postanowił się wycofać z polityki, mimo że Julia, która już oficjalnie została premierem, proponowała mu tekę ministra sprawiedliwości.

- Nie, Julio, muszę odmówić - rzekł stanowczo.

- Pomogłem wam, jak umiałem, ale żaden ze mnie polityk. Jestem adwokatem i lubię swój zawód.

- Gdyby żyła Elizabeth, nie pozwoliłaby ci się usunąć w cień - odpowiedziała rozżalona.

Na początku marca w jego kancelarii pojawił się pewien mężczyzna. Andrew swego czasu polecał go Elizabeth jako kogoś mogącego jej ułatwić poszukiwanie męża. Nazwała go Informatorem.

Zadzwoiła sekretarka:

- Jest tutaj pan, który nie był umówiony, ale mówi, że ma pilną sprawę i pan mecenas na pewno go przyjmie.

- Jak się nazywa?

- Wiktor Dmytruk.

Andrew na moment zeszywniał, przelatowały mu przez głowę pytania. Czego on tu chce? Kto go przysyła? Może chce sprzedać jakieś informacje? Albo coś wie o śmierci Elizabeth. To mógł nie być wypadek, ale ukartowane morderstwo.

- Niech wejdzie - rzekł wreszcie.

Dmytruk, wysoki, postawny, w rozpiętym futrze, mógłby grać bojara w jakichś filmowych superprodukcjach, w rzeczywistości był zwyczajnym donosicielem.

- Może się pan rozbierze - zaproponował Andrew.

- To nie potrwa długo, tylko parę słów. Ale przedtem chciałem powiedzieć, jak mi przykro z powodu śmierci pani Connery. To była niezwykła kobieta, naprawdę wyjątkowa i szczerze chciałem jej pomóc...

- Ale nie udało się panu.

- Wtedy niestety nie, teraz dotarły do mnie pewne informacje, które mogą pana zainteresować.

- Więc słucham.

Informator wyciągnął odruchowo papierosy, ale zaraz spojrzął na Andrew.

- Nie wiem, czy mogę zapalić?

- Proszę.

Zaciągnął się dymem, Andrew zauważył, że jest zdenerwowany.

- Sytuacja się zmieniła, są nowe władze, w naszym resorcie panuje spory popłoch - powiedział tamten.

- Domyślam się - rzekł ironicznie.

- No cóż, ten i ów zalewa robaka, a przy wódce mówi się różne rzeczy...

- Co chce mi pan sprzedać i za ile? - uciał.

Po twarzy mężczyzny przesunął się cień.

- Pani Connery mi już zapłaciła, chcę się teraz z tego wywiązać. Jeden z naszych wygadał się, że w strefie Czarnobyla w tajnym więzieniu od paru lat trzymają specjalnego więźnia. Podobno to Amerykanin.

Ich oczy się spotkały.

-Byliśmy z panią Connery w takim więzieniu. Okazało się puste.

Informator krzywo się uśmiechnął.

- Tamta wasza podróż... wiedzieliśmy o każdym waszym ruchu.

Andrew był zaskoczony, wtedy wyglądało na to, że udało im się zgubić ogon. Tak przynajmniej twierdził ich przewodnik, nazywający siebie Stalkerem.

- No tak, Stalker - pokiwał głową Dmytruk - był na naszych usługach. I chwała Bogu, gdyby was zaprowadził do więzienia, już byście stamtąd nie wrócili. Nie ma co go potępiać, walczył o życie.

Andrew chwilę się zastanawiał.

- A pan wie, gdzie jest to więzienie?

- Mogę się dowiedzieć.

- Więc proszę się dowiedzieć - zdecydował. - Ile to będzie kosztowało?

- Już powiedziałem, że pani Connery mi zapłaciła - odrzekł urażony, idąc ku drzwiom.

Miała sześćdziesiąt cztery lata, w tym wieku niczego już nie zaczyna się od początku, w tym wieku raczej robi się podsumowania. Jednak tego właśnie się obawiała, jak wypadnie ten bilans. Kiedy była młoda, traktowała swoje życie jak koncert, którego tylko ona miała prawo słuchać, ten koncert trwał i trwał, muzyka była coraz piękniejsza, a Julia stawała się coraz bardziej wytrawną słuchaczką. A teraz muzyka nagle umilkła i nie wiedziała, co ma ze sobą począć.

Alek wrócił do mieszkania Elizabeth, ustalili z Andrew, że do wakacji będzie się nim opiekowała Alona.

Potem podejmą dalsze decyzje co do losu chłopca i jej wnuczki. Oksana została na pewien czas u swojej drugiej babki, we Lwowie.

Julia nie upierała się, aby ją ze sobą już teraz zabrać, bo prawdę powiedziawszy, trochę ją przerażała opieka nad takim małym dzieckiem. Niech podrośnie, nabierze sił. Była pewna, że Alek nie zechce tam wracać, on wrósł już w życie tutaj, a jego deklaracji o pozostaniu na Ukrainie nie należało brać poważnie. Mówił pod wpływem emocji, a poza tym do lata jest prawie pół roku, więc chłopiec będzie o pół roku mądrzejszy.

Co prawda Borys powiedział dziwne zdanie, żeby nie próbowała sobie kompletować rodziny, bo to się obróci przeciwko niej. I dzieci mogą zapłacić zbyt wysoką cenę.

- Uważasz, że nie jestem dość odpowiedzialna?
- spytała, mocno dotknięta.

- Uważam, że dzieci powinni wychowywać ich rodzice.

- Ale te dzieci są sierotami - odrzekła ostro.

- Oksana ma ojca, a wierzę, że będzie go też miał Alek.

„No tak - pomyślała - staje po stronie przyjaciela. I trudno mu się dziwić”.

Ale ją to zabolowało, może bardziej niż powinno, bo w końcu Borys był osobą postronną i z jego zdaniem nie musiała się liczyć. A jednak bardzo się liczyła, potrzebowała wręcz jego akceptacji, nie do końca rozumiejąc dlaczego.

Może dlatego, że spotkała go w obcym kraju, w tragicznym momencie swojego życia. Już sam fakt,

że mogła do niego mówić w swoim języku, był ważny. A jego słowa ją ratowały, koiły, przynosiły ulgę. Wtedy, gdy ten śmierdzący wódką człowiek w brudnych łachmanach pokazał im miejsce w lesie, gdzie znaleziono Elizabeth, Borys był jej tłumaczem. Prosiła, aby niczego nie zatajał, chciała znać całą prawdę.

- Dobrze, Julio - odrzekł.

Wiedziała, że tak właśnie będzie.

Ten straszny człowiek opowiadał: zobaczył samochód przywalony pniami. Podeszedł, zajrzał do środka. Była tam kobieta. Nie mógł otworzyć drzwi, bo się zaklinowały, ale widział za szybą jej twarz. Patrzyła na niego i coś chyba chciała powiedzieć, bo poruszała ustami. Pobiegł do wioski. Na skraju lasu spotkał leśniczego, powiedział mu o wypadku. Zaraz pojechali terenówką leśniczego z powrotem. Leśniczy wybił szybę, otworzył drzwi. Ale ta pani nic już nie mówiła, oczy miała otwarte, ale nie mrugała. Zawieźli ją do leśniczówki i stamtąd leśniczy zadzwonił na pogotowie. On i jego żona robili tej pani sztuczne oddychanie, nacierali nogi...

Więc ten człowiek był ostatnią osobą, która widziała jej córkę żywą. Mimo wstępu, jaki budził w niej jego wygląd, stał się dla niej kimś ważnym. Otworzyła torebkę, szukając w niej czegoś, co mogłaby mu ofiarować. Niestety, mogły to być tylko pieniądze, wyjęła plik dolarów i wsunęła mu do kieszeni wyszmelcowanej, podartej kufajki. Ale nie chciał ich przyjąć, był wyraźnie przestraszony. Wtedy zdjęła z ręki złoty zegarek.

- Borys, poproś, aby to wziął.

- Po co, Julio?,

- Bo chciał pomóc mojej córce.

- I za to chcesz mu płacić? - Borys był wyraźnie temu przeciwny.

- Wynagrodzić.

Mężczyzna stał z zegarkiem w dłoni, spoglądając w osłupieniu to na Julię, to na Borysa. Nie rozumiał ani słowa z tego, co między sobą mówili. Borys mu w końcu wytłumaczył, że otrzymał nagrodę i powinien ją przyjąć. Okazało się, że ten człowiek boi się, iż posądzą go o kradzież. Borys zapisał mu więc na kartce swój numer telefonu na wypadek, gdyby miał jakieś kłopoty.

Pojechali potem do leśniczówki. Leśniczego nie było w domu, ale jego żona wpuściła ich do środka. Wskazała miejsce, gdzie położyli Elizabeth i gdzie próbowali ją ratować. To była zwyczajna ława przykryta wzorzystym wełniakiem.

W drodze powrotnej powiedziała:

— Może to zabrzmie dziwnie, ale jest tak, jakbym znalazła się bliżej swojej córki.

— Rozumiem cię, Julio — odrzekł Borys poważnie.

Poczuła niewyobrażalną wdzięczność za te słowa. To tylko znaczyło, jak bardzo była bezradna wobec nieszczęścia, które spadło na nią tak nieoczekiwanie.

Po powrocie do Nowego Jorku z nikim z licznych znajomych i przyjaciół się nie kontaktowała. Rozmawiała jedynie przez telefon z Aloną, sprawdzając, czy wszystko u nich w porządku.

— Niech się pani o nas nie martwi - odpowiadała Alona- niech pani myśli o sobie.

„A po co mam o sobie myśleć” - przebiegło jej przez głowę.

Po tygodniu z niezapowiedzianą wizytą przyszła Susanne.

- Wiem, że nikogo nie chcesz widzieć, i rozumiem to - powiedziała już od drzwi - ale jestem twoją przyjaciółką i moim obowiązkiem jest być przy tobie w ciężkich chwilach.

Poprosiła ją do saloniku, Susanne zajęła miejsce, na którym siedziała Elizabeth przed wyjazdem do Lwowa. Widziały się wtedy po raz ostatni.

- Musisz wyjść do ludzi, Julio.

- Po co?

- Nie wolno się tak poddawać - ciągnęła przyjaciółka.

- Dlaczego nie wolno? Kto ustala takie normy, co wolno, a czego nie? - spytała podniesionym głosem.

- My, ludzie, je ustalamy, w przeciwnym razie wyginałby gatunek ludzki.

- To dla mnie za mądre. Ja chcę mieć tylko spokój.

- Nie widzę, żebyś była spokojna.

- Przynajmniej do tego dążę.

Susanne wolno odstawiła filiżankę z kawą.

- A co byś powiedziała, jakbym cię zaprosiła na koncert? W Carnegie Hall gra dziś wieczorem rewelacyjny młody pianista z Europy. Polak. W programie Mozart, Vivaldi, Czajkowski.

Julia się zawahała. Aby wysłuchać koncertu, musiałyby się odpowiednio przygotować, zrobić coś z włosami, a poza tym z pewnością spotkałaby tam wielu znajomych i wszyscy by ją obserwowali. Cierpienie przyciąga ciekawość. Jak ten ktoś sobie radzi. A ona sobie nie radziła, bo nikt jej nie uprzedził, że życie nie składa się z samych przyjemności i potrafi także

ranić bardzo głęboko. Powinna zostać w domu, ale jednocześnie tak bardzo chciała choć na chwilę od siebie uciec, zapomnieć, w jakiej jest sytuacji. Taką ucieczką dawała muzyka.

- Dobrze, pójdę z tobą na koncert — powiedziała.

Na twarzy przyjaciółki pojawiła się ulga.

- Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

- Nie, spotkajmy się już tam, na miejscu. Wezmę taksówkę.

- Jak chcesz, kochana - odrzekła Susanne.

Po wyjściu przyjaciółki usiadła przy biurku i po raz pierwszy od powrotu do domu, sprawdziła pocztę elektroniczną. Większość maili zawierała wyrazy żalu w związku ze śmiercią córki, ale był też list od Borysa.

Otwierała go z bijącym sercem.

Droga Julio,

mam nadzieję, że podróż przebiegła bez większych niepokojów i jesteś już u siebie.

Ja powróciłem do swojej samotni i mam pełne ręce roboty. Jeżdżę po zakupy, rąbię drewno do kominka, bawię się w kucharza, a mam do czynienia z bardzo wybredną stołowniczką, zapewniam cię. To zresztą nie koniec moich obowiązków. Przypadła mi rola sekretarza, bo mama prowadzi obszerną korespondencję mailową ze swoimi byłymi studentami, w zeszłym roku dwóch z nich otrzymało Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki i w związku z tym wymiana listów bardzo się ożywiła. I to nie jest zdawkowa wymiana zdań, ale całe naukowe rozprawy. Przypominają mi trochę czarną magię, ale kochana mamusia patrzy mi na ręce i wszystko kontroluje. Coś mi się wydaje, że jestem trochę przez nią

terroryzowany, ale jakoś specjalnie nad tym nie cierpię. Przebywanie z nią jest naprawdę wyjątkowo ciekawą przygodą intelektualną. Ostatnio prowadzimy ostry spór o Nietzschego. Mamusia twierdzi, że skoro chcemy oskarżać filozofa o nobilitowanie zła, zrobmy to także z innymi. Z wielkimi twórcami na przykład, którzy od wieków pokazują je w dużo atrakcyjniejszej postaci niż dobro.

Od mniej więcej roku mama zaczytuje się w filozoficznych dziełach i muszę jej przy tym asystować.

Pewnie zastanawiasz się, skąd się wzięliśmy w tej naszej Kukoliwce. Otóż jest to rodzinny dom mojej matki, tutaj się urodziła w 1904 roku i stąd wyruszyła w świat, aby na starość powrócić. Zadzwoiła do mnie do Nowego Jorku i powiedziała: — Synku, moje kości mi mówią, że pora wracać tam, skąd wyszłam.

Nie mogłem puścić jej samej, a poza tym to, co się na Ukrainie wydarzyło, odzyskana niepodległość, bardzo mnie zachęciło. Potem przyszły rozczarowania, bo nie czekano tam na mnie z otwartymi ramionami. Więc ja też się wycofałem z aktywnego życia i dopiero teraz zacząłem prowadzić bogate życie duchowe. Ho, ho, żebyś wiedziała, ile pasjonujących znajomości zawarłem od czasu zamieszkania w Kukoliwce. Oczywiście jednostronnych, czytam sobie, co mądrzy ludzie napisali. I mam uczucie, że dopiero tutaj odnalazłem swoje miejsce.

Niektórzy moi znajomi uważają, że to dezercja. Oskarżają też mamę o despotyzm, przez który pozostałem zatwardziałym kawalerem, nie założyłem rodziny, nie mam dzieci. Nie jest to prawda. Po prostu nie spotkałem nikogo, z kim chciałbym przeżyć życie.

*Pierwszą kobietą, która wywarła na mnie tak duże wrażenie, była Twoja córka. Spędziliśmy ze sobą jeden wieczór, ale był to dla mnie wieczór niezapomniany. Zrozumiałem wtedy, jak wiele straciłem, że nie dane mi było spotkać podobnej do niej życiowej partnerki. Ten rodzaj wzruszenia, jaki mężczyzna odczuwa na widok kobiety, zdarzył mi się po raz pierwszy. Miałaś wspa-
niałą córkę, Julio, wokół jej osoby wszystko nabierało niezwykłego uroku. Nawet picie herbaty stawało się niezapomnianym przeżyciem. Będę ją zawsze pamiętał.*

Moje najlepsze myśli są też przy Tobie, kochana Julio. Chciałbym bardzo, abyś poradziła sobie ze swoim bólem. Żeby wspomnienia o Elizabeth przestały Cię ranić i żebyś nauczyła się z nich czerpać siłę. Jestem pewien, że prędzej czy później tak się właśnie stanie.

Twój Borys

Słuchając przepięknej muzyki Czajkowskiego, myślała, że kompozytor pochodził z tych samych stron, co jej przyjaciel. Chciałaby mu odpisać, że dobrze rozumie uczucia, jakie poruszyła w nim jej córka. Ona podobnie myślała o nim, ale, niestety, nic już nie mogło z tego wyniknąć.

Po wyjściu Informatora Andrew zaczął się zastanawiać, co mogło się kryć za tą wizytą. Jakoś nie chciało mu się wierzyć w szlachetność intencji tego człowieka. Może chciano odwrócić jego uwagę od śledztwa, które miało wyjaśnić okoliczności śmierci Elizabeth. Wypadek mógł być przecież upozorowany. Wszystko wskazywało na to, że jednak tak nie było, ale należało to dokładnie sprawdzić.

Kierując się odręczną mapką swojego męża, Elizabeth powinna była skrócić w pierwszą leśną drogę, ale pojechała dalej. Zmyliły ją ślady kół, które wyłubiły głębokie koleiny. Sądziła, że dotrze do kozackiej osady, a droga zaprowadziła ją donikąd. Tą, którą powinna wybrać, od dawna nikt nie jeździł. Trzy lata temu umarł staruszek opisany przez Jeffreya Connery'ego, a zaraz po nim jedna po drugiej wyniosły się na tamten świat jego sąsiadki. Ich dzieci wyprowadziły się już dawno, więc osada opustoszała. Drewniane chałupy niszczały powoli, aż zapadły się dachy, odsłaniając kikuty ścian, na wpół rozwalone kominy, kuchnie kaflowe, osmolone garnki.

Andrew, który brał udział w wizji lokalnej, pomyślał, że dobrze, iż Elizabeth tego nie widzi. Dla niej byłby to koniec nadziei.

Gdyby jednak Informator mówił prawdę o tajemnym więzieniu, w którym przetrzymywano Amerykankę, mogłoby to oznaczać, że to ona miała rację, nie chcąc przyjąć do wiadomości faktu śmierci swojego męża.

Mężczyzna zjawił się w kancelarii Andrew po tygodniu. Był wyraźnie poruszony. Twierdził, że naprawdę chodzi o Jeffreya Connery'ego i że on żyje.

- Dlaczego do tej pory nikt tego nie ujawnił? - nie dowierzał ciągle Andrew.

- A komu na tym zależy? Nie wiadomo, czy Juszczenko ze swoją żelazną Julią nie przeprowadzą czystki w naszych szeregach. Na pewno wielu pójdzie w odstawkę. Więc nie robią nic, czekają.

Andrew pocierał czoło, zastanawiając się, jak powinien się teraz zachować. Zawiadomić Julię i jej ministra spraw wewnętrznych? To od razu będzie sensacja, którą podchwycą media. Nie wiadomo, czy w takiej sytuacji strażnicy tajnego więzienia nie zechcą zatrzeć śladów, ukryją więźnia albo gorzej, zlikwidują go. Należało raczej zachować dyskrecję. Pojechać tam samemu, sprawdzić, czy to nie jest sprawa czyjejsz wybujałej wyobraźni. Bo na razie tak to trochę wyglądało.

Informator podjął się dowiedzenia Andrew na miejsce.

-Jakie mam gwarancje, że gra pan uczciwie?

- spytał, patrząc tamtemu w oczy.

To były oczy wytrawnego gracza.

- Żadnych - odparł. - Ale nie robię tego ani dla pana, ani dla tego nieszczęsnego więźnia, tylko dla pani Connery, której jestem coś winien.

Andrew przyleciał do Kijowa samolotem, skąd samochodem Dmytruca mieli się udać do „strefy”. Informator Informatora zgodził się podać dokładny plan dojazdu do więzienia. Kiedy rzucił okiem na mapkę, ogarnęło go zdumienie.

- Więzienie jest w Prypeci? - Andrew był wyraźnie zbulwersowany. - Myśmy tam już z panią Connery szukali jej męża.

Szukać to nie znaczy znaleźć - odrzekł z chytłym uśmiechem jego towarzysz podróży.

I to mogła być ponura prawda, znaleźli się z Elizabeth o krok od rozwiązania zagadki, ale nie udało im

się jej rozwiązać. Wszyscy troje zapłacili za to okrutną cenę.

Patrząc przez okno, poznawał miejsca, przez które wiózł ich wtedy przewodnik o literackim pseudonimie, Stalker. Był dość rozmowny i już z tego, co o sobie opowiadał, można było wysnuć wnioski, że jak nikt nadawał się na informatora służb bezpieczeństwa. Oni wykorzystywali właśnie takich osobników, inteligentnych, z wyobraźnią, o czym świadczył choćby ten pseudonim, ale nieumiejących się odnaleźć w rzeczywistości. Stalker studiował anglistykę, jednak jej nie skończył, nie miał żadnego stałego zajęcia ani stałego lokum. Od czasu do czasu bawił się w przewodnika po piekle, jak nazywał tereny skażone po wybuchu reaktora. Ciekawe, na ile był wtajemniczony w sprawę Connery'ego? Mógł nic nie wiedzieć, był przecież pionkiem. Najprawdopodobniej dostał polecenie, aby dowieźć „gości” do Prypeci i bezpiecznie odstawić ich z powrotem. To była jednak duża naiwność ze strony Andrew, wyobrażanie sobie, że można ot tak, po prostu, wjechać do „strefy”, nie być ani razu kontrolowanym i mieć w dodatku za towarzyszkę śledzoną na każdym kroku Amerykankę. Ale człowiek, jak widać, uczy się przez całe życie.

A co wiedział „strażnik umarłego miasta”, jak siebie nazywał tubylec Mykoła, który twierdził, że wie wszystko? Opowiadał, że ci z bezpieczeństwa przywozili różnych ludzi do podziemi budynków przylegających do hali sportowej. Kiedyś były tam prysznice i przebieralnie, ale zamieniono je na miejsce odosobnienia dla niechętnych władzom komunistycznym, a potem reżimowy\n.

- Jeszcze miesiąc temu kogoś tam mieli. Ale teraz jest pusto - twierdził.

Chodzili z Elizabeth i ze Stalkerem po tych podziemiach, wyglądało jednak na to, że zapijaczony tubylec mówi prawdę. Nie było widać śladu ludzkiej obecności. A może należało wołać, walić w ściany? Może wtedy byłby jakiś odzew?

Właśnie wjeżdżali do Prypeci. Opustoszałe wieżowce z czarnymi oczodołami okien zrobiły na nim równie wstrząsające wrażenie jak za pierwszym razem. Były jak dekoracja do filmu grozy, ostrzegały, do czego może doprowadzić ludzka nieodpowiedzialność.

Andrew zdziwił się, widząc, że podjeżdżają pod domek pokryty falistą blachą. Od razu poznał to miejsce, chociaż wyglądało inaczej, bo teraz leżał śnieg.

- Tutaj mieszka ten pijak Mykoła - powiedział rozczarowany. - On nic nie wie.

- On wie, i to bardzo dużo - odrzekł Informator.

Właśnie pojawił się w drzwiach swojej budy z blaszanym dachem. Szedł w ich stronę na krzywych nogach, kołysząc się jak marynarz, który po długim rejsie schodzi na ląd.

Jego chytre oczka badały sytuację. Zobaczył dwóch dobrze ubranych mężczyzn, którzy przyjechali zachodnim samochodem. Nie domyślał się, co ich sprowadza, i to go wyraźnie niepokoiło, chociaż nadrabiał głupkowskim uśmiechem.

- Panowie po ryby? - spytał zachrypłym głosem.

- Nie, nie po ryby - odrzekł wolno Andrew. - Nie poznajesz mnie? Byłem tu cztery lata temu z taką panią co przyjechała z Ameryki. Szukała swojego męża.

Oczka mężczyzny zmętniały.

- Tu różni przyjeżdżali, tacy i inni — odparł - ale przeważnie po ryby.

- Jak widzę, masz się dobrze, Mykoła - ciągnął Andrew - a mówiłeś, że nie pożyjesz długo, najwyżej dwa, trzy lata...

- Może pożyję, może nie pożyję - odrzekł już pewniejszym głosem.

- No dobrze - przerwał tę konwersację Informator - weź, chłopie, klucze i prowadź nas do więźnia.

- Do jakiego więźnia? - spytał tamten z takim zdumieniem, że Andrew pomyślał, iż mógłby być świetnym aktorem, wyraźnie marnował tutaj swój talent. - Ja nic nie wiem...

- Wiesz, dobrze wiesz, Mykoła, nie udawaj - wycedził Dmytruk. - Przysyła mnie Taras.

Mężczyzna wyraźnie się zawahał.

- Jaki Taras? - spytał.

- No na pewno nie Szewczenko, tylko twój szef. Bierz klucze i prowadź.

Andrew czekał z napięciem na to, co się teraz stanie. Czy ta żałosna kreatura rzeczywiście pełniła przez lata funkcję nadzorcy, czy to wszystko jest jakimś nieporozumieniem? Zaczynał się już skłaniać do drugiej możliwości, kiedy tamten nieoczekiwanie powiedział:

- Dobrze, zaprowadzę was.

Kiedy szli w stronę hali sportowej, Mykoła niemal biegł, nie mogąc za nimi nadążyć na swoich krótkich nogach. Andrew nie wytrzymał i powiedział z wyrzutem:

- Piłeś z nami wtedy wódkę i nawet powieka ci nie drgnęła, że nas oszukujesz.

Mykoła wzruszył ramionami.

- Wy przyjechali i pojechali, a oni dawali żyć.

Minęli halę sportową, mocno zdewastowaną, z na wpół zawalonym szklanym dachem, i skierowali się do budynku na jej tyłach. Mykoła prowadził ich po schodach w dół, gdzie dawniej mieściły się przebieralnie, a zaraz obok prysznic, oczywiście wszystko zostało dokładnie rozszabrowane, nawet kafle powyrywano ze ścian. Andrew znał te pomieszczenia z poprzedniej bytności, także to, do którego wprowadził ich teraz Mykoła. Zauważył wtedy betonową klapę w podłodze, ale nie przyszło mu do głowy sprawdzić, co się pod nią znajduje. Bo cóż mogła ukrywać taka kłapa? Okazało się, że bardzo wiele. Przewodnik podniósł ją z wysiłkiem i po wąskich schodkach pojedynczo zeszli na dół. A potem były jakieś drzwi obite blachą, na których wisiała potężna kłódka. Mykoła zdjął kłódkę i wolno je odciągnął. Były potężne, zupełnie jak drzwi do skarbcza. Przewodnik przekręcił kontakt i u sufitu słabo rozbrzysła żarówka.

Oczom Andrew ukazał się nieprawdopodobny widok. W pomieszczeniu pozbawionym okna prawie nie było sprzętów, tylko stolik, krzesło, w kącie wiadro, pełniące widocznie funkcję klozetu. Wprost na podłodze rozpościerał się siennik, a na nim leżał człowiek. Ubrany był w coś w rodzaju pasiastej piżamy, miał długą brodę, włosy opadały mu na ramiona. Andrew zauważył, że przykuto go za nogę do ściany, żelazna obręcz obejmowała kostkę.

- Uwolnij go - warknął Informator, miał zmieniony głos, widocznie to, czego był świadkiem, na nim też zrobiło wrażenie.

Przewodnik posłusznie zdjął łańcuch, ale więzień nie zareagował, nie zmienił pozycji. Jego twarz była niemal niewidoczna.

Informator pochylił się nad nim.

- Czy jest pan Jeffreyem Connerym? - spytał po angielsku.

Pozostało to bez żadnego odzewu.

- Kim pan jest? - odezwał się teraz po ukraińsku.

- Jak się pan nazywa?

Jak poprzednio odpowiedziało mu milczenie.

- Wiesz, kim jest ten człowiek? - zwrócił się teraz do Mykoły.

- To ten, kogo szukacie, tylko ostatnio nie chce mówić - odrzekł.

- A przedtem mówił?

- Mówił, ale mało.

- Po jakimu? - indagował Informator.

- Po naszymu, ale z tym, co do niego przyjeżdżał, gadali po angijsku.

- Kto do niego przyjeżdżał? - zainteresował się Dmytruk.

- A... jeden taki, ale dokładnie to nie wiem - Mykoła wyraźnie się przestraszył swojego gadulstwa.

- Radzę ci sobie przypomnieć - rzekł z groźbą w głosie Informator - bo może się to dla ciebie kiepsko skończyć.

- Nie wiem, kto to był - bił się w piersi przewodnik. - To ktoś od nich, ale gdzieś wysoko. Był taki jak z igiełki... garnitur jak do filmu, buty lśniły jak lustro. Z tym tutaj to grali w szachy.

- W szachy? - głos Informatora wyrażał zdumienie.

Podobne odczucia miał Andrew.

- Tutaj?
- Nie, tam, w hotelu.
- W jakim hotelu?

Mykoła poskrobał się w głowę.

- No, oni tu mieli taki hotel, przyjeżdżali na strzelnicę, uczyli się strzelać, całymi dniami tylko było słychać ta-ta-ta, ta-ta-ta. A potem wieczorem pili na umór, aż się walili na podłogę... Ale ten, co przyjeżdżał do Amerykańca, to nie pił...

Informator obejrzał się na Andrew.

- Co pan o tym myśli, co ten tu bajdurzy? Czy to możliwe, aby znalazł się jakiś drugi doktor Mengele?

- Mengele nie grywał ze swoimi ofiarami w szachy - odrzekł Andrew - on robił na nich doświadczenia.

- Może ten też robił doświadczenia, tylko interesował go wyłącznie mózg ofiary?

- Niewykluczone.

Dmytruk znowu wypytywał przewodnika.

- Kiedy ostatnio był tutaj ten wymuskany gość?

- O, długo już go nie było, może pół roku albo i więcej.

- A kto się więźniem jeszcze interesował?

- No, mój szef, pan Taras. Kazał go pilnować i karmić, żeby nie umarł z głodu.

- A ten łańcuch kto mu założył na nogę? - indagował Informator.

- Ten łańcuch to ja, żeby sobie czego nie zrobił. Ho byłoby na mnie.

- Czyli ułatwiłeś sobie pracę?

Mykoła potwierdził ruchem głowy.

- Niezłe z ciebie zwierzę - rzekł z pogardą Dmytruk - a nawet gorzej niż zwierzę, bo one respektują swoje zwierzęce prawa.

Zwrócił się teraz do Andrew.

-Musimy go stąd zabrać, powinien go zbadać lekarz.

- Natychmiast - odrzekł Andrew.

Dmytruk nad czymś się zastanawiał.

- No nie wiem, czy tak natychmiast. Z miejsca sprawa by się rozniosła, a to nie jest nikomu potrzebne, ani jemu, ani nam.

- Mam zaufanego lekarza we Lwowie - powiedział Andrew.

-Najpierw musimy go tam dotransportować, a w jego obecnym stanie to raczej niemożliwe.

Zwrócił się teraz do przewodnika:

- Ten hotel funkcjonuje?

- Teraz już nie, odkąd są nowe władze. Ale wszystko jest, jak było, elegancko urządzone.

- To przynieś nam tu koce - zakomenderował, a Mykoła rzucił się do drzwi.

Andrew kucnął przy mężczyźnie, który podkulił uwolnioną z łańcucha nogę.

- Jeff - powiedział cicho - Elizabeth cię wszędzie szukała, była tutaj cztery lata temu...

Żadnej reakcji.

„Może on mnie nie słyszy” - pomyślał Andrew.

Wrócił przewodnik, owinęli więźnia w koce i we dwóch z Informatorem podnieśli go. Andrew szedł za nimi, widząc dyndające w powietrzu bose stopy nieszczęśnika. •

Kiedy wychodził już z betonowego pomieszczenia, zauważył leżący na stoliku gruby zeszyt, wziął go więc ze sobą.

Ubecki hotel mieścił się w opuszczonej willi o grubych ścianach, okna były uszczelnione, tak samo jak drzwi, które obito od wewnątrz czymś w rodzaju skóry. W jednym z pokoi na parterze rozlokowano więźnia. Informator spytał Mykołę, czym go do tej pory karmił, odpowiedział, że głównie kartoflami.

- Dostawałeś na niego pieniądze?

- Ano tak.

-I przepijałeś je?

- Zdarzało się.

- Urządziłeś temu człowiekowi, jednym słowem, obóz koncentracyjny. Takie małe Auschwitz. To teraz my ciebie tam zamkniemy, zobaczymy, jak długo po-
ciągniesz.

- Robiłem, co kazali — wybełkotał nieźle przestraszony.

- Pojedziesz teraz do sklepu i kupisz kaszę manną i masło roślinne. Od tego zaczniemy odkarmianie twojej ofiary. Nam przynieś wódki.

Mykoła wycofywał się tyłem, zgięty w pół. Patrzył na Informatora psim wzrokiem, widocznie uznał go za swojego nowego pana.

Wkrótce przyniósł im samogon w litrowce zakorkowanej jakąś szmata.

Usiedli naprzeciw siebie przy stole, Informator rozlał do szklanek mętny płyn, który wyraźnie śmierdział, ale, trzeba powiedzieć, smakował jak najlepsza whisky.

- Nie sądził pan pewnie, panie mecenasie - powiedział jego towarzysz - że będzie pan ze mną pił bimber.

- Wydawało się to mało prawdopodobne - przyznał.

- A to, co tutaj zobaczyliśmy, nie wydaje się panu nieprawdopodobne?

- Cóż, my to przecież znamy, podobne warunki fundują władze w Chinach swoim dysydentom. Wynaturzony system wszędzie ma takie samo oblicze.

- Ale u nas tego jednak nie było, żeby trzymać więźniów w gnoju, zakutych w łańcuchy.

- A co pan powie o ucinaniu głów?

- Gongadze? - domyślił się Dmytruk.

- Tak, Gongadze - odrzekł Andrew. - Pan Connerry może jeszcze powróci do dawnego życia, dla niego koszmar się kończy, ale temu dziennikarzowi nie dano żadnych szans.

Andrew zastanawiał się głośno, czy nie powinni jednak wezwać karetki i ratować tego człowieka. W tej chwili każda błędna decyzja będzie ich obu obciążać. Na co Informator odpowiedział, że za długo już zdecydowano za więźnia i należy dać mu szansę, aby sam się wypowiedział o swoim dalszym losie.

- Obawiam się, że w tym stanie on nie może decydować o niczym - zauważył Andrew. - A co będzie, jak nam tu umrze?

- Nie jest z nim tak źle, jakby się wydawało - uspokoił go Informator. - Jego dusza jest bardziej chora od ciała, trochę się na tym znam, przez trzy lata studiowałem medycynę...

Byli już obaj dobrze wstawieni, kiedy Andrew powiedział:

- Jest pan inteligentnym, wykształconym człowiekiem, dobrze się z panem rozmawia, dlaczego, na miłość boską, wybrał pan taką profesję?

- Profesję pani Warren? — uśmiechnął się Informator. - A może to profesja mnie wybrała? - dodał już całkiem poważnie. - Mieli na mnie haka, jeszcze jako student spowodowałem po pijanemu wypadek, zginął mój kumpel, właściciel samochodu zresztą. Nie zostawili mi wyboru, albo współpraca, albo więzienie.

- To strasznie banalne.

- Banalne jak życie.

Andrew pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.

Mimo że obaj sporo wypili, żaden z nich następnego dnia nie miał kaca. Andrew obudził się nawet wypoczęty, bo spał całą noc twardym snem.

Kiedy zszedł na dół, Informator krzątał się po kuchni. Zaparzył kawę, co prawda po turecku, ale nie była wcale taka zła. Poczęstował też Andrew jajecznicą na boczku, dawno nic mu tak nie smakowało jak te podpieczone skwarki. Pomyślał, że w ciężkich dla niego momentach życia próbują go ratować smażonymi jajkami. Przedtem uczynił to jego przyjaciel, Borys. Informator chyba źle odebrał jego wahanie, bo pośpieszył z odpowiedzią:

- Nie ma obawy, jajka nie są napromieniowane, w „strefie” nie hoduje się kur, bo pewnie zamieniłyby się w strusie.

To, że Jeffrey Connery został odnaleziony, było dla Andrew trudne, wręcz bolesne. Oczywiście cieszył

się, całkiem po ludzku, ale nie mógł przecież nie myśleć także o tym, że gdyby stało się to kilka miesięcy wcześniej, Elizabeth by nie odeszła. Tak ją wtedy prosił, błagał nawet, by tam nie jechała, by zawróciła z drogi, ale nic do niej nie docierało. W tej jednej sprawie nie potrafili się porozumieć. Zupełnie jakby Elizabeth zmieniał się charakter, nawet inaczej wtedy mówiła, jej głos zatracił tę charakterystyczną miękkość, stawała się ślepa i głucha na wszelkie argumenty. Andrew był gotów bronić jej przed całym światem, ale jak miał jej bronić przed nią samą? A może właśnie powinien, może błędem było to, że omijali w rozmowach temat zaginięcia jej męża. Wydawało mu się, że jeżeli o czymś się nie mówi, to tego nie ma. Łudził się, miał nadzieję, że już się pogodziła z tym faktem. Ale gdzieś w głębi czuł, że tak nie jest. I chyba był zazdrosny. Mimo zapewnień Elizabeth, że kocha tylko jego, a uczucia, które żywi do męża, są inne, nie bardzo jej wierzył. Przecież przeżyli ze sobą sporo lat. Pamięta, jak bardzo bolała ją jego zdrada. I to wcale nie były jedynie urażone ambicje, ale także uczucia. Ona naprawdę z tego powodu cierpiała. Łączyła ją z Jeffreyem nie tylko przyjaźń, jak usiłowała Andrew wmówić. Jej problemem było to, że kochała dwóch mężczyzn, bo w szczerość uczuć Elizabeth nie wątpił. Ale tak widocznie nie można...

Po śniadaniu Informator zajął się byłym więźniem, ostrzygł go i ogolił. Mykoła dostarczył czyste ubranie. Amerykanin poddawał się tym wszystkim zabiegom bez sprzeciwu. Posłusznie zjadł nawet kleik, który Dmytruk mu ugotował.

Andrew w tym nie uczestniczył. Znajdował się w dziwnym stanie ducha. Nie wiedział, jak ma teraz myśleć o przeszłości, która nabrała innego znaczenia. To, co do tej pory wydawało mu się nieuniknione, wcale takie nie było. Oto zmartwychwstał człowiek, którego on już dawno pogrzebał.

- Działa jak automat - stwierdził Informator. - Coś się zablokowało w jego głowie, ale myślę, że już jutro będziemy mogli wyruszyć.

- Tylko jak on zniesie tę podróż? - wyraził obawę Andrew. - To może być dla niego szok.

- Szyby w samochodzie są przyciemnione, stępi mu to ostrość widzenia. Poza tym dam mu środek nasenny.

- Czy to bezpieczne?

- W małej dawce tak.

Wieczorem znowu pili samogon, ale już nie w takich ilościach.

-Jakie szanse daje pan Juszczenko? - spytał Andrew.

Informator zmarszczył brwi.

- Trochę mi przeszkadza ten jego mistycyzm, może wpłynęła na to choroba, w końcu facet otarł się o śmierć. W każdym razie wydaje mi się za miękki, aby poradzić sobie z Putinem, to twardy i przebiegły gracz.

- Myśli pan, że wiedział o próbie zamachu na Juszczenkę?

Dmytruk roześmiał się.

- Czy wiedział? Myślę, że osobiście przyrządził tę miksturę. W czasie oficjalnej wizyty naszego nowego prezydenta w Moskwie patrzył na niego tak, jakby

chciał mu powiedzieć: panie, pan już jesteś trupem. Mam jednak nadzieję, że Juszczenko z tego wyjdzie, że jego żelazny organizm zwycięży chorobę. Inaczej już by nie żył i ta hołota na to liczyła.

- A pan nie?

- Ja? Ja zawsze byłem wolnym strzelcem, do tej pory po żadnej stronie.

- Czyżby? - rzekł z ironią Andrew.

- Ubek to zawód jak każdy inny, przydaje się każdej władzy. Państwo będzie nas zawsze potrzebować. A ja? Teraz... teraz może bym chciał coś zrobić dla Ukrainy... ale poczekam.

- Na co?

- Na rozwój wypadków. Wy w tej ogólnonarodowej euforii zapominacie, że Juszczenko zawdzięcza zwycięstwo kompromisowi przy okrągłym stole, a tam głównym punktem programu było wprowadzenie zmian w konstytucji, która znacznie ograniczy uprawnień prezydenta. Więc Juszczenko nie odziedziczy władzy Kuczmy, raczej będzie jak w Polsce, gdzie prezydent ma niewiele do gadania.

- Jest jeszcze parlament, tam Juszczenko będzie miał większość - zauważył Andrew.

Informator wzruszył ramionami.

- Jeśli ta prezydencka większość w ogóle powstanie, to przetrwa do jego pierwszych niepowodzeń. Niech pan zapamięta moje słowa.

- Ależ z pana pesymista - westchnął Andrew.

- Realista, panie mecenasie. Dlatego się nie ożeniłem, żeby nie dać żadnej szans przyprawienia mi rogów. A tak naprawdę spotkałem w swoim życiu tylko jedną godną uwagi kobietę...

- Ja też - odrzekł Andrew i wiedział, że myślą o tej samej osobie.

Rano wyruszyli w drogę powrotną do Lwowa. Informator wyniósł na rękach owiniętego w koce Connery'ego i ulokował go na tylnym siedzeniu w samochodzie.

Andrew po raz pierwszy wyraźnie zobaczył wtedy jego twarz, na chwilę spotkały się ich oczy.

Julia otwierała właśnie drzwi wejściowe, kiedy w głębi mieszkania rozdzwonił się telefon.

- Mówi Andrew...

- Witaj, Andrew - ucieszyła się. - Co u was słychać, jak się miewa moja wnuczka?

- Bardzo dobrze, rośnie w oczach. Pewnie o to jej chodzi, abyśmy zapomnieli, że urodziła się trochę za wcześnie.

- Pewnie tak - uśmiechnęła się.

- Julio, odnaleźliśmy Jeffrey'a...

- Jeffrey'a Connery'ego? - upewniła się.

- Tak, męża Elizabeth.

Nie wiedziała nagle, co ma począć z tą wiadomością.

- Masz na myśli jego zwłoki? - spytała ostrożnie.

- Nie, Julio, on żyje. Przez cały czas był przetrzymywany przez tajne służby.

- Żyje - powtórzyła i nogi odmówiły jej posłuszeństwa, musiała usiąść na krześle obok telefonu - a moja córka, moja córka zginęła przez niego!

- Tak nie wolno myśleć.

- A właśnie że tak myślę, gdyby tam nie pojechał, gdyby potem nie zaginął, Elizabeth by żyła.

- Musisz się z tym pogodzić, że jej już nie ma.

- A ty się pogodziłeś?

- Ja... nikogo nie obwiniam, to była jej decyzja, wiedziała, ile ryzykuje.

- Ona... ona była opętana jedną myślą, aby go odnaleźć. Zachowywała się jak chora... powinniśmy byli ją chronić, ty, ja... My też jesteśmy winni... ale najbardziej winny jest on!

- Julio, tak nie wolno.

Pomyślała, że matce, która straciła swoje dziecko, wolno wszystko! Bolało bardzo, że córka zginęła na darmo. To takie niesprawiedliwe.

- Zadzwońę później - powiedział Andrew - jak się trochę uspokoisz.

„Ja się już nigdy nie uspokoję” - przebiegło jej przez myśl.

Porażona wiadomością o niezwykłym odnalezieniu się Jeffa chodziła po mieszkaniu tam i z powrotem. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Co za absurd! Elizabeth szukała go tak długo, a on się odnalazł zaledwie w kilka miesięcy po jej śmierci. Przecież to zupełnie tak, jakby los z nich wszystkich zakpił.

Włączyła komputer w nadziei, że nadeszła poczta od Borysa. Jego listy ocaliły ją przed najgorszym, przed ślepą rozpaczą, która wszystko niszczy.

Odczytała z ekranu: brak nowych wiadomości.

„Więc ja do niego napiszę” - pomyślała.

Do tej pory odpisywała tylko na jego listy.

Drogi Borysie,

właśnie przed chwilą dowiedziałam się od Andrew o odnalezieniu mojego zięcia Jeffreya Connery'ego. Nawet nie potrafię Ci opisać, jak się czuję po tej wiadomości. To znowu wywraca moje życie do góry nogami. Jeszcze nie potrafię normalnie funkcjonować po stracie córki, czepiam się jakiejś krawędzi, ale ciągle mam wrażenie, że się nie zdołam utrzymać i spadnę w przepaść. I nagle kolejny szok. To za dużo jak na jedną samotną kobietę. Co mam robić, Borysie? Powiedz mi, jeżeli wiesz. Bo ja nie wiem. Julia

Jeszcze tego samego dnia nadeszła odpowiedź.

Droga, kochana Julio,

ależ wiem, co masz robić. Wsiądź w samolot i przyleć tutaj. Rozmawiałem z Andrew. On potrzebuje Twojej pomocy, bo cudowne odnalezienie Twojego zięcia nie jest wcale tak cudowne, jakby się wydawało. To kompletnie zrujnowany człowiek, nie ma z nim żadnego kontaktu. Lekarz uważa, że Twoja obecność mogłaby pomóc. Pan Jeffrey zna Twoją twarz, ufa ci, może będziesz mogła do niego trafić.

Wiem, jak trudna jest dla Ciebie myśl, że powrót Twojego zięcia niczego już nie zmieni. Ale pomyśl o swojej córce. Z pewnością chciałaby, abyś pomogła bliskiemu jej sercu człowiekowi.

Kochana Julio, musisz pogodzić się z tym, że wszystko, czego doświadczyłaś i co było dla Ciebie tak bardzo bolesne, to już przeszłość. Zaczynij myśleć o przyszłości. Ona ciągle jest przed Tobą i może przynieść jeszcze także radość i szczęście. Wiem, że w tym

momencie wydaje Ci się to niemożliwe. Ale nie przekreślaj siebie, spróbuj też ofiarować coś bliskim ludziom, oni tego potrzebują.

Przyjedź do nas. Wszyscy tu na Ciebie czekają, a ja chyba najbardziej.

Twój Borys

„Skoro czekasz na mnie, przyjadą” - pomyślała i w tym samym momencie odczuła niewyobrażalną ulgę.

Trudno jej było uwierzyć, że oto znowu siedzi w samolocie i z ogromną szybkością oddala się od Nowego Jorku, miejsca, które do tej pory określało jej życie. Ale od śmierci Elizabeth wszystko się zmieniło, po powrocie ze Lwowa nie umiała się tutaj odnaleźć, mimo że przyjaciele starali się jej pomóc. Uważała, że nie potrzebuje kontaktu z ludźmi, cokolwiek by jej mieli do powiedzenia, nikt z nich nie przeżył tego, co ona. Nawet jej najlepsza przyjaciółka Susanne wydała jej się nagle kimś obcym. Bo o czym mogły rozmawiać? O ostatnich nowojorskich plotkach? Kto z kim zerwał, kto ma nowy romans, a która z ich wspólnych znajomych zrobiła sobie lifting? To jej już nie obchodziło. Mogła pójść na koncert albo na otwarcie wystawy, ale zaraz potem wracała do domu. Tak, tylko kontakt ze sztuką przynosił chwilę wytchnienia. I jeszcze myśl, że gdzieś daleko jest pewien człowiek, którego ciepło wspominała. Sądziła, że już się nie zobaczą.

A teraz wystarczyło, że ją poprosił, a bez namysłu wsiadła w samolot, chociaż dzieliły ich od siebie tysiące mil. Czuła się bardzo niepewnie i sama jeszcze nie

wiedziała, jak nazwać swoje uczucia. Czy to przyjaźń, czy coś innego? Ale co mogło być innego? Miłość? W jej wieku to przecież śmieszne. Zakończyła swoje związki z mężczyznami ponad dziesięć lat temu. Od dawna zresztą chodziło tylko o łóżko i to się jakoś tak samo z siebie skończyło. Któregoś dnia jej ostatni partner, reżyser teatralny, zaprosił ją po spektaklu na lampkę wina. Siedzieli przy stoliku naprzeciw siebie i nagle pomyślała, że lubi go jako człowieka, lubi też seks z nim, ale to już przeszłość. Po prostu nie ma więcej na to ochoty.

Więc kiedy spytał:

- Idziemy do mnie czy do ciebie?

Odpowiedziała:

- Każde z nas do siebie.

- Jak to?

- To koniec, Gregory.

- Co ty mówisz? - patrzył na nią zaskoczony. - To ma być żart?

- Nie, mówię poważnie, chcę zakończyć nasz związek.

Jej przyjaciel zmienił się na twarzy.

- Co się stało? Czy ja cię czymś uraziłem? Zachowałem się wobec ciebie niewłaściwie?

- Nie, zawsze byłeś wobec mnie fair. I naprawdę bardzo cię lubię, ale chcę być sama. Potrzebuję tego.

- Julio! Przecież mieszkamy osobno, nigdy cię nie kontroluję - mówił gorączkowo - robiłaś i robisz, co chcesz... Dlaczego teraz nagle coś takiego przychodzi ci do głowy? Może jest ktoś inny?

Z czułością dotknęła j jego policzka.

- Nie, mój kochany, nie ma nikogo i już nie będzie. Chcę być sama.

- Nigdy ci tego nie wyznałem, bo wiem, co na ten temat myślisz, teraz ci jednak powiem: kocham cię, zawsze cię kochałem i nie pozwolę ci odejść bez powodu.

- Gregory, powód niestety istnieje i to bardzo poważny, nie jestem już zainteresowana seksem. Widocznie to sprawa hormonów... a nie chcę udawać albo się do czegoś zmuszać.

Patrzył na nią, jakby nie rozumiał, co do niego mówi.

- Przecież są różne środki, pigułki, plastry.

-Nie, Gregory, to nie jest sprawa pigułek, ale uczuć, których już we mnie nie ma.

Wstała od stolika. Idąc ku drzwiom, czuła na plecach jego spojrzenie. Było jej go żal, ale niestety nie mogła mu pomóc.

I nagle teraz coś się w niej zmieniło, jakby otworzyły się na oścież jakieś ukryte w niej drzwi, o których istnieniu dotąd nie wiedziała. O stałym związku z Borysem nie mogło być mowy. Nawet o tym nie myślała, a już na pewno nie myślał o tym on. Po prostu czuła, że musi go zobaczyć, usłyszeć jego głos. Pragnęła, aby ją przytulił. Chciała poczuć ciepło jego ciała. Tylko tyle.

Udało jej się przespać część lotu nad oceanem. Na Heathrow wypita kawa i zaraz poproszono pasażerów samolotu do Lwowa.

Lwów... już sama nazwa powodowała przyśpieszone bicie serca. Nie wiedziała, co prawda, kto po nią przyjdzie na lotnisko. Borys był przecież w swojej

Kukoliwce. Ale napisał, że na nią czeka. A jeżeli mimo to się nie pojawi? Jeżeli go nie będzie?

Był. Jak za pierwszym razem stał za barierką, nieco z boku. Zrobiła krok, jeden, drugi i nagle pobiegła w jego stronę. Czas się gwałtownie cofał, umykał w tył, czuła się tak, jakby znowu miała dwadzieścia lat.

Borys długo trzymał ją w ramionach. A potem wyszeptał jej we włosy:

- Kocham cię, Julio. Ty o tym wiesz, prawda?

Andrew oddał jej do dyspozycji swoje mieszkanie, więc Borys zawiózł ją tam prosto z lotniska. Już samo wejście do starej, zabytkowej kamienicy robiło wrażenie. Cały fronton został odremontowany z niezwykłą starannością. Rzeźby umięśnionych atlantów ugięły się pod ciężarem okazałego portalu, a marmurowe schody na klatce schodowej miały przepięknie rzeźbioną drewnianą balustradę. Mieszkanie było trochę mroczne. Przedpokój zakończony półokrągłym holem wyłożono dwukolorową mozaiką. Na wprost wejścia stało wysokie lustro z konsolą, a do salonu prowadziły szerokie, dwuskrzydłowe drzwi. Stały tam stare, szlachetne meble.

Julia rozglądała się zafascynowana tym wnętrzem. W pewnej chwili poczuła na sobie wzrok Borysa i uśmiechnęła się zawstydzona.

- Tu jest tak pięknie — powiedziała tonem usprawiedliwienia.

-I my tu jesteśmy, Julio. Ty i ja.

Nawet nie zdążyła się zdziwić, że to wszystko się między nimi staje. Nie wstydziła się. ani swojej, ani

jego nagości, pełna przeróżnych uczuć, pożądania, tkliwości, smutku. To wszystko się ze sobą mieszało, a ona już wiedziała, że tak właśnie wygląda miłość.

Leżała potem z głową na jego piersi, ta pierś była siwa, ale to właśnie wzruszało ją do łez.

- Julio, dlaczego płaczesz? - spytał, gładząc ją delikatnie po głowie.

- Płaczę, bo jestem szczęśliwa - odrzekła.

Od kilku wieczorów Andrew czytał zapiski Jeffreya Connery'ego i lektura ta była dla niego niezwykłym, wręcz traumatycznym przeżyciem. Odnosił wrażenie, że jest nie tylko czytelnikiem, czuł, że jest tam, w samym środku tego świata.

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Kim ja tu jestem, człowiekiem czy zwierzęciem?

Nie wiem już, co boskie, co ludzkie, a co zwierzęce. Nie wiem, w jakim punkcie znalazło się moje życie, kto ma nade mną władzę. On? Ten człowiek? Ale czy jest jeszcze człowiekiem, czy już diabłem, obleczonym w ludzką skórę. Kiedy go wprost o to spytałem, roześmiał się.,, Możliwe - odrzekł — wszak rozmawiamy podziemia". A więc tyle się dowiedziałem, że zamknęto mnie w jakimś lochu. Nie mam więc po co zdzierać gardła, ranić sobie pięści o betonowe ściany. I tak nikt mnie nie usłyszy. Zrozumiałem w jednej chwili, że od-tąd jestem zdany tylko na siebie. Bo przecież nie na niego. On nie może mieć nade mną takiej władzy, jak sobie wyobraża. To ja, wbrew pozorom, będę decydował o swoim losie. Mimo że nie mogę stąd wyjść, że

fizycznie jestem unieruchomiony, mój mózg należy do mnie. Ja jestem jego panem i ja będę mu wydawał polecenia. Dzisiejsze polecenie to nie okazać strachu, nie dać satysfakcji temu wymuskanemu gnojkiowi. Bo w gruncie rzeczy on jest właśnie kimś takim, wymuskanym gnojkiem. Ciekawe, jak by się zachowywał, gdybyśmy się mogli zamienić rolami. Czy płaszczyłby się przede mną, skamlał o darowanie życia? Z pewnością, tego rodzaju buta ma bardzo kruche podstawy, bo pozbawiona intelektualnego zaplecza, w niesprzyjających okolicznościach rozpada się w proch. Zostało udowodnione, że w Auschwitz zdrowe, wiejskie dziewczyny ginęły po paru tygodniach, a filigranowym paniom z dobrych domów udawało się przetrwać nawet parę lat. Jak to wytłumaczyć? Bardzo prosto, ich życie wewnętrzne chroniło to fizyczne. Czy ze mną też tak będzie, wkrótce się przekonam. Nie wiem, jakie oprawcy mają wobec mnie plany, czy będą mnie tu trzymać czas dłuższy, czy mnie po prostu zabiją. Nic też mi nie wiadomo o dalszym losie G., widziałem, jak spieszy chodnikiem na nasze spotkanie, ale nie mogłem go ostrzec, gdyż siedziałem zakneblowany w samochodzie. Tak jak mnie, zatrzymało go dwóch osobników, chwilę rozmawiali i G. z nimi poszedł, jeszcze przez moment widziałem jego plecy w skórzanej kurtce, a potem zniknął za rogiem.

Moja przestrzeń życiowa to dwa na cztery metry, betonowe ściany, brak okna. U sufitu żarówka. Czyli karcer. Jak widać, jestem tu za karę. Ale nadal nie wiem, kto mi ją wymierza. Oczywiście, bez dwóch zdań, moje uwięzienie ma coś wspólnego z G. i z naszymi planami, ale z wiadomych powodów nie będę tutaj

o nich pisał, nie wiem bowiem, jak długo jeszcze uda mi się przelewać swoje myśli na papier. W każdej chwili mogą mnie tego pozbawić, a notatki wykorzystac przeciwko mojemu przyjacielowi.

Mam nadzieją, przyjacielu, że obaj przetrwamy i nasze drogi jeszcze się zejdą.

Późnym popołudniem Borys zawiózł Julię do domu pani Sanickiej, matki Andrew. Uściskały się na przywitanie, to już nie była obca osoba, ale babcia Oksany. W jej domu przebywał też Jeff, który znalazł tu troskliwą opiekę, codziennie odwiedzał go lekarz, ze względu na szczególną dietę trzeba było osobno dla niego gotować. To wszystko musiało być kłopotliwe dla osoby niemłodej, w dodatku ciężko chorej na serce. A pani Nina powitała Julię promiennym uśmiechem i Julia w pełni to doceniła.

Pierwsze swoje kroki skierowała do wnuczki, która przestała być już taka filigranowa, a jej chudziutkie rączki i nóżki przeobraziły się w wałeczki z dołkami. Julia miała przed sobą bez wątpienia zdrowe, radosne dziecko.

Nie dało się odwlekać w nieskończoność tej chwili, musiała w końcu się z tym zmierzyć. Pójść do Jeffa. Kiedy ujmowała za klamkę, serce jej waliło. Odczuwała coś na kształt wyrzutów sumienia, że wtedy, w rozmowie telefonicznej z Andrew, tak gwałtownie zareagowała na wiadomość o jego odnalezieniu. On naprawdę niczemu nie był winien, nie wysyłał Elizabeth w tę podróż, a gdyby to od niego zależało, na pewno nie pozwoliłby jej tam jechać.

W pokoju panował półmrok, gdyż okna były zasłonięte. Jej zięć leżał na wysoko ułożonych poduszkach. Oczy miał zamknięte, ale wiedziała, że nie śpi, bo lekko drgały mu powieki.

- Jeff- powiedziała półgłosem - to ja, Julia. Przyjechałam z Nowego Jorku. Czy możemy porozmawiać?

W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, jakby nie docierały do niego jej słowa. Jednak nieoczekiwanie uniósł powieki i spojrzał na nią.

- O czym chcesz ze mną rozmawiać? - usłyszała jego spokojny głos.

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie była na to przygotowana. Wprowadzono ją w błąd, twierdząc, że Jeff cały czas milczy i chyba nie rozumie, co się dzieje wokół niego.

A jeżeli zapyta o Elizabeth? Co ma mu powiedzieć? Prawdę? Ta prawda mogłaby go zabić, jest przecież jeszcze bardzo słaby. W tej wymizerowanej twarzy ledwo mogła rozpoznać dawnego Jeffa. Przedtem wyglądał jak typowy młody Amerykanin z uniwersyteckim wykształceniem. Inteligentny, dowcipny. Miał bardzo niebieskie oczy, pucołowate policzki, lekko zadarty, pokryty piegami nos. I uśmiech zadowolonego z siebie człowieka. Czasami Elizabeth wyciągała ją na międzyuniwersyteckie mecze baseballowe, na których Jeff był oczywiście gwiazdą. To wszystko tak nie pasowało do tej wycieńczonej postaci.

- Chciałabym wiedzieć, jak się czujesz - powiedziała wreszcie.

- Czuję się dobrze - odrzekł.

A dlaczego nie odzywasz się do tych ludzi?

- Bo nie wiem, kim są. Słyszałem płacz dziecka, czyje to dziecko?

- Dziecko... to dziecko syna właścicielki domu
- powiedziała z wysiłkiem.

- Tej siwej pani?

- Tak, właśnie jej.

Jeff przyjął to do wiadomości. Przez chwilę oboje milczeli.

- Możesz mi powiedzieć, kiedy Elizabeth tu przyjedzie?

- Ona... na razie nie przyjedzie, nie może - płatała się, bezradna wobec tego pytania.

- Jest w Nowym Jorku?

- Tak, to znaczy niezupełnie...

Jeff spojrzał jej prosto w oczy, a ona spłoszona odwróciła wzrok.

- Czy Elizabeth mnie porzuciła?

- Słuchaj, Jeff... musisz teraz odpoczywać...

- Daj spokój, Julio, już się naodpoczywałem.
Trwało to, według mojej rachuby, trzy lata.

- Cztery.

- Cztery? Więc cały rok wypadł z moich obliczeń.
Ciekawe.

Wszystko, co mówił zięć, było logiczne, a jednak miała wrażenie, że to nie jest ten sam człowiek, którego tak dobrze знаła. Brakowało jakiegoś rysu dawnego Jeffa. To, co mówił, było za grzeczne, wydawało jej się, że po tym, przez co musiał przejść, jego reakcje powinny być inne. Powinien krzyczeć, buntować się, przecież odebrano mu kawał życia, rozdzielono z najbliższymi, a wyglądał na pogodzonego z sytuacją.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie - usłyszała jego głos, wolno przeciągał słowa.

- A o co pytałeś?

- Czy Elizabeth mnie porzuciła.

- Nie wiedziała, co się z tobą dzieje. Szukała cię.

- I przestała mnie szukać? Prawda?

Nie wiedziała, jak ma się zachować. Jak z nim rozmawiać. Coś przecież musiała mu powiedzieć.

- Z Elizabeth nie jest tak, jak myślisz... - zaczęła.

- A jak jest z Elizabeth? - spytał.

- Jeff... później porozmawiamy, dopiero przyjechałam - rzekła proszącym tonem.

- Wyjaśnij mi tylko, dlaczego to ty przyjechałaś, a nie ona. Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

- Przyjechałam, bo ona nie mogła.

- Dlaczego nie mogła?

- Jestem zmęczona - odrzekła. - Jutro ci wszystko wyjaśnię.

Nie patrząc w jego stronę, ruszyła ku drzwiom.

Wyszła na taras, chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza. Po chwili zjawił się tam Borys.

- Pytał o Elizabeth, nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć... - mówiła gorączkowo.

- Dobry znak.

- Nie wiem, Borys, nie wiem. Jest w nim coś dziwnego. Jakby nie był sobą...

- To naturalne, po takich przejściach potrzebuje więcej czasu.

- Myślisz? - spytała z nadzieją. - Wypytywał o Elizabeth, ale gdybym powiedziała mu prawdę, kto wie, czy nie przyjąłby jej obojętnie.

- Tego nie wiemy i lepiej nie eksperymentujmy. Twój zięć musi się najpierw wzmocnić, a potem zajmie się nim terapeuta.

- Jaki jest jego stan fizyczny?

- Ogólne niedożywienie, odmrożenia kończyn. Baliśmy się, czy dużych palców u stóp nie trzeba będzie amputować, ale na szczęście zadziałał antybiotyk.

- Borys, to wszystko jest potworne - powiedziała zgnębiona - przecież żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku!

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Teraz, kiedy przebywam tu już tak długo, pojąłem, co oznacza określenie, że czas jest pojęciem względnym. Mój czas na pewno... wydłuża się i kurczy, chociaż istnieję w tej samej przestrzeni betonowej klatki. Są dni, kiedy chciałbym walić głową w ścianę i kiedy wydaje mi się, że nie wytrzymam tu ani chwili dłużej, są też całe okresy, kiedy jestem pogodzony ze sobą i moje odosobnienie nie wydaje się wcale straszne. Godzinami, tak sobie wyobrażam, bo trudno mierzyć czas bez zegarka, odtwarzam w myślach twarz Elizabeth, jakbym malował jej portret. Czoło, zarys brwi, kształt nosa, usta... jej kąciki ust, kiedy się leciutko uśmiecha...

Elizabeth, tyle chciałbym ci teraz powiedzieć, tyle wyznać, dlaczego ja się ciągle tak śpieszyłem w tamtym życiu, dlaczego nie miałem czasu, by dłużej z tobą porozmawiać... ale zawsze wiedziałem, jaka jesteś piękna, mądra, wrażliwa... Tak bardzo chcę do ciebie wrócić i to mi dodaje sił, przede wszystkim dla ciebie postaram się ochronić swoje człowieczeństwo...

Tylko... ty nie wiesz, nikt tego nie wie, jak bezradni jesteśmy z całą swoją wiedzą o kulturze i cywilizacji, stając oko w oko ze zwyczajnym, wydawałoby się, insektem. Wszy, niestety wszy, rozmnażają się w tak zastraszającym tempie, że muszą pogodzić się z ich istnieniem. Nie czuję się nawet upokorzony faktem przy-musowej z nimi koegzystencji, to jest po prostu nie-zwykle uciążliwe. Swędzi, piecze, zaczynasz się drapać i nie możesz przestać, na skórze tworzą ci się ranki po własnych paznokciach, to ropieje. Masz dosyć, Elizabeth? Ja też. Ale muszę staczać swoje przegrane bitwy, bo bez tego te stwory mogłyby mnie pożreć żywcem... Elegancik, który mnie tu przywiózł, nie pokazuje się, chociaż zapowiadał swoje wizyty. Ciekawe, skąd zna tak świetnie angielski, mówi niemal bez akcentu. Wska-zywałoby to, że wyszedł z sowieckiej szkoły KGB, ale jakoś nie pasuje mi jego wiek. Ile może mieć lat? Trzy-dzieści parę, góra czterdzieści. Niestety, zastąpił go teraz jakiś zapijaczony dozorca-jilozof, przynosi mi jedzenie, opróżnia kubek. Czasami nawet częstuje pa-pierosem, ale ja, jak wiesz, nie palę...

Spotkanie z Jeffreyem i dziwna rozmowa, jaką prowadzili, bardzo źle na Julię wpłynęły. Czuła się tak, jakby po raz drugi straciła córkę. Tym razem to była ta Elizabeth, którą pamiętał jej mąż. Ich małżeństwo Julia uważała za bardzo udane, mijały lata, a oni ciągle byli sobie bliscy. Być może nie należało mówić o wielkiej namiętności, ale takie uczucia szybko się wypalają. Co innego, kiedy dwoje ludzi ufa sobie i żyje w przyjaźni, wtedy może to trwać bardzo długo. Ani Elizabeth, ani

tym bardziej zięć nie zwierzali się Julii ze swoich uczuć.

Któregoś dnia nie zastała córki w domu i dość długo na nią czekała, Jeffrey dotrzymywał jej towarzystwa. W pewnej chwili rzekł: „Nie ma jej, ale wiem, że przyjdzie. Przyjdzie na pewno”. Powiedział to w taki sposób, jakby była to największa prawda jego życia.

„Ona przyjdzie”. Tak myślał Jeff o swojej żonie. O Julii nikt tak nie mógłby pomyśleć. Bo nikomu na to nie pozwoliła. I wcale nie czuła się z tego powodu szczęśliwa. Jej życie wypełniało wszechobecne „ja”, odmieniane na wszystkie możliwe sposoby: mnie, o mnie, dla mnie, ze mną. Dla nikogo innego nie było w nim miejsca, nawet dla córki. Musi to wreszcie przyznać.

Borys zaproponował, aby Julia pojechała z nim na parę dni do Kukoliwki. Zgodziła się od razu, chociaż miała wyrzuty sumienia, że zostawia tego biedaka, swojego zięcia.

- Na razie nic złego się nie dzieje - uspokajał ją.
- Okazało się, że pan Jeffrey nie jest niemową a że nie zawsze ma ochotę na konwersację, to już inna sprawa. Czas będzie teraz działał na jego korzyść...

„Niestety nie na moją” - pomyślała z nagłym smutkiem. To, co zaszło między nią i Borysem, ta nagła eksplozja uczuć, było czymś tak nieoczekiwanym, że nie potrafiła się w tym odnaleźć. Usiłowała wyznaczyć sobie pewną granicę, aby nie popaść w śmieszność, czego najbardziej się obawiała. No bo jak potraktować fakt, że w wieku sześćdziesięciu czterech lat

i trzech miesięcy przeżywała swoją pierwszą miłość. I tak szczęśliwie się złożyło, że ten, kogo pokochała, nie był młodzieniaszkiem. Słyszała o takich związkach, ale uważała je za żałosne. Prawdę powiedziawszy, do tej pory myślała tak o wszystkich związkach z mężczyznami. Była przekonana, że te dwie płci nie mają żadnych szans na porozumienie, że dzieli je niemal wszystko. Zupełnie inaczej postrzegają świat, jakby jedna ze stron nie odróżniała kolorów. A teraz się nagle okazało, że jednak się myliła.

Mimo swojej siedemdziesiątki Borys świetnie wyglądał, miał szczupłą sylwetkę, chodził sprężystym krokiem, a kiedy się uśmiechał, jego twarz, pomimo siwizny i promienistych zmarszczek wokół oczu, wydawała się młoda. Był naprawdę interesującym mężczyzną i Julia odkrywała to w coraz to nowy sposób. Wszystko jej się w nim podobało, nawet sposób, w jaki trzymał nóż i widelec. Lubiła patrzeć, jak je, jak rzuca jej znaczące spojrzenia znad talerza. Bardzo lubił jeść, i to było widać. W jego obecności zwykły obiad przemieniał się niemal w rytuał, celebrowany z niezwykłą starannością. W restauracji zaczynało się od degustacji win, biedny kelner sporo się musiał nachodzić, zanim Borys wybrał to odpowiednie. Być może, gdyby chodziło o kogoś innego, Julia uznałaby takie zachowanie za dziwactwo, ale Borysem była zachwycona. Sama zaczęła też zwracać większą uwagę na to, co je. Przedtem niezbyt się tym przejmowała, wstyd powiedzieć, zdarzało jej się zjeść na obiad sandwicza z sałatą. Oczywiście nigdy by się do tego przed swoim ukochanym nie przyznała.

Wybierając się do Kukoliwki, zmieniała całkowicie sposób ubierania się. Futro, kozaki na obcasach, spódnice i bluzki, to wszystko poszło w odstawkę. Na drogę włożyła sweter z golfem, spodnie i buty na płaskim obcasie. Do tego sportowa kurtka z kapturem. Zaopatrzyła się przed wyjazdem, bo w swojej szafie nie trzymała tego typu rzeczy.

Kiedy przejrzała się w lustrze, niemal nie mogła siebie rozpoznać. Niestety, nie była to zmiana korzystna. Bez starannego makijażu, odpowiednio wymodelowanej fryzury jej uroda straciła sporo blasku. No cóż, tylko młodym dziewczynom jest do twarzy we wszystkim. I Borys na pewno to zauważył.

Chyba jednak nie zauważył, bo w jego wzroku widziała pełną aprobatę swojej osoby.

- Dlaczego tyle lat byłeś sam? - spytała.
- Bo nie spotkałem odpowiedniej kobiety.
- Ale miałeś chyba jakieś choćby luźne związki
- nie ustępowała.
- Nie pamiętam - uśmiechnął się.
- Nie zbywaj mnie tak - powiedziała rozżalona.
- To nie jest zwykła ciekawość albo wścibstwo, ja po prostu chcę wiedzieć wszystko o tobie. Całe życie przeżyliśmy bez siebie, interesuje mnie, jaki byłeś w młodości, co wtedy myślałeś...

Borys spojrzał jej prosto w oczy.

- Julio, ja naprawdę nie pamiętam czasów, kiedy ciebie nie było przy mnie - powiedział z powagą.

Wjechali w boczną drogę i Julia z daleka zobaczyła znajomy drewniany domek na skraju lasu. Ze zdziwieniem pomyślała, że jest to miejsce, w którym chcia-

łaby zostać na zawsze. Nie mogła zwierzyć się z tej myśli Borysowi, gdyż nie rozmawiali o przyszłości. Ta przyszłość mogła być niestety tylko niedaleka, gdyż los zetknął ich ze sobą w ostatniej chwili. Na szczęście w obojgu tliła się jeszcze resztką młodości. Ale na jak długo? Ogarnął ją żal, że spotkali się tak późno. Dlaczego nie dwadzieścia albo dziesięć lat temu?

- Julio - odezwał się Borys - po co takie myśli, jesteśmy razem i tylko to się liczy.

- Skąd wiesz, o czym myślałam? - spytała spłoszona.

- Zauważyłem, że ostatnio bawisz się w rachmis-trza - odpowiedział z uśmiechem.

Dni w Kukoliwce bez wątpienia należały do najszczęśliwszych w jej życiu. Występowała w roli pomocnicy pana domu i ta rola wręcz ją zachwycała. Jeździli do pobliskiego miasteczka na targ, gdzie Borys kupował warzywa, miód i jajka. A potem wyczarowywał z tego przeróżne dania, z których każde miało niezwykły smak.

- Marnujesz się - mówiła, zmiatając wszystko z talerza. - Powinieneś otworzyć restaurację na Piątej Alei, natychmiast stałbyś się bogaczem.

- Pieniądze mnie nigdy specjalnie nie interesowały - odrzekł na to.

- Przyjemnie jest je mieć. ~~dają~~ wolność - nie ustępowała.

- Wolność jest w nas, Julio. Znałem bardzo bogatych ludzi, którzy tak naprawdę byli niewolnikami swoich pieniędzy.

„Może ja też byłam” - pomyślała.

Po obiedzie Borys zmywał naczynia, a Julia wycierała je lnianą ścierką. Kiedy rąbał drzewo, asystowała mu, siedząc na pieńku, a potem nosiła razem z nim naręczą polan do kominka, który ogrzewał cały dom.

Wieczorami siadali na kanapie w salonie, pijąc wino i patrząc w ogień. Borys obejmował ją ramieniem.

- Teraz jedno z nas powinno powiedzieć: i żyli długo i szczęśliwie...

- Szczęśliwie, zgadzam się - odrzekła - ale długo? Co to dla ciebie znaczy długo?

- No, jutro, pojutrze...

Niekiedy towarzyszyła im matka Borysa, którą syn znosił na dół i usadawiał w fotelu.

- Napijesz się z nami wina? - spytał ją.

- Wino pijcie wy, młodzi, mnie zamula umysł - odpowiedziała. - Przynieś nalewkę na pigwie.

Borys bez szemrania zszedł do piwniczki. Zapadła kłępująca cisza. Julia zastanawiała się, od czego zacząć rozmowę. Nie wiedziała, czy matka Borysa orientuje się, w jakim charakterze ona tu jest. Może uważała ją za zwykłą znajomą.

- Mój syn jest zakochany - przerwała ciszę staruszka.

Patrzyła na Julię przenikliwymi oczyma, a ją zaczęły palić policzki. Na szczęście wrócił Borys.

- O czym była mowa? - spytał.

Jego matka uśmiechnęła się i spojrzała porozumiewawczo na Julię.

Od pierwszej nocy spali z Borysem w jednym łóżku, co dla Julii było czymś nieznanym. Nawet w czasach małżeństwa z Walterem miała nie tylko osobne łóżko, ale i sypialnię, nie zniosłaby bowiem bliskiej obecności innej osoby podczas snu. A teraz było takie oczywiste, że zasypiają razem, że czuje tuż obok jego oddech. Często się jednak budziła, podczas gdy on spał twardym snem.

Nawiedzały ją wtedy różne myśli. Powracał koszmar związany ze śmiercią córki. Jak to możliwe, że minęło tak niewiele czasu i Julia normalnie żyje, śmieje się, a nawet zakochała się jak młoda dziewczyna, podczas gdy Elizabeth już nie ma...

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Okazało się, że spędziłem w tym betonowym piekle dobrych kilka miesięcy. Przywieziono mnie tu jesienią, a już jest wiosna. Skąd to wiem? Otóż ten opiekujący się mną Aborygen skuł się ze mną kajdankami, abym mu broń Boże nie uciekł, i wyprowadził na powietrze. Pierwszy moment był porażający, kręciło mi się w głowie, bałem się, że rozsadzi mi płuca z nadmiaru tlenu. I jeszcze większa niespodzianka. Przenosiny do jakiegoś bardziej ludzkiego wnętrza. Co prawda okno zabite naглуcho, ale jednak uzyskałem prawo do mycia się w umywalce i załatwiania swoich potrzeb po ludzku, a nie po zwierzęcemu. Cóż za luksus. Nie wiem, na jak długo, ale łóżko i koc zamiast siennika to naprawdę coś.

Aborygen, lubię tak go nazywać, chociaż to niepoprawne politycznie, ostrzygł mnie, jak biedak potrafił. Ogoliłem się sam, dostałem też swoje ubranie.

*Czuć je nieco zgnilizną, ale było to niezwykle przeży-
cie, kiedy rozpoznałem swoją zamszową marynarkę.
A wszystko z powodu wizyty!*

Sytuacja, którą Julia zastała po powrocie z Kuko-
liwki, zmieniła się na tyle, że Jeff, chociaż większość
dnia spędzał jeszcze w łóżku, wyraźnie zaczynał
odzyskiwać równowagę. Poprosił o gazety i przeglądał
je godzinami. Początkowo nie mógł uwierzyć w poma-
rańczową rewolucję i w zmiany, jakie zaszły na Ukrai-
nie. Ale te wiadomości dobrze na niego wpłynęły.

Próbował już wstawać, chociaż miał poważne
problemy z nogami, sam dbał o swoją toaletę. Golił
się, codziennie brał prysznic. To dobrze wróżyło.

Julia była pewna, że kiedy się tylko zobaczą, Jeff
znowu spyta o Elizabeth. Po długiej naradzie ustali-
li z Borysem, że powinna powiedzieć mu prawdę.
Andrew też był podobnego zdania.

Kiedy weszła do pokoju, siedział w fotelu, obok na
podłodze leżały sterty gazet, były to przeważnie dzien-
niki w języku angielskim, ale dostrzegła też tutejsze
tytuły.

- Czytasz po ukraińsku? - spytała.

-No... trochę rozumiem - powiedział już swoim
normalnym głosem, rzeczywiście jego rekonwalescen-
cja postępowała błyskawicznie.

Oby to, co miała mu do powiedzenia, tego nie
zahamowało.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok niego,
a kiedy na nią spojrział, dostrzegła w jego oczach głą-
boki cień. •

„Jest jeszcze chory - pomyślała - ja mu tego nie powiem... nie potrafię... ”

- Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, co się dzieje z Elizabeth - zaczął - i co to za dom, w którym przebywam. Możesz mi to wyjaśnić?

- Owszem, mogę - odrzekła szybko. - To dom matki mecenasa Sanickiego, pełnomocnika Elizabeth.

- Pełnomocnika? - patrzył na nią pytająco.

- Tak, pan Sanicki ma tutaj kancelarię adwokacką, pomagał Elizabeth w poszukiwaniach.

- A gdzie jest moja żona?

Julia prowadziła ze sobą walkę. Wiedziała, że nigdy nie ma dobrego momentu na przekazanie złej wiadomości, ale odnosiła wrażenie, że szczególnie teraz nie może zadać mu tak bolesnego ciosu.

- Jeff, nie możesz się z nią teraz zobaczyć - powiedziała zdecydowanie.

- Dlaczego?

- Bo to jest bardzo skomplikowana sprawa...

Patrzył na nią w napięciu.

- Ona też została porwana?

Julia milczała.

- Więc jednak! Pogrożki, że osiągną moją rodzinę, sprawdziły się - mówił gorączkowo. - Trzeba zacząć działać, czytałem, że nowy prezydent chce wznowić sprawę Georgija... Poruszmy niebo i ziemię...

- Uspokój się! - przerwała ten potok słów. - Myśl teraz o sobie, o tym, żeby jak najszybciej stanąć na nogi.

- Na nogi to ja nieprędko stanę, ale głowę mam w porządku. Poproś tego pełnomocnika, muszę z nim omówić parę spraw.

— Nie ma go, on tutaj nie mieszka - Julia była przerażona tym wybuchem.

— To wezwij go telefonicznie! No idź, na co czekasz!

Oszołomiona opuściła pokój.

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Aborygen kazał mi zejść na dół do dawnej sali restauracyjnej. Był tam bufet, kilka stolików. Przy jednym z nich siedział człowiek, który mnie tutaj przywiózł i uwięził. Wyglądał jak z kolorowego magazynu dla pań, niezwykle przystojny, w doskonale skrojonym garniturze. Koszula Camela, idealnie dobrany krawat. Dobra woda po goleniu. To wszystko tak nie pasowało do tej rzeczywistości, że było aż humorystyczne, chociaż mnie to wcale nie śmieszyło.

— *Długo się nie widzieliśmy - powiedział tamten, krzywo się uśmiechając.*

Na wszelki wypadek milczałem. Nie byłem pewien, po co ta jego wizyta. Czy ma zamiar obwieścić koniec uwięzienia, czy też koniec mojego życia. Od samego początku obie możliwości brałem pod uwagę.

— *Niech pan siada - wskazał mi krzesło po przeciwnej stronie stołu.*

Ku mojemu zaskoczeniu rozłożył szachownicę i zaczął ustawiać na niej figury szachowe.

— *Przyjechałem specjalnie, aby rozegrać z panem partyjkę - powiedział, a widząc, co się dzieje na mojej twarzy, szybko dodał: - Niech pan nie zaprzecza, umie pan grać. Śledziłem uważnie pańskie dokonania na tym polu...*

— *Dużo pan o mnie wie - odrzekłem.*

- *Wiem o panu wszystko. Natomiast pan nie wie o mnie nic i to bardzo mi odpowiada.*

Mnie odpowiada mniej, pomyślałem, a on, jakby czytając w moich myślach, roześmiał się.

- *Obaj jesteście miłośnikami tej gry... Szachy to wojna intelektów, wojna mózgów, więc trzeba mieć godnego przeciwnika.*

-I ja nim jestem według pana? — spytałem.

- O tak, jeżeli chodzi o szachy, na pewno tak.

Pomyślałem, że to jednak chyba tylko pretekst, że chodzi mi o coś zupełnie innego. Pewnie chce mnie podejść, skierować moją uwagę w inną stronę i wyciągnąć jakieś informacje na temat moich kontaktów z G.

- Pan białe, ja czarne — zaproponował.

- Chce mi pan dać przewagę? - uśmiechnąłem się.

Nie skorzystam, lepiej losujmy.

Oficer, tak go w myślach nazywam, wziął dwa pioniki i ukrył w dłoniach. Wylosowałem białe.

- Jednak los się do pana uśmiechnął - skomentował to nieproszony gość.

Bo czarne bardziej pasują do twojego charakteru, pomyślałem.

Cały czas prowadziłem walkę wewnętrzną, czy nie powinienem odmówić gry z tym człowiekiem. Przecież to z jego woli spędziłem w betonowej klatce prawie pół roku. Skoro już musiałem zostać uwięziony, dlaczego nie trzymano mnie tutaj, w tym opuszczonym hotelu, tylko pod ziemią, w nieludzkich zaiste warunkach.

Miałem zamiar zakomunikować mu, że rezygnuję z gry, gdy w tym samym momencie spojrzał mi w oczy i powiedział:

- Nie jesteśmy sadystami, trzymaliśmy pana w tej norze tak długo, jak było to konieczne. Niech pan za to podziękuje swojej żonie, wszczęła taki raban, że na jakiś czas musiał pan zniknąć z powierzchni ziemi.

Nic więcej nie udało mi się z niego wyciągnąć. Jakie kroki podjęła Elizabeth, czy ten raban, jak się wyraził, wszczęła w Ameryce, czy też przyjechała tutaj, aby mnie szukać. Musiałem się tego dowiedzieć, a jedyną ku temu sposobnością była gra w szachy z Oficerem. Bo przecież Aborygena nie należało brać pod uwagę. On był tylko pionkiem w grze o moje życie.

Jeżeli Elizabeth przyjechała na Ukrainę, pewnie skontaktowała się z Oksaną. Ona jedna mogła jej tu pomóc. A więc te dwie kobiety miały się ze sobą spotkać. Tylko one potrafiły wyzwolić we mnie uczucia, zawsze dla mnie takie trudne. Jakakolwiek forma uzależnienia od innych wręcz mnie przerażała, a miłość przecież na tym polega. Długo się więc przed nią broniłem, zanim poddałem się ostatecznie i poprosiłem Elizabeth o rękę. A ta druga... spotkałem ją w Nowym Jorku u znajomych. Nie wiem, co takiego miała w sobie. Jako nauczyciel uniwersytecki znałem wiele młodych kobiet, o wiele bardziej efektywnych od niej, i nie miałem najmniejszej ochoty zawierać z nimi bliższej znajomości. O Oksanie nie mogłem zapomnieć, wciąż miałem przed oczyma jej twarz. Chciałem pozbyć się tego wspomnienia, ale nie było to wcale łatwe. Gdybym wiedział, że ona będzie matką mojego dziecka... Spotkałem ją po siedmiu latach już na Ukrainie, przedstawiła mi swojego synka, którego od razu polubiłem. Któregoś dnia, czekając na Oksanę, siedziałem na ławce i przyglądałem się, jak jej syn, Alek, gra z kole-

gami w piłkę. Obserwowałem jego ruchy, sposób, w jaki biegnie za piłką, w jaki odgarnia włosy z czoła, i nagle zobaczyłem siebie z dzieciństwa. W jednej chwili zrozumiałem, że jestem jego ojcem. Przez głowę przebiegały mi różne myśli. Jak mam się zachować w tej sytuacji, skoro już wiem? Co mam zrobić? A może nie robić nic? Przecież Oksana nie odda mi chłopca, a ja wkrótce wyjeżdżam. A poza tym jaki to byłby szok dla Elizabeth. Chyba nawet nie umiałbym jej o tym powiedzieć.

Los zastawił na mnie pułapkę. Tak bardzo obawiałem się życiowych zobowiązań, a one właśnie się pojawiły, i to na wiele, wiele lat. Mój syn był przecież jeszcze mały. Ale to był mój syn i jedyne, co wiedziałem na pewno, to że uznam go i zapewnię mu odpowiednią przyszłość.

Obowiązek wyjawienia Jeffreyowi prawdy przypadł Andrew. Było to dla niego tym trudniejsze, że przeczytał *Dziennik*, poznał jego myśli i śledził walkę, jaką ten człowiek toczył o zachowanie godności. Być może on sam nie znalazłby w sobie tyle siły, aby przetrwać wieloletnie odosobnienie. I ten dziwny pojedynek z Oficerem, jak zaczął za Jeffreyem nazywać jego prześladowcę. Przez cały *Dziennik* przewija się Elizabeth przywoływana różnymi zakłęciami, ale za każdym z nich kryła się tęsknota i miłość. On starał się przetrwać dla niej, więc jak mu teraz powiedzieć, że jej już po prostu nie ma.

Czasu było coraz mniej, bo trzeba w końcu powiadomić o wszystkim konsulatu. A byłoby naiwnością

spodziewać się, że urzędnicy konsularni zechcą zachować dyskrecję w sprawie śmierci Elizabeth.

Wchodząc do pokoju Jeffreya, starał się ukryć zdenerwowanie. Connery siedział w fotelu i patrzył przed siebie niewidzącymi oczyma, dopiero pojawienie się Andrew wyrwało go z odrętwienia.

- Jestem Andrew Sanicki - powiedział, podając mu rękę.

- Connery.

- Chciał się pan ze mną widzieć?

- Mam uzasadnione podejrzenie - zaczął tamten lekko podniesionym głosem - że moją żonę Elizabeth Connery uprowadzono. Czy pan podjął już jakieś kroki?

Patrzył na Andrew rozgorączkowanym wzrokiem.

- Nie podjąłem - odrzekł wolno.

- A dlaczegoż to, jeśli wolno spytać? Podobno jest pan jej pełnomocnikiem.

- Tak, byłem pełnomocnikiem pani Connery - odrzekł wolno.

- Więc na co pan czeka? - wykrzyknął tamten.

Andrew nabrał powietrza w płuca:

- Z przykrością muszę panu zakomunikować, że pańska żona nie żyje.

Mężczyzna patrzył na niego, na twarzy pojawił mu się nerwowy tik.

- Elizabeth nie żyje? - spytał po długiej chwili głosem skrzywdzonego dziecka. - To nie jest jakaś pomyłka?

Andrew pokręcił głową.

- Niestety nie.

- Chciałbym poznać szczegóły, ale nie teraz... nie teraz... jeżeli to prawda o Elizabeth, proszę, aby pan stąd wyszedł. Muszę zostać sam.

Dziennik Jeffreya Connery 'ego

Partia szachów trwa. W zeszłym tygodniu Oficer odwiedzał mnie trzy dni z rzędu. Ostro kłóciliśmy się o jego ruch, uważałem, że oszukuje. Zacząłem klasycznie pionem przed króla o dwa pola, potem skoczek i gońcem. On odpowiadał prawidłowo, też pionkiem przed króla i skoczek, tak jak uczą w książkach. Ale potem jego gra stała się wyraźnie agresywna, z końmi na środek... Zawsze wolałem grać obronnie, sprawiało mi to większą satysfakcję. Dla mnie na tym właśnie polega piękno szachów, ruch pozornie obronny jest wspianym bezapelacyjnym atakiem. Warto czasem poświęcić figurę, aby uzyskać lepszą pozycję. On też chyba był podobnego zdania, bo powiedział w pewnej chwili:

- Ten, kto ryzykuje w życiu, ryzykuje i w szachach, zgadza się pan ze mną?

- To banał.

- Być może, ale naszej partii szachów nie można tak potraktować.

- To zależy, czym się skończy — burknąłem, próbując skoncentrować się na grze, przecież nie grałem od czasów uniwersyteckich. Wtedy byłem kapitanem drużyny. Teraz to on był kapitanem wiadomej instytucji, a może pułkownikiem albo generałem. Generałem chyba jednak nie, tak wysoka szarża nie zniża się do eskortowania więźniów, nawet jeżeli są Amerykanami.

- Dla mnie czy dla pana?
- Dla mnie oczywiście - powiedziałem beczelnie.
- Pańska osoba mnie mało obchodzi.
- A powinna - wycedził — bo ode mnie zależy pański los.

- Nikt nie jest panem życia i śmierci, nawet jeśli tak mu się wydaje. O tym zadecyduje ktoś wyżej.

- Moi przełożeni dali mi wolną rękę - odrzekł, udając, że nie wie, o kogo mi chodzi.

W pewnej chwili spytał:

- Jest pan wierzący?

- A pan?

- Co niedziela chodzę z rodziną do cerkwi.

- A czy w waszym obrzędku istnieje coś takiego jak spowiedź?

- A jeśli istnieje, to co?

- Miałby się pan z czego spowiadać.

- Dłaczego pan tak uważa ?

- Chociażby dlatego, że pozbawił mnie pan prawa do decydowania o sobie. Stosuje pan wobec mnie przymus.

Skwitował to charakterystycznym skrzywieniem ust, trochę przypominającym uśmiech.

- Inaczej to miało wyglądać — odpowiedział całkiem serio. - Chcieliśmy zatrzymać pana na kilka dni i potem po cichu dowieźć do granicy. Ale pańska żona narobiła hałasu, zmusiła naszą dyplomację do oświadczenia, że nie ma pana na Ukrainie.

- Czyli wszystkiemu winna jest moja żona - stwierdziłem ironicznie.

- Gdyby siedziała cicho, bylibyście teraz przykładowym nowojorskim małżeństwem. Ale ta jej niedźwie-

dzia przysługa odwleka pański powrót, kto wie na jak długo.

- Więc jednak mam szansę wrócić, nie utniecie mi głowy?

Jego dobrotliwy wyraz twarzy zmienił się, stał się czujny.

- O czym pan mówi? - spytał ostro.

- Mówię o ucinaniu głowy - odrzekłem dobitnie - mojej, nie pańskiej.

Szybko zmienił temat, krzyknął na mnie, abym się pośpieszył ze swoim ruchem.

- Po co te nerwy - powiedziałem - przecież nie gramy na czas, a poza tym bez względu na wynik naszej gry i tak ma pan nade mną przewagę.

Nie mógł już odkładać swojej wizyty w konsulacie, chociażby z tego powodu, że Connery zażyczyła sobie spotkania z konsulem, a przed takim spotkaniem konsul powinien znać kilka szczegółów dotyczących Amerykanina i jego rekonwalescencji. Dla dobra toczącego się śledztwa w sprawie zamordowania Gongadzego zatajono fakt, iż Amerykanin został odnaleziony. Prezydent Juszczenko oświadczył, że wykrycie sprawców morderstwa jest dla niego sprawą honoru.

Andrew wszedł do budynku konsulatu. Sekretarka wprowadziła go do gabinetu, przeprasząc jednocześnie w imieniu szefa, który utknął w korku.

Dała mu do przejrzania prasę. Na okładce kolorowego amerykańskiego magazynu zobaczył fotografię Gongadzego i podpis:

„Wznowione śledztwo. Czy zaginiona głowa dziennikarza powróci na swoje miejsce?”

Uznał ten podpis za mało taktowny. Ale taka była prasa amerykańska, przede wszystkim goniła za sensacją.

Wewnątrz numeru przeczytał:

Ukraińskie służby specjalne dotarły do świadka, który może odegrać kluczową rolę w sprawie porwania, a potem zamordowania dziennikarza opozycyjnej gazety internetowej, „Ukraińska Prawda”. Podobno człowiek ten widział, jak dziennikarz wsiadał do podstawionego przez milicję samochodu.

Minister spraw wewnętrznych Jurij Łucenko powiedział na konferencji prasowej, że udało się zidentyfikować ludzi przebywających w aucie. Został także odnaleziony samochód. Wszelkie ślady zabezpieczono. Ekspertyza wykaże, czy na tapicerce znajdują się ślady krwi. Zdaniem ministra osoby, które wsiadały wraz z dziennikarzem do auta, nie muszą być zabójcami. Mogły wykonywać tylko polecenia swoich przełożonych, nie wiedząc nawet, że popełniają przestępstwo.

„Na szczęście nie wiedzą kim jest ten świadek • , - pomyślał Andrew. - Już by o tym trąbili”. Dużo się nagle zaczęło dziać wokół tamtej sprawy. Materiał dowodowy był wcale niemały. Już same taśmy Melnyczenki mogłyby sporo wniesić. Ale nie dalej jak kilka dni temu na własne uszy słyszał cytowane przez BBC oświadczenie byłego ochroniarza prezydenta Kuczmy, w którym ten stwierdzał, że nie przekaże taśm prokura-

torowi generalnemu z obawy, że mogłyby zostać zniszczone. Ten właśnie prokurator od początku prowadził sprawę Gongadzego, która została umorzona „z powodu niewykrycia sprawców”. Melnyczenko zapowiedział jednak, że przekaże pełną dokumentację Ołeksandrowi Turczynowi, nowemu szefowi Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Turczyn blisko współpracował z Julią. O co tu chodziło? Może to były jakieś zakulisowe rozgrywki personalne? Może sam Melnyczenko chce coś wygrać dla siebie?

W drzwiach pojawił się nowy konsul generalny, którym okazał się... Robert Smith.

- Pan tutaj? - zdziwił się Andrew. - Pani Connery opowiadała mi o waszym spotkaniu w Waszyngtonie.

- Wysłaliśmy panu zawiadomienie o objęciu przeze mnie urzędu - zaczął się tłumaczyć konsul.

- Musiałem przeoczyć w tym nawale spraw, jakie na mnie spadły.

- Rozumiem, rozumiem. Chciałbym wyrazić swój żal w związku ze śmiercią pani Connery. Do tej pory nie mieści mi się w głowie, jak mogło do tego dojść...

- Czasami wydaje mi się, że Elizabeth za chwilę wejdzie do pokoju - umilkł zdumiony tak osobistym wyznaniem.

Może wpłynęły na to ich wspólne przeżycia. Ta podróż do granicy polsko-ukraińskiej, ukrycie chłopca w bagażniku. Dla takiego beznadziejnego biurokraty, jakim był Smith, to naprawdę wyczyn nie lada i Andrew w pełni to doceniał. Powiedział mu o tym wtedy i przypomniał teraz.

- Nikt nie mógł się sprzeciwić woli pani Connery, nawet ja - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Naprawdę ją podziwiałem.

Andrew skinął głową.

- Jeffrey Connery wyraził życzenie rozmowy z panem konsulem.

- Tak, wiem - pośpieszył z odpowiedzią. - Rozmawiałem z nim telefonicznie, wkrótce go odwiedzę w domu szanownej mamusi pana mecenasa. Jesteśmy naprawdę zobowiązani państwu za troskliwą opiekę nad naszym rodakiem. To jego niezwykle odnalezienie... był moment, kiedy nie potrafiłem zrozumieć uporu pani Connery...

- Nie tylko pan, niestety - przyznał ze smutkiem Andrew.

Zapadła cisza.

- W czym mogę panu pomóc? - spytał wreszcie konsul.

- Przychodzę w delikatnej sprawie - zaczął Andrew. - Oprócz tego, że w domu mojej matki gości pan Jeffrey Connery, przebywa tam też córka pani Connery.

- Szpital przesłał nam dokument z jej danymi. O ile wiem, opiekę nad nią przejęła babka.

- Problem polega na tym, że jako ojciec w dokumencie figuruje pan Connery.

- No tak, to jest problem - przyznał Smith. - Biologiczny ojciec dziewczynki, jak mniemam, przebywa w Ameryce. Jeśli zechce przyznać się do dziecka, będzie musiał wystąpić do sądu.

Andrew wstał, obciążając marynarkę, konsul też uniósł się zza biurka.

- Ojciec dziecka przebywa tutaj, we Lwowie - powiedział, patrząc Smithowi prosto w oczy - i ja nim jestem. •

Jabłko Adama na szyi Smitha podskoczyło gwałtownie do góry.

- Pan... pan jest ojcem - wyjąkał kompletnie zaskoczony.

- Tak jak powiedziałem.

- Więc powinien pan dochodzić swoich praw w tutejszym sądzie.

- Niestety, według naszego prawa biologiczny ojciec może tylko wystąpić o zaprzeczenie ojcostwa. Nic innego mu nie przysługuje. Gdyby Elizabeth żyła i chciała zanegować moje ojcostwo, nic nie mógłbym zrobić. Jej śmierć niczego nie zmienia w tej kwestii. Natomiast to, że żyje pan Jeffrey Connery, zmienia wszystko. W świetle prawa on jest ojcem mojego dziecka i może je stąd bezkarnie wywieźć do Ameryki, gdyby przyszła mu na to ochota.

Smith miał taką minę, jakby nie mógł nadażyć za wywodem Andrew.

- Ale... czego pan od nas oczekuje?

- Dyskrecji.

- To znaczy?

- Pan Connery nie do końca orientuje się w sytuacji.

Niełatwo mu było o tym mówić. Taki służbista jak Smith nie zrozumie pewnie tego, o co chciał go poprosić. Trudno mu było takie pojąć, że Andrew był ojcem Oksany. Nikt go przecież nie wtajemniczał w sprawy uczuć, jakie łączyły jego i Elizabeth. Do tej chwili uważał Andrew tylko za byłego pełnomocnika Elizabeth.

- Pan Connery nie orientuje się, jaki jest status prawny mojej córki- brnął dalej. - Byłoby dobrze, aby

tak pozostało do czasu jego wyjazdu do Ameryki. Przed tamtejszym sądem postaram się udowodnić ojcostwo, przedstawię wyniki badania DNA. To dla mnie i dla mojej córki jedyna szansa prawnego uregulowania sytuacji.

- No tak, tak - szybko powiedział Smith - ale ja przecież nie mogę poświadczać nieprawdy.

- Jakiej nieprawdy? - wybuchnął Andrew. - Zaręczam panu, że Oksana Connery jest moją córką i udowodnię to.

- Ależ ja panu wierzę, ale w świetle dokumentu, jaki znajduje się w konsulacie, ojcem dziecka jest pan Connery i to jest dla nas wiążące.

- Wiążące powinno być to, czego się pan dowiedział ode mnie - zaczął ostro, ale zaraz złagodził ton.

- Panie Robercie, już raz dokonał pan odstępstwa od zasad wzorowego urzędnika amerykańskiej dyplomacji dla dobra sprawy, pomógł pan wywieźć Aleka, proszę zrobić to po raz drugi, ze względu na pamięć Elizabeth chociażby...

- Ale... ale ja przecież nie wiem, czego pragnęłyby pani Connery - bronił się Smith.

- Pragnęłyby tego, co ja, żeby jej córka przebywała ze swoim ojcem. To jest dziecko miłości. Nie zgwałciłem jego matki, jeżeli panu o to chodzi.

Smith poczerwieniał na twarzy.

- Jedyne, co mogę zrobić, to przemilczeć sprawę, ale jeżeli pan Connery spyta, będę musiał mu powiedzieć.

- A co takiego mu pan powie?

- Że formalnie on jest ojcem.

Andrew z powrotem usiadł na krześle, do tej pory rozmawiali, stojąc. Smith zajął swoje miejsce za biurkiem.

- Pan nie wie jednej rzeczy - zaczął. - Otóż obserwuję pana Connery'ego i odnoszę wrażenie, że nie odzyskał w pełni równowagi psychicznej. Jeżeli mu się powie, że jest formalnie ojcem, może wyrzucić ze swojej świadomości słowo „formalnie” i będzie się uważał za prawdziwego ojca. Dlatego lepiej zaczekać z tymi rewelacjami, dopóki nie dojdzie do siebie.

- Zrobię, co będę mógł, ale... nie mogę niczego panu Connery'emu zabronić.

- Pan Connery ma za sobą ciężkie przejścia, pół roku więziono go w piwnicy bez okna, potem przetrzymywano w zamknięciu parę lat, a po wybuchu pomarańczowej rewolucji znowu trafił do betonowego bunkra. Kiedy go znaleźliśmy, był przykuty łańcuchem do ściany...

-Potworne...

- Nikt nie wychodzi cało z takiej sytuacji. Potrzeba dużo czasu, aby wyrzucić z siebie podobne doświadczenie. Czy można znaleźć wtedy siły na opiekę nad małym dzieckiem?

Smith nerwowo wyginał palce.

-Cóż za tragiczny zbieg okoliczności - rzekł wreszcie. - Ja tak odradzałem patii Connery przyjazd tutaj... gdyby mnie posłuchała, ale ona zawsze musiała postawiona swoim...

Urwał nagle, wyraźnie przerażony tym, co powiedział, nie mówił tego bowiem jako konsul generalny, ile osoba całkiem prywatna.

- Postaram się panu pomóc - wykrztusił po długiej chwili - chociaż jeszcze nie wiem jak...

- Wystarczy, że nie wystawi pan paszportu mojej córce.

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Nasz pojedynek szachowy trwa. Chyba wracam do formy po tak długiej przerwie. Oficer powiedział mi, że jedna z partii rozegranych przeze mnie w naszym uniwersyteckim klubie została opublikowana w jakimś piśmie szachowym. No proszę, musiałem przeżyć całą tę epopeję, aby się o tym dowiedzieć.

Przyzwyczałem się już do tych wizyt i do naszej przydługiej rozgrywki. Już krócej zastanawiam się nad każdym ruchem. Zaczynam grać instynktownie, a to moja najlepsza broń. Trochę sobie gawędzimy, ale ja oczywiście wszystko, co mówię, mam pod ścisłą kontrolą. Znam ich metody, przyjazna atmosfera i nagle jakieś zaskakujące pytanie, na które się machinalnie odpowiada. Spróbowałem zresztą zastosować tę metodę wobec niego.

- Mojej żony nie ma już na Ukrainie? - spytałem niewinnie.

Roześmiał się.

- Odpowiem panu, bo mogę na to odpowiedzieć. Nie ma jej na Ukrainie, namąciła, namąciła i wyjechała.

- A czy mogę zapytać o mojego przyjaciela?

Oczy Oficera stały się czujne.

- O jakiego przyjaciela?

- Pan wie, o jakiego, nie muszę tego wyjaśniać.

- *Ja też niczego nie muszę wyjaśniać - odrzekł, potem nagle wstał i wyszedł.*

Nie było go kilka dni, rozstawione na szachownicy figury czekały, z lekką moją przewagą...

Kiedy Borys zaproponował jej wyjazd w góry do sąsiedniego kraju, uznała ten pomysł za absurdalny.

- Dlaczego tak uważasz, Julio? - spytał z łagodnym uśmiechem.

- Bo to nie jest odpowiedni moment. Nie wiadomo, co będzie z Jeffem, co zrobi, jak się dowie, że Oksana jest córką Elizabeth. Bo w końcu się przecież dowie, prawda?

- Andrew sobie z tym poradzi, a jak sobie nie poradzi, to może nas w każdej chwili wezwać, to wcale nie tak daleko.

- Ale... dlaczego mamy jechać właśnie tam?

- Bo tam są przepiękne góry, piękniejsze niż Alpy, zaręczam ci. Weźmiemy narty...

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Narty? Ja już od dawna nie jeżdżę na nartach.

- To błąd, który musimy naprawić.

- Chcesz, żebym się skompromitowała?

Borys spojrzał jej w oczy.

- Dlaczego jazda na nartach ma cię skompromitować?

- Bo wiek nie ten i kondycja nie ta - odpowiedziała.

Borys energicznie ujął ją za ramiona.

- Jesteś młodą kobietą, ja tak cię widzę i bardzo cię proszę, abyś mi w tym nie przeszkadzała.

- Myślałam, że jestem młoda tylko w oczach twojej mamy - uśmiechnęła się, a potem dodała niepewnie: - A jak się nazywa ten kraj, gdzie chcesz jechać?

- Polska, a miejscowość Zakopane.

Więc zgodziła się na tę podróż, bo nie umiała odmówić Borysowi. Może po powrocie do Nowego Jorku żałowałyby, że jednak tam nie pojechali. To miał być tylko tydzień, a potem już chyba będzie musiała wrócić do domu.

Ale gdzie był teraz jej dom? W Nowym Jorku? Tutaj codziennie chodziła na cmentarz. Siadała na kamiennej ławeczce i wydawało jej się, że w tym właśnie miejscu jest bliżej córki.

Pewnego dnia zastał ją tam Borys. W milczeniu usiadł obok, a kiedy szli aleją ku bramie, objął ją ramieniem. Właściwie nie potrzebowali słów, wszystko między nimi było jasne, poza jednym - jak Julia miała sobie poradzić z rozłąką.

Myślała o tym, stojąc przy oknie w domu pani Sanickiej i patrząc na ośnieżony ogród.

- Znowu nam liczysz lata, kochany rachmistrzu? - spytał Borys.

- Liczę odległość z Nowego Jorku do Kukoliwki.

Stanął obok, delikatnie uniósł jej brodę, zmuszając, aby na niego spojrzała.

- Odległość dla miłości jest jak wiatr dla ognia. Małe gasi, wielkie wznieca...

- To ładne - uśmiechnęła się. - Sam to wymyśliłeś?

- Nie, ale się pod tym podpisuję.

- Więc niech będzie wielkie to, co między nami. Obiecujesz? •

- Obiecuję - odrzekł poważnie.

Przed wyjazdem do tej nieznannej Polski Julia poszła pożegnać się z Jeffem. Od czasu gdy dowiedziała się o śmierci Elizabeth, wyraźnie unikał z nią kontaktu. Kiedy przypadkowo spotkali się na korytarzu, szybko wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Może miał do niej żal, że tak długo ukrywała przed nim prawdę.

Siedział, jak zwykle, w fotelu, obłożony gazetami.

- Czytałaś, mają zabójców Georgija! - powiedział wyraźnie poruszony. - Teraz czas na głównego zleceniodawcę. Mówi się, że jak wróci z wakacji w Czechach, zostanie aresztowany. Wiwat Ukraina!

- To są ich sprawy i ich rozliczenia - odrzekła, nie chcąc wdawać się z nim w dyskusję.

- Ich sprawy? A cztery lata mojego życia? - w jego głosie pojawiła się wrogość.

„A życie mojej córki?” - dodała w myślach i znów miała żal do tego człowieka, mimo że nie był bezpośrednio winien jej śmierci.

- Wiesz, Julio - zaczął Jeff- myślę o powrocie do domu. I chciałbym zabrać ze sobą Elizabeth.

Zabrzmiało to tak, jakby myślał o niej jak o kimś żywym.

- Jak to chcesz zabrać Elizabeth?

- Tak jak się zabiera zwłoki bliskich ludzi, samolotem w zaplombowanej trumnie.

Julia usiadła z wrażenia, szukała odpowiednich słów.

- Nie możesz tego zrobić, nie masz prawa! - powiedziała wreszcie.

Nie? - spytał z jawną wrogością. - A kto mi zabroni? Ty?

- Byłam jej matką i taką podjęłam decyzję, że tu zostanie pochowana.

- A dlaczego tak zdecydowałaś? Zgodziłaś się, aby twoja córka została pochowana w grobowcu obcych ludzi, w obcym mieście. To co najmniej dziwne. Nie chciałaś, aby Elizabeth wróciła do domu?

- Elizabeth... chciałyby tu zostać.

- Z jakiego powodu?

- Z takiego, że... w ciągu tych czterech lat wiele się zmieniło... ona czekała na ciebie, szukała cię, ale w końcu ułożyła sobie życie.

- Wiem o tym - odrzekł wolno.

- Wiesz? A kto ci powiedział? - spytała zaskoczona.

- Nikt mi nic nie musiał mówić. Wiem, że to dziecko jest jej... możecie je sobie zatrzymać. Ale Elizabeth nie oddam.

Pomyślała z goryczą że ten koszmar chyba nigdy się nie skończy.

-Jeff - zaczęła ugodowo - nie trzeba jej niepokoić, Elizabeth jest tutaj pochowana i niech tak zostanie.

- Nie, absolutnie się z tym nie zgadzam i zamierzam podjąć odpowiednie kroki jako jej mąż. Mąż, Julio, czyli najbliższy człowiek. Ty jesteś tylko krewną.

- Ja tego nie wytrzymam, co ty wygadujesz! - wybuchnęła bliska załamania. - Po co oni ciebie odnaleźli. Lepiej by było dla wszystkich, abyś został w tej piwnicy!

- Ja też tak czasami myślę - odrzekł spokojnie.

Prawie wybiegła z pokoju.

- Mój zięć chce wywieźć Elizabeth do Ameryki - powiedziała zgnębiona do Borysa. - Muszę go jakoś

powstrzymać, bo... już się przyzwyczaiałam, że ona tu jest. Ile razy można chować własną córkę? No powiedz, ile razy?

Borys miał zmartwioną minę.

- Uspokój się, kochanie - powiedział głosem, który zawsze działał na Julię kojąco. Teraz nie mogła się uspokoić, jakby coś się w niej rozsypało. Każda część ciała istniała osobno.

Podprowadził ją do fotela, nalał odrobinę koniaku.

- Wypij to - poprosił.

- Nie piję takiego alkoholu - broniła się.

- To ci dobrze zrobi.

Dała się wreszcie namówić i wypła kilka łyków. O dziwo, ustało to wewnętrzne dygotanie.

- I co dalej? - spytała już spokojniej. - Sam widzisz, że w tej sytuacji nie możemy wyjechać. My pojedziemy w góry, a po powrocie okaże się, że on wywiózł moją córkę...

- To tak szybko nie działa - uspokajał Borys.

Muszą być zachowane odpowiednie procedury, zgoda na ekshumację.

- Boże! Miej w opiece tego szaleńca - wyrwało jej się, szybko spojrzała na Borysa. - Dzieje się ze mną coś niedobrego, uczucia, jakie wywołuje we mnie mój zięć, stają się coraz bardziej negatywne, zaczynam się obawiać, że bliskie nienawiści...

- To minie, Julio. Oboje jesteście bardzo zranieni i trudno wam sobie z tym poradzić. A poza tym własny ból odbija się w tym drugim jak w lustrze, przez to się potęguje. Stąd wzajemna niechęć...

- Wzajemna - podchwyciła. - Ty też zauważyłeś, że on mnie nie lubi?

- Nie to, że nie lubi. Twój widok uświadamia mu chyba stratę, jaką poniósł.

- Więc może jednak wyjedźmy w te góry - powiedziała niepewnie. - Andrew tu będzie, on nas w razie czego powiadomi.

- Jestem tego samego zdania. Ale dobrze by było przed wyjazdem zobaczyć się z konsulem. Może złożysz oświadczenie, że nie zgadzasz się na ekshumację córki. No i musimy porozmawiać z Andrew...

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Niestety chorowałem, i to ciężko. Zapalenie płuc. Pojawił się wtedy tajemniczy szef Aborygena, mister Taras. Przywiózł lekarstwa, między innymi antybiotyki, bo o sprowadzeniu lekarza oczywiście nie mogło być mowy.

Mój partner szachowy zniknął na długi czas, ale wiedziałem, że się jeszcze pojawi. Trzeba być fanatykiem szachów, żeby przyjeżdżać aż z Kijowa do tej strefy bardzo niełaskawej dla gości. Początkowo sądziłem, że szachy są tylko pretekstem, a on chce zdobyć moje zaufanie, aby wyciągnąć ze mnie jakieś informacje, ale teraz już wiem, że chodzi o coś innego. On chce mnie pokonać, a dlatego tak mu na tym zależy, pozostanie jego tajemnicą.

Przed moją chorobą zagraliśmy stary wariant partii hiszpańskiej. Czarne wybrały system prowadzący do skomplikowanej gry manewrowej na całej szachownicy. Moje atakowały na królewskim skrzydle, starając się otworzyć drogę do czarnego króla, a czarne szukały szansy na hetmańskim skrzydle, chcąc utrudnić białym

atak. Powstała groźba przełomu pionowego. No, gdy wreszcie połączone siły białego hetmana, skoczka i gońca zagroziły poważnie czarnemu królowi, genialne poświęcenie czarnego hetmana niespodziewanie uratowało partię... On się pojawi, zechce rozegrać ją do końca.

*Kim naprawdę jest ten człowiek? Czy tylko namięt-
nym graczem w szachy, czy też rozgrywa jakąś własną
grę polityczną? Jego inteligencja, wykształcenie pre-
dysponują go do zajęcia o wiele lepszego stanowiska
niż więziennego nadzorca. Widocznie musiał popaść
w niełaskę. Ciekawe, z jakiego powodu? Być może
w którymś momencie sam mi to powie. Sytuacja, jaka
powstała między nami, robi się coraz ciekawsza. Za-
czynamy się od siebie uzależniać. Z mojej strony da się
to łatwo wytłumaczyć, Oficer jest jedyną istotą ludzką,
którą widuję od dłuższego czasu. Ale on? On jest wol-
nym człowiekiem i może sobie wybierać towarzystwo.
A jednak wybiera mnie...*

Kiedy przekraczali granicę polsko-ukraińską, Bo-
rys powiedział, że przez to przejście Elizabeth przemy-
cała w bagażniku Aleka. Wzruszyło ją to do łez. Dotąd
nigdy nie reagowała tak emocjonalnie, uważała siebie
za osobę opanowaną, skrywającą uczucia. Ale teraz
czuła, że dzieje się z nią coś niepokojącego. Zupełnie
jakby gdzieś w głębi niej toczyło się jakieś inne, nieza-
leżne życie. Jej myśli rozszczepiały się na te, które by-
ły jej własne, i na obce, nad którymi nie miała żadnej
kontroli. Zaczęła się nawet obawiać, że to początek
choroby psychicznej. Właśnie teraz, kiedy spotkała

mężczyznę swojego życia. Mieli dla siebie tak mało czasu, wkrótce rozdzieli ich ocean, a także ich wiek, przecież każdego ranka będą o jeden dzień starsi.

Starła się panować nad takimi nastrojami, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Którejś nocy zdarzyła się katastrofa. Obudziła się w górskim domku, który Borys wynajął dla nich, z uczuciem panicznego strachu. Miała wrażenie, że się fizycznie rozpada.

Zeszła po schodach do kuchni. Chciała nalać sobie wody do szklanki, ale nagle nie mogła, szklanka wypadła jej z ręki. Zbierając szkło, skaleczyła się głębokoko. Było dużo krwi. Nie wiedziała, jak ją zatamować, usiadła więc na podłodze i zaczęła się kiwać w przód i w tył.

Na szczęście hałas obudził Borysa. Podniósł ją z ziemi, opatrzył krwawiącą dłoń.

- Julio, co się dzieje, kochana? - pytał łagodnie.

Chciała mu odpowiedzieć, ale nie potrafiła wykrztusić słowa.

Zaczął rozcierać jej stopy. Ciepło jego dłoni zba-
wiennie na nią podziałało.

- Powiedz, kochana, co z tobą? - spytał.

Miała tuż przed sobą jego znaną w każdym szczególe twarz.

- Chyba potrzebuję lekarza - powiedziała cicho.

- Ja jestem lekarzem, kochanie.

- Zawieź mnie do psychiatry.

Borys patrzył na nią bez słowa.

- Myślisz, że to konieczne? - spytał po długiej chwili. - Przecież tak dzielnie sobie radziłaś. Może to obce miejsce" źle na ciebie podziałało?

- Wszędzie jest obco... - powiedziała cicho. - Nie mogę się z tym pogodzić, że moja córka umarła, ona, nie ja...

- Chcę, żebyś żyła, Julio - powiedział Borys, ujmując jej dłonie. - Chcę, żebyś żyła dla mnie. Po-bierzmy się.

Sekretarka położyła na biurku poranną prasę i Andrew stwierdził, że niemal we wszystkich gazetach, ukraińskich i anglojęzycznych, na pierwszych stronach zamieszczone jest duże zdjęcie Jeffreya Connery'ego.

Amerykanin poczuł się na tyle dobrze, że postanowił przenieść się do hotelu. Chciał zapłacić matce Andrew za opiekę. Na szczęście nie potrafili się dogadać, więc Andrew jej tego nie przetłumaczył, jemu zaś powiedział, że matka nie prowadzi pensjonatu. Tamten przyjął to do wiadomości, pożegnali się chłodnym uściskiem dłoni.

Przyjechał po niego samochód z konsulatu, kierowca przyszedł po rzeczy, które mieściły się w jednej torbie. Andrew patrzył przez okno, jak Jeffrey, lekko utykając, idzie w stronę samochodu, podpierając się Itaką.

Rozumiał, że oto nieodwołalnie zamyka się jakiś rozdział. On i jego córeczka Oksana zaczynali życie we dwoje.

Jego obawy, że mąż Elizabeth będzie rościł sobie jakieś prawa do dziecka, nie potwierdziły się. Natomiast zdecydowanie chciał doprowadzić do wywiezienia Elizabeth z Ukrainy. Z Andrew o tym nie roz-

mawiał, uważając pewnie, iż nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia, i z formalnego punktu widzenia miał rację. Nikt nie pytał, co Andrew czuje. Na szczęście matka Elizabeth, jako dysponentka grobu córki, mogła przeszkodzić tym obłądnym planom byłego zięcia. W chwili pogrzebu córki była jedyną osobą uprawnioną do podjęcia decyzji o miejscu jej spoczynku.

Wziął do ręki „Timesa”, który na okładce pod zdjęciem Connery'ego umieścił podpis: „Cudowne ocalenie więźnia reżimu Kuczmy”. Wywiad z nim był wewnątrz numeru.

Pańskie zeznania doprowadziły do wykrycia morderców pańskiego przyjaciela, Georgija Gongadzego. Czy odczuwa pan z tego powodu satysfakcję?

— Satysfakcja to nie jest dobre słowo, czuję gorycz na myśl, że świat przez cztery lata pozostawał obojętny na to, co się wydarzyło. Świat wiedział, że opozycyjny dziennikarz został okrutnie zamordowany i że to morderstwo zlecił urzędujący prezydent Ukrainy. To był poza tym wasz kolega, powinniście zrobić dla niego więcej, a przynajmniej nie dopuścić, aby jego sprawa została zapomniana.

— Na świecie dzieje się wiele złta, może sprawa pana Gongadzego utonęła w morzu podobnych informacji?

— Chciała pani powiedzieć, że to było tylko jedno ludzkie życie?

- *Nie, tego na pewno nie chciałam powiedzieć, ale to przede wszystkim sami Ukraińcy powinni dążyć do wykrycia i ukarania sprawców.*

- To raczej naiwne, co pani mówi. Jakich Ukraińców ma pani na myśli, przechodniów na ulicy? Czy ludzi z aparatu władzy, którzy byli zainteresowani przede wszystkim tym, aby zbrodnia została zatuzowana i ukryta? Ja jestem tego najlepszym przykładem. Z jakichś powodów nie podzieliłem losu mojego przyjaciela, ale z obawy, że będę mówił, przetrzymywano mnie w zamknięciu przez cztery lata.

- *To musiało być dla pana straszne.*

- Straszne było to, że przez cały ten czas przebywałem, nie wiedząc o tym, w kręgu umarłych. Zamordowano dwoje moich przyjaciół, Georgija Gongadzego i Oksanę Krywenko, a moja żona Elizabeth straciła życie, bo nie wierzyła w moją śmierć.

- *Ale teraz będzie już lepiej, prawda?*

- Zależy, co pani ma na myśli.

- *Ukraina się oczyszcza, sprawa pańskiego przyjaciela mogła zostać doprowadzona do końca.*

- Ja bym z tym jeszcze poczekał, aż osądzą zleceniodawcę. Oby się nie okazało, że do więzienia pójda same płotki.

- *A jakie są pana plany?*

- Chcę zabrać moją żonę, Elizabeth Connery, do domu.

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Mój przeciwnik nie był dziś zbyt rozmowny, nachmurzona twarz, zmarszczone brwi. Zupełnie nie wiem, po co dał gońca na b 5, za chwilę cofnąłem go na c 4, co było kolejną stratą tempa... I już do końca gra szła kulawo, zaczęłem się nawet obawiać, że wola walki w moim przeciwniku osłabia, zupełnie jakby chciał mi oddać pole i zakończyć naszą grę. Co by to mogło dla mnie oznaczać?

Że mój los się pogorszy? Ale czy może być jeszcze gorzej, niż jest teraz?

Naprawdę nie mam już nic do stracenia, zaczynam poważnie brać pod uwagę możliwość ucieczki. Wydostanie się z tego budynku nie stanowiłoby większego problemu. Okno jest co prawda zabite deskami, ale z tym mogę sobie poradzić. No i muszę brać pod uwagę fakt, że to pierwsze piętro, mam tu jednak koce, mogę je powiązać. Tylko co dalej? Z pijanych opowieści Aborygena zdążyłem się zorientować, że jestem przetrzymywany w okolicach elektrowni, w której dziewiętnaście lat temu doszło do wybuchu. Podobno żyją tu jacyś ludzie, których władzom nie udało się przesiedlić. Dostali zastępcze mieszkania, bez porównania bardziej komfortowe, jeżeli w ogóle można mówić o jakimkolwiek komforcie, a jednak wracali tu, gdzie się urodzili i gdzie upłynęła im większość życia. Więc może oni mogliby mi pomóc? Muszę w spokoju rozważyć wszystkie za i przeciw. Powinienem też wypytać bardziej szczegółowo swojego dozorcę o położenie miejsca, w którym mnie trzymają. Aborygen parę razy użył określenia „miasto”., Było miasto, nie ma miasta"

-powtarzał. Więc jeżeli mówi prawdę, może to być tylko Prypec. To stąd wysiedlono po wybuchu wszystkich mieszkańców. Jeszcze w Ameryce oglądałem kilka reportaży z tego miejsca i zrobiły na mnie przygnębiające wrażenie. Miasto, z którego uszło życie. Na tle nieba kontury mrówkowców z pustymi ramami okien. Kamera zajrzała do środka, ukazując martwe wnętrza, pootwierane szafy, jakiś porzucony but na podłodze, garnek na kuchence, której o dziwo nie wyszabrowano... Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że w tym właśnie mieście-widmie będę więziony, wziąłbym go za szaleńca...

Andrew zostawił w hotelu wiadomość dla Connery'ego, który odezwał się następnego dnia.

- Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, ale jestem trochę zajęty - powiedział oficjalnym tonem.

Niestety wiedział, co tamtego tak zajmuje, i sprawiało mu to wielką przykrość. Zaczynało to trochę wyglądać jak walka o zwłoki. Elizabeth sobie na to nie zasłużyła.

Chciał się z nim umówić w restauracji, ale Amerykanin odparł, że nie jest w nastroju do biesiadowania, i poprosił, aby Andrew przyjechał do hotelu.

Przywitał go dość sztywno, spytał, czego się napije, po czym nalał jemu i sobie po szklaneczce whisky. Usiedli w fotelach, ustawionych w znacznej odległości od siebie, co raczej nie sprzyjało rozmowie.

Dystans, jaki Connery narzucał swoim zachowaniem, mógł wynikać także z tego, że Andrew był świadkiem jego odnalezienia. Nawet taki twardy gość

jak Informator wydawał się wstrząśnięty widokiem skulonego w kącie człowieka, przykutego łańcuchem do ściany. Dmytruk w czasie podróży do „strefy” przestał budzić w nim odrazę, Andrew zaczynał dostrzegać w nim człowieka. Może dlatego, że okazywał ludzkie uczucia. Ich wspólna podróż dobiegła końca, gdy przywieźli Connery'ego do Lwowa. Pożegnali się męskim uściskiem dłoni.

- Co pana do mnie sprowadza? - spytał Amerykanin, gdy milczenie się przedłużyło.

- Przeczytałem wywiad w „Timesie” i... dowiedziałem się o pańskich planach wobec Elizabeth.

- To świetnie, teraz pan już wie, co zamierzam.

- Wiem, ale budzi to mój niepokój.

- A dlaczegoż to? - spytał tamten lekko podniesionym tonem.

- Dlatego, że... działa pan pod wpływem emocji. A wtedy można kogoś skrzywdzić.

- Proszę konkretnie, kogo ma pan na myśli?

Andrew zawahał się, nie chciał doprowadzić do konfliktu między nimi. Może nie powinien był tak zacząć tej rozmowy. Może to był błąd. Ale stara prawda głosi, że nikt nie jest dobrym adwokatem w swojej sprawie.

- Proszę o nazwiska osób, które mógłbym skrzywdzić - naciskał Connery. - Może siebie ma pan na myśli? A nie przyszło panu do głowy, że to pan mógł kogoś skrzywdzić?

Andrew odstawił szklanekę na stolik.

- Jeżeli tak nawet było, to nie zrobiłem tego świadomie - powiedział wolno.

Jeffrey rzucił na niego szybkie spojrzenie, chyba nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Wiedział pan, że Elizabeth Connery jest moją żoną, a mimo to... mimo to chciał mi ją pan odebrać - powiedział twardo.

- To uczucie zaskoczyło nas oboje. Przysięgam.

- Niech pan nie przysięga, nie jest pan przed konfesjonalem! - odrzekł na to Connery. - Mówmy o faktach, a fakty są takie, że bez mojej wiedzy odebraliście mi z panią Veysey żonę. Byłem ubezwłasnowolniony, nic nie mogłem zrobić, kiedy ją tutaj pochowaliście. A ona zginęła, wychodząc mi na spotkanie. Spodziewała się, że ukrywam się w tej wiosce. Czy mówię prawdę?

- Ale to nie jest cała prawda.

- Nie? A jaka jest ta cała prawda? No proszę, niech się wreszcie dowiem.

Zaczął Amerykanin nie wróżył nic dobrego, może należało skończyć tę rozmowę, poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności. Ale nie bardzo był na to czas.

- Elizabeth mnie kochała - zaczął, spuszczać wzrok, Connery miał tak nieprzyjazny wyraz twarzy, te słowa więzły rnu w gardle. - Urodziło nam się dziecko, planowaliśmy wspólną przyszłość. Dręczyło ją tylko jedno, co się dzieje z panem. Chciała pana odnaleźć, aby móc mu powiedzieć, że odchodzi...

Ciekawa teoria. Niech mi pan pokaże kobietę, która jest w stanie tyle poświęcić dla niekochanego mężczyzny.

Ona pana kochała, ale... to była trochę inna miłość, oparta na przyjaźni...

- Zaręczam panu, że nie stroniliśmy od seksu...
- Prowadzimy rozmowę niegodną pamięci Elizabeth - stwierdził z goryczą.
- Owszem, tym razem się z panem zgadzam. Uczciwość nakazywałaby, aby się pan wycofał i przyznał mi prawo do decydowania, gdzie ma być pochowana moja żona.

Andrew przełknął ślinę, ze zdenerwowania zaschło mu w gardle.

- Elizabeth znalazła swoje miejsce spoczynku z woli matki, ja w tej sprawie nie decydowałem. Choć pragnąłem, aby tutaj pozostała, decyzję pozostawiłem pani Veysey.

Connery zmienił się na twarzy, rysy mu się wyostrzyły, w oczach pojawił się niedobry błysk.

- Nie miał pan wiele do gadania. Chciałem jeszcze tylko zauważyć, że dziecko pańskie jest formalnie moim dzieckiem i gdybym się przy tym upierał, też by pan wiele nie zdziałał.

- Chce mnie pan szantażować?

- Jeżeli będę musiał. Wiem, że ma pan wpływ na tę kobietę, która rzuca mi kłody pod nogi. Niech jej pan powie, że jeżeli chcecie zatrzymać dziecko, zgódźcie się na moje warunki.

Mimo że to, co mówił Amerykanin, było krzywdzące i chwilami podłe, Andrew nie żywił do niego żadnych negatywnych uczuć. Wiedział, że ma przed sobą nieszczęśliwego, zagubionego człowieka, tylko że właśnie w tej jednej jedynej sprawie nie mógł mu pomóc. Myśl, że Elizabeth mogłoby tu nie być, bardzo go raniła.

- Nie możemy stawiać sobie takich warunków - powiedział.

- To ja stawiam warunki, a pan je może przyjąć albo nie.

- Odmawiam takich negocjacji i powtórzę raz jeszcze, że to, co pan mówi, jest niegodne pamięci Elizabeth.

Connery roześmiał się.

- Proszę, chce pan tu odgrywać dżentelmena, szkoda, że tak późno. Zabiorę ją stąd, bez względu na wszystko. Będę krzyczał na cały świat o tym, że ukradliście mi żonę!

Andrew wstał, tamten nie ruszył się z miejsca. Miał ironiczny wyraz twarzy.

- To może się obrócić przeciwko panu - powiedział. - Jeżeli włączy pan w to prasę, wyciągną wszystko, pański związek z Oksaną, z którego ma pan dziecko, mój związek z Elizabeth... obrzucą nas błotem... Moja córka jest jeszcze mała, ale pański syn bardzo na tym ucierpi, on już wiele rozumie...

- Zostawcie mojego syna - w głosie Amerykanina było tyle nienawiści, że Andrew się przeraził.

Kilka dni Julia spędziła w łóżku. Borys tak je ustawił, aby miała z okna widok na góry.

- Widzisz ten szczyt za oknem? - spytał. - Mówią, że to śpiący góral. Przypatrz się tylko, zarys głowy, a tutaj tors...

- A co on trzyma w ustach?

- Krzyż, Julio.

- Krzyż? - zdziwiła się.

- Naród tutaj jest bardzo wierzący. Uważają, że ich papież Jan Paweł II też jest góralelem.

- A jest?

- No... pochodzi z tych okolic, ale uważać go za górala to chyba przesada.

- Wiesz, lubię tego człowieka - powiedziała. - Przedtem irytowało mnie trochę jego niedołęstwo, uważałam, że obnosi się ze swoim cierpieniem. Dopóki sama nie zaczęłam tak strasznie cierpieć...

Borys poprawił jej kołdrę, nie odstępował jej na krok, chyba rozumiał, że jego bliska obecność jest dla niej najlepszym lekarstwem. Czuła, jak ten niszczący ból, który do tej pory się w niej gromadził, znajduje wreszcie ujście.

- Jesteś osobą wierzącą? - spytał.

- Nie wiem.

- Ale niewierząca nie jesteś?

- Nie, nie jestem - uśmiechnęła się. - A ty?

- Ja tak. I chciałbym, abyśmy wzięli ślub kościelny.

- Co ty mówisz? - spytała zdumiona. - Jaki ślub?

- Nie pamiętasz, że poprosiłem cię o rękę?

- Nie pamiętam - odrzekła niepewnie, nie wiedząc, czy sobie z niej nie żartuje.

- No tak, bo to była ta skaleczona ręka...

- Borys, co ty wymyśliłeś? O co ci chodzi?

- O to, żebyśmy się już nie rozstawali, żebyśmy byli ze sobą w zdrowiu i chorobie, a także w starości... Czy taki mocno posunięty w latach kandydat na męża ci odpowiada?

- Nie wiem, czy mówisz poważnie...

- Najpoważniej w świecie - rzekł, klękając przy łóżku. •

- Proszę cię, wstań... i... nie zaskakuj mnie tak...
Boję się niespodzianek, nawet tych dobrych... Jestem
teraz jak pusty futerał na skrzypce...

Sekretarka zaanonsowała konsula Smitha i Andrew wyszedł zza biurka, aby go powitać.

Gość rozejrzał się po gabinecie.

- Te wnętrza starych lwowskich kamienic zachwycają, zwłaszcza kiedy są odrestaurowane z takim pietyzmem.

Andrew nie podjął tematu.

- Podejrzewam, że pańska dzisiejsza wizyta ma jakiś związek z panem Connerym - powiedział.

- Niestety tak - odrzekł konsul. - Pan Connery stara się o zgodę na ekshumację i wywiezienie zwłok swojej żony do Ameryki...

- To już wiem.

- Ale nie wie pan pewnie, że wystąpił także o wyrobienie paszportu jego... to znaczy pańskiej córce - poprawił się Smith.

- I co zamierzacie? - spytał szybko.

- No... — Smith zrobił nieokreślony ruch ręką - nie możemy odmówić, przedstawił wypis aktu urodzenia, w którym figuruje jako ojciec.

- Widzę, że nie traci czasu - stwierdził zgnębnym głosem Andrew. - Ale coś trzeba z tym zrobić! To jest człowiek po ciężkich przejściach, jeszcze niezbyt zrównoważony psychicznie, nie można mu powierzyć łak małego dziecka.

Smith miał zmartwiony wyraz twarzy.

- Sytuacja jest naprawdę trudna, nawet rozmawiałem o tym z ambasadorem. Pan Connery występuje

w mediach jako bohater i niech tylko powie jedno słowo, że my mu coś utrudniamy, zacznie się awantura. Nikt już nie będzie zainteresowany naszymi wyjaśnieniami...

- Więc wolicie poświęcić moje dziecko?

Jabłko Adama na szyi Smitha rozpoczęło swój taniec.

- Trzeba starać się załatwić to polubownie.

- Próbowałem, ale nic do niego nie trafia. To, że chce wywieźć z Ukrainy moją córkę, to porwanie w majestacie prawa.

Konsul poskrobał się w głowę.

- A gdyby zgodził się pan na jego warunki, to znaczy, gdyby zgodziła się na nie pani Veysey?

- Jego warunki? On chce zakłócić spokój mojej żony!

- Ale... ale to była jego żona - zauważył gość.

- Tylko na papierze i pan dobrze o tym wie!

- rzekł już bardzo podenerwowanym głosem Andrew.

- Panie mecenasie, ja pana rozumiem, ale mam związane ręce.

- Czyli pan Connery dostanie paszport mojej córki?

Smith potwierdził skinieniem głowy.

Po wyjściu konsula nie mógł sobie znaleźć miejsca, chodził tam i z powrotem po gabinecie, w końcu opuścił kancelarię i pojechał do domu matki. Chciał zobaczyć swoją córeczkę.

Spała w wózku wystawionym na taras, promienie bladego, zimowego słońca oświetlały jej buzię. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, uderzało go niezwykle podobieństwo do Elkabeth. Budziło tęsknotę za matką

dziewczynki, może dlatego tak rzadko teraz tutaj bywał. Dopiero groźba utraty dziecka uświadomiła mu, jak bardzo jest ono dla niego ważne. Nie mógł też sobie wyobrazić reakcji swojej matki na fakt, że odbierają jej wnuczkę. Przy jej słabym sercu mogłoby się to tragicznie skończyć.

„Elizabeth - pomyślał zgnębiony - co ja mam robić? Mam się zgodzić, aby odebrano mi ciebie po raz drugi?”

Borys przez sen obejmował ją ramieniem i było to raczej mało wygodne. Delikatnie uwolniła się i zeszła do kuchni. Czekając, aż się zagotuje woda, wyjrzała przez okno i tuż na wprost zobaczyła okazałą sylwetę śpiącego górala.

- Witaj, olbrzymie - powiedziała niemal wesoło.

-Z kim rozmawiasz, Julio? - usłyszała głos Borysa.

- Ze znajomym - odkrzyknęła.

Sprawiało jej przyjemność to, że krząta się po kuchni, przygotowując śniadanie dla nich obojga. Zanim poznała Borysa, śniadania jadała samotnie i nawet to lubiła, ale teraz nie potrafiła już sobie tego wyobrazić. To było chyba najpiękniejsze w miłości, ta wspólnota we wszystkim.

Kiedy Borys zszedł na dół, Julia nałożyła mu jajecznicę na talerzyk. Wyskrobywała patelnię, kiedy powiedział:

- To najsmaczniejsza jajecznica mojego życia, bo ty ją usmażyłaś.

- Dziękuję- uśmiechnęła się- ale obawiam się, że na niej moje umiejętności kulinarne się kończą.

- Nie szkodzi, mogę ją jeść codziennie.

Powiedział jej też, że zaprosił kogoś na wieczór. Julia zaniepokoiła się, nie pragnęła wizyt obcych ludzi, a nawet się ich obawiała.

- To stary przyjaciel, jest właścicielem wyciągu, tutaj obok, i mam nadzieję, że namówi cię, abyś przypięła narty.

- To mu się raczej nie uda, ostatnio miałam je na nogach równo trzydzieści lat temu.

Mimo zapewnień, że gość jest bardzo miłym i bezpośrednim człowiekiem, była zdenerwowana, kiedy odezwała się kołatka przy drzwiach. Borys wprowadził niewysokiego mężczyznę o surowej, ogorzałej od wiatru i słońca twarzy. Z uśmiechem podała mu rękę, a on z galanterią ją ucałował.

- Władek Gąsienica - przedstawił się.

Pan Władek przyniósł ze sobą tajemnicze danie, które składało się głównie z kapusty, ale były tam też kawałki baraniny, grzyby, owoce jałowca, wszystko podlane czerwonym winem.

- Powiedz mu, że to pyszne, naprawdę - zwróciła się do Borysa. - Nigdy czegoś takiego nie jadłam.

-A widzisz, ile masz przy mnie niespodzianek - roześmiał się.

- Przetłumacz, to nieelegancko, że rozmawiamy między sobą w języku, którego nasz gość nie rozumie.

Mimo że gość nie rozumiał, uśmiechał się bardzo przyjaźnie. A dla równowagi panowie rozmawiali potem dosyć długo po góralsku i tym razem jej nie pozostawało nic innego, jak tylko przyjaźnie się uśmiechać.

Kiedy około północy gość ich opuścił, spytała, o czym była mowa.

- O tobie - odrzekł Borys.
- Znowu stroisz sobie ze mnie żarty - odrzekła lekko obrażona.
- No dobrze, powiem wszystko, jak na spowiedzi, pod warunkiem że jutro pójdziesz ze mną na narty zaczął się z nią targować Borys.
- Koniecznie ci zależy, aby mnie skompromitować przed tym panem Władkiem?
- Możemy pójść na inny wyciąg, gdzie nas nikt nie zna. Pojeździsz tam trochę i potem przeniesiemy się do Władka.
- Ale to może być tylko ośła łączka, nie będziesz się wstydził tam ze mną jeździć?
- Julio, będę zachwycony.
- Więc dobrze - zgodziła się z ociąganiem.
- W takim razie powiem ci prawdę. Władek stwierdził, że nadajesz się na moją żonę. A górale się rzadko myślą.
- Julia pokiwała na to głową.
- Dlaczego tak ci zależy na tym ślubie? Przecież ważne jest to, co między nami. Po co nam papier? - powiedziała poważnie.
- Jaki papier, Julio? Chcę, żebyśmy stanęli przed Bogiem.
- Patrzyła na niego zdumiona.
- Jak to przed Bogiem?
- W cerkwi.

Andrew dowiedział się z gazet, że zostali aresztowani nie tylko bezpośredni zabójcy dziennikarza, ale także winni uprowadzenia i bezprawnego przetrzymy-

wania współpracownika Gongadzego, amerykańskiego obywatela Jeffreya Connery'ego.

„Ciekawe, czy miłośnik szachów też trafił za kratki” - pomyślał.

Dalsza lektura dzienników niestety nie nastroiła go najlepiej. Juszczenko, mimo zapewnień, że wyjaśnienie do końca tej zbrodni jest dla niego sprawą honoru, nie zdymisjonował prokuratora generalnego, a powinien to zrobić natychmiast. Bo nie kto inny, ale prokurator właśnie umorzył pierwsze śledztwo, kwestionując prawdziwość taśm ochroniarza Kuczmy. A poza tym ujawnić prasie, że jutro ma zostać przesłuchany były szef MSW, koronny świadek w sprawie Gongadzego, to jakby wystawić go na odstrzał. Najpierw trzeba go było aresztować, a potem dopiero rozgłaszać ten fakt. Andrew miał nadzieję, że generał Krawczenko dożyje rana. Swoją drogą, cóż on takiego powie? Chyba nie oskarży wprost Kuczmy. Gazeta „Siegodnia” napisała, że generał jest główną figurą w sprawie Gongadzego. „Przyczynił się do jego śmierci, bo źle zinterpretował polecenie Kuczmy, który kazał «zneutralizować krytykującego go dziennikarza», a generał odebrał to jako zlecenie zabójstwa”. A więc Krawczenko może zostać kozłem ofiarnym. Jeśli tak będzie, to znaczy, że były prezydent i ten obecny zawarli ze sobą jakiś tajny układ o nietykalności tego pierwszego. No cóż, widać punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Chciałby się mylić, ale przyznał też sam przed sobą że polityka to brudna sprawa i bardzo dobrze, że nie uległ perswazjom uroczej przyjaciółki, a obecnej pani premier.

Wieczorem wybierał się do konsulatu generalnego, gdzie wydawano przyjęcie na cześć odnalezionego obywatela Stanów Zjednoczonych, Jeffreya Connerry'ego. Początkowo przyjęcie miało się odbyć w ambasadzie w Kijowie, ale bohater uroczystości odmówił podróży do Kijowa ze względu na stan zdrowia. A więc ambasador pofatyguje się do Lwowa.

Andrew najchętniej nie brałby udziału w uroczystości, ale nie byłoby to rozsądne, skoro od urzędników ambasady mogły zależeć losy jego rodziny. Julia Tymoszenko też zapowiedziała swoją obecność, chociaż było to raczej problematyczne, bo jeszcze w południe przyjmowała w Kijowie polską delegację z premierem na czele.

Przez cały wieczór unikali się z Connerym, ale Andrew trzymał się w takiej odległości, aby móc słyszeć, co tamten mówi. Obawiał się, że w którymś momencie wróci do sprawy przetransportowania Elizabeth do Ameryki, to stało się lejtmotywem wszystkich jego wystąpień.,, Chcę stąd zabrać swoją żonę", „napotykam niezrozumiałe trudności w zabranii mojej żony do domu" i tak dalej.

Pod koniec przyjęcia usłyszał szmer na sali i zapowiedziano panią premier. Jak zwykle otaczała ją wianuszek mężczyzn, wszyscy wysocy, przystojni, ale najokazalej prezentował się nowy szef MSW, Ołeksandr Ignatiuk, którego Julia przedstawiła Andrew.

- Pułkownik - powiedziała Tymoszenko - ale już wkrótce generał.

Doszło do dziwnej sceny, kiedy ona i jej minister podeszli do Coimery'ego. Mężczyźni popatrzyli na siebie w taki sposób, jakby się dobrze znali. Ktoś, kto ich

nie obserwował, pewnie nic by nie zauważył, ale fakt ten nie uniknął jego uwagi. W pewnej chwili Tymoszenko odeszła parę kroków, a ci dwaj zbliżyli się do siebie. Rozmawiali po angielsku, nie wszystko udało mu się wyłowić z gwaru głosów, jednak zasłyszana krótka wymiana zdań wiele wyjaśniała. - Szach królowej? - spytał pułkownik.

Andrew wiedział, że taki ruch w szachach nie istnieje i że chodzi tu o panią premier. W napięciu czekał na odpowiedź Amerykanina. - Jeszcze nie wiem - odrzekł tamten.

Następnego dnia zatelefonował do Julii z pytaniem, co może powiedzieć o swoim ministrze spraw wewnętrznych.

- To bardzo zdolny człowiek, przez jakiś czas był attache wojskowym w Waszyngtonie, ale nie przystąpił do mafii, więc został odsunięty, gdzieś wegetował w niższych strukturach...

Zdażył odłożyć słuchawkę, kiedy do gabinetu weszła sekretarka, była wyraźnie poruszona.

- Co takiego, Inna? - spytał.

- Mówią w radiu, że generał Krawczenko nie będzie zeznawał, znaleziono go na dacy z kulą w głowie. Podobno to samobójstwo...

Julia była naprawdę zdumiona, wystarczyło, że przypięła narty, zjechała kilka razy i poczuła się tak, jakby się z nimi nie rozstawała.

- Mówiłem ci, że tego się nie zapomina - powiedział wyraźnie uszczęśliwiony Borys.

Następnego dnia wjechali kolejką na szczyt, który nosił nazwę Kasprowy Wierch. Ogarnął ją lekki niepokój, gdy zobaczyła bardzo stromy zjazd, ale postanowiła zaryzykować. Udało się, tylko ten jeden, górny odcinek był taki trudny, niżej zaczęła odczuwać prawdziwą przyjemność z jazdy. Oczywiście nie mogła się porównywać z Borysem, który wykonywał na stoku niemal taneczne figury. Ją satysfakcjonowało to, że potrafi się utrzymać na nartach. Po kilku zjazdach zaczęła już dostrzegać, co się dzieje dookoła, podziwiała piękne widoki. Kolumnowe, dźwigające na sobie czapy śniegu świerki, zaciszne polanki, wyłaniające się nieoczekiwanie zza zakrętu granitowe skały o dziwnych kształtach.

-Wiesz, miałaś rację, te Tatry - dobrze wymawiam? - są naprawdę wyjątkowe - powiedziała, kiedy stali w długim ogonku do górskiej kolejki, która wyglądała jak wyjęta z muzeum. Borys wyjaśnił jej, że na początku zeszłego wieku należała do najnowocześniejszych w Europie.

- Proszę, jest więc starsza ode mnie - spróbowała zażartować.

Nastrój wszechogarniającego smutku nawiedzał ją w najmniej oczekiwanych momentach, wtedy nagle milkła, twarz jej gasła, ale obok był Borys. Przytulał ją i to pomagało.

„ Co by się ze mną stało, gdybym go nie spotkała” myślała i nie mogła sobie tego wyobrazić.

Śmierć córki zdruzgotała jej życie i musiała je teraz odtwarzać po kawałku. Nie wszystko do siebie pasowało. Jak w rozsypanej układance zabrakło kilku elementów, a przecież, żeby normalnie funkcjonować,

musiała czymś wypełnić te dziury. Była przekonana, że sama by sobie nie poradziła. Więc może Elizabeth jej wybaczy, że pokochała kogoś i zdarzało jej się być nawet szczęśliwą.

- Elizabeth ci wybaczy, już ci wybaczyła - odezwał się nieoczekiwanie Borys.

Spojrzała na niego.

- Skąd wiesz, o czym myślałam?

- Kochana Julio, twoja twarz jest jak otwarta księga.

Na kolację poszli do góralskiej gospody, gwar głosów mieszał się z muzyką, w rogu rozsiadła się miejscowa kapela. Muzycy mieli na sobie pięknie wyszywane stroje.

Zamówili grzane wino, bo Elizabeth trochę zmarzła.

- Wciąż mi nie odpowiedziałś, czy przyjmujesz moje oświadczyzny - zaczął Borys.

- Bo nie wiem, co odpowiedzieć.

- Co ci serce dyktuje, najdroższa.

- Wiem, co mi serce dyktuje - odrzekła - ale rozum dyktuje mi co innego. Przecież w moim wieku jako panna młoda wyglądałabym śmiesznie.

- W jakim wieku? - obruszył się Borys. - Masz fantastyczne ciało, niejedna dziewczyna mogłaby ci pozazdrościć.

- Wiem, Borysie, że mnie kochasz, ale to nie powód, abys plótł głupstwa.

- A czy nie daję ci dowodów, że tak właśnie jest?

- Jesteś tego pewien? - spytała, patrząc mu w oczy.

Borys się naprawdę zmieszał, a Julia się roześmiała.

- To jednak stara prawda, że mężczyźni są jak dzieci.

Wrócili do domu w dobrych nastrojach. Julia była trochę zmęczona, więc Borys zdjął jej buty, roztarł nogi, a potem przyniósł herbatę z miodem.

- Miałabym ochotę zostać tu jeszcze parę dni - powiedziała.

- Nie ma z tym żadnego problemu - odrzekł.

- A co z twoją mamą? Czy nie będzie za długo sama?

- Jakoś wytrzyma, sąsiadka, która się nią opiekuje, to miła osoba. I mama ją lubi.

- No to zostajemy?

W tym momencie zadzwoniła komórka. Andrew zdenerwowanym głosem oznajmił, że jej zięć chce wywieźć z Ukrainy małą Oksanę.

Andrew wrócił właśnie z sądu, gdzie udało mu się wygrać toczący się latami proces spadkowy. Jego klientka dziękowała mu ze łzami w oczach. Trochę ostudził jej radość, bo było niemal pewne, że druga strona znów się odwoła.

Poprosił Inne o mocną kawę i zaczął przeglądać gazety. Wkrótce sekretarka zawiadomiła go telefonicznie, że przyszedł jakiś pan. W pierwszej chwili pomyślał o Informatorze, który zazwyczaj zjawiał się bez uprzedzenia, wymieniła jednak nazwisko Connera'ego. Skoro pofatygował się tutaj, mogło to oznaczać przynajmniej szansę rozmowy w spokojniejszym tonie.

- Po mojej interwencji wszczęto wreszcie śledztwo w sprawie śmierci Oksany Krywenko - powie-

dział Amerykanin zaraz na wstępie. - Oczywiście wiadomo, jaki będzie wynik, ale jestem jej to winien. Wyjeżdżając stąd, chcę zakończyć pewne sprawy.

- Kiedy pan wyjeżdża? - spytał ostrożnie Andrew.

-W przyszłym tygodniu, ale przyszedłem panu powiedzieć, że nie wyjeżdżam sam.

Chwilę patrzyli na siebie.

- Przez tę upartą babę nie udało mi się na razie doprowadzić do końca sprawy przetransportowania do Ameryki mojej żony, ale nie rezygnuję. To w tej chwili jest dla mnie najważniejsze.

- Więc kogo pan ze sobą zabiera? - spytał, siłąc się na spokój Andrew.

- Pańską córkę - odrzekł zimno.

Andrew uczył, jak krew gwałtownie napływa mu do głowy.

- I przyszedł mi pan o tym powiedzieć? - rzekł zmienionym głosem.

- Owszem, biorę pańską córkę jako zakładniczkę, dopóki pan i ta kobieta nie zwróćcie mi mojej żony...

- Elizabeth nie była rzeczą którą można zwracać albo zatrzymywać, była człowiekiem i tak ją trzeba traktować.

- Skoro była człowiekiem, dlaczego wy dwoje podjęliście za nią decyzję, aby została tutaj?

- Bo ona już nie mogła jej podjąć.

-Właśnie, więc nie wy będziecie decydowali, gdzie ma być miejsce spoczynku mojej żony, tylko ja, jej mąż. Gdybyśmy byli w Ameryce, nie mielibyście nic do gadania.

Andrew nerwowo pocierał czoło, zastanawiając się, jak ma z nim dalej rozmawiać. Rozumiał, że sprawa

wywiezienia Elizabeth stała się obsesją tego człowieka i wszelkie namowy i racjonalne argumenty nic by tu nie dały.

- Nie wiem, czy uda się panu wywieźć moją córkę, to jeszcze bardzo małe dziecko, narażanie jej na taką podróż mogłoby być dla niej niebezpieczne. W dodatku pan nie ma żadnych doświadczeń z małymi dziećmi.

- Sprowadzam pielęgniarkę z Nowego Jorku - odrzekł na to Connery.

Andrew wstał z fotela, obaj siedzieli przy małym stoliku, gdzie sekretarka podała im kawę, i przeniósł się za biurko.

-Wszystko pan przewidział, tylko co to panu daje?

- Już powiedziałem, traktuję dziecko jako kartę przetargową.

- A ja myślę - powiedział Andrew - że pan się mści na mojej córce za to, że w ogóle się urodziła. Na niej i na mnie, chce pan ukarać nas oboje.

Connery roześmiał się.

- Cóż za scenariusze pan wymyśla? Ja tylko panu coś zaproponowałem. Jak w szachach, trzeba czasem poświęcić jakąś figurę, żeby w końcu wygrać.

- Ale ostatecznie to nie pan wygrał swoją życiową partię, tylko pana przeciwnik.

Twarz Amerykanina stała się czujna. Nie bardzo wiedział, o czym Andrew mówi, a on wolno odsunął szufladę i wyjął zniszczony zeszyt. Rzucił go na biurko.

- Proszę, oto pańska własność.

Connery podniósł się z widocznym trudem, utykając, zbliżył do biurka i wziął do ręki brulion. Minę miał teraz niepewną.

- Pan to oczywiście czytał?

- Czytałem.

-I nie przeszkadzało panu, że nie jest to skierowane do niego?

-Chciałem się czegoś dowiedzieć o Elizabeth, byliśmy ze sobą tak krótko...

-I dowiedział się pan? - spytał tamten z ironią.

- Pan potrafi pisać tylko o sobie.

Tamten był już przy drzwiach, nagle się odwrócił:

- Mogłem go oczywiście wskazać palcem, ale byłoby to nietakt towarzyski.

Z okna samochodu Julia rozpoznawała już niektóre ulice w starej części Lwowa. Często tutaj spacerowała, nawet przy niezbyt sprzyjającej pogodzie. Zachwycały ją mury, które pamiętały czasy niemal prehistoryczne. Kamieniczki na rynku traktowała jak dobre znajome, z których każda przykuwała jej uwagę. Te wszystkie rzeźbienia, ozdobne gzymsy, balkony można było podziwiać w nieskończoność.

Cieszyła się, że jest tu z powrotem. Góry, mimo całego piękna, mają w sobie coś nostalgicznego, więc nie są dobrym miejscem dla ludzi pogrążonych w smutku.

Jej uwagę zwróciły rozwieszone w całym mieście plakaty. Przedstawały młodego mężczyznę o ujmującym uśmiechu. Spytała Borysa:

- Kto to jest, aktor? Piosenkarz?

- Nie, Julio, to Georgij Gongadze - odrzekł.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Ten zamordowany dziennikarz! Więc on tak wyglądał... tak młodo, tak niewinnie. Cóż za podły świat, cóż za podli ludzie...

Pomyślała, że już nie potrafi bronić się przed rozpaczą. Starła się oszukiwać ból, który czaił się gdzieś wewnątrz, i była wdzięczna losowi, kiedy udawało jej się przetrwać do wieczora, a potem zasnąć. A jak sobie radziła matka tego młodego człowieka? Jak można sobie poradzić ze świadomością, że syn był przed śmiercią torturowany, że odcięto mu głowę, a potem podpalono zwłoki?

- Julio, proszę cię, patrz przed siebie - poprosił Borys.

- Tam niczego nie ma - odrzekła cicho.

- Nawet mnie?

Nie odpowiedziała.

Andre w czekał na nich. Kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze w przedpokoju, zdziwiła się, że wygląda tak normalnie. Jak turystka w sportowej kurtce i spodniach.

Gospodarz podał im kawę w bibliotece.

- Jak było z tym Krawczenką? Czy to na pewno samobójstwo? - spytał Borys.

- Nie sądzę, znaleziono dwie kule w jego głowie. To był koronny świadek w sprawie Gongadzego, tylko on mógł oskarżyć Kucznię. Teraz pan prezydent może spokojnie wracać na Ukrainę, niczego mu się nie udowodni...

- Podobno generał zostawił list, że popełnia samobójstwo, aby ochronić swoją rodzinę? - wypytywał towarzysz Julii.

Andrew skinął głową.

- U nas tak załatwia swoje sprawy mafia - wtrąciła - twoje życie za ochronę rodziny... I to działa, mafia opiekuje się wdowami i sierotami, funduje im na przykład studia...

- A myślisz, że tutaj jest inaczej? - uśmiechnął się gorzko Andrew.

- Chcesz powiedzieć, że wszędzie jest tak samo.

Rozmawiali potem o jej zięciu, o jego szaleńczym planie wywiezienia z Ukrainy małej Oksany. Mimo że wcześniej Julia sama brała to pod uwagę, teraz była przekonana, że dziewczynka powinna zostać ze swoim ojcem.

- Andrew - zaczęła niepewnie - a może zgódźmy się na jego warunki...

- To są warunki szaleńca - odrzekł niespodziewanie twardo.

- Ale on ci wywiezie dziecko!

- Będę walczył.

Kiedy zostali sami z Borysem, powiedziała, że ma niedobre wrażenie, iż to, co się dzieje pomiędzy Andrew i jej zięciem, jest rodzajem rywalizacji, zupełnie jakby dwóch samców walczyło o kobietę, a raczej o prawo do wspomnień o niej.

- Obaj są zaślepieni, a pomiędzy nimi ta moja biedna, martwa córka...

- Może bym nawet potrafił ich zrozumieć - powiedział Borys.

- A ja nie rozumiem Andrew - wybuchnęła. - Jeffrey jest chory, ale on też zaczyna traktować swoje dziecko jak element gry. Jak może dopuścić taką myśl, że tamten wywiezie malutką do Nowego Jorku.

Borys pokręcił głową.

- Andrew uważa, że w Ameryce łatwiej mu będzie walczyć o córkę. W świetle naszego prawa, przy sprzeciwie twojego zięcia, nie ma żadnych szans...

Jeszcze tego samego dnia Borys wyjechał do Kulkoliwki, a Julia wybrała się do domu pani Sanickiej, aby zobaczyć się z wnuczką. Wyjęła ją z łóżeczka i przytulając swój policzek do jej policzka, spacerowała z nią po pokoju.

- Niech cię nazywają Oksaną - zaszepiała - dla mnie jesteś moją małą Elizabeth...

Pani Sanicka poczęstowała ją obiadem. Julia zauważyła, że bardzo zmizemiała przez ten czas, pod oczy zakradły jej się głębokie cienie.

- Musi pani bardziej dbać o siebie - powiedziała. Obie jesteście nam potrzebne naszej wnuczce.

- Mój syn niewiele mi mówi - poskarżyła się pani Sanicka - ale widzę po nim, że ma jakieś zmartwienie. Czy to chodzi o ekshumację?

- Między innymi - odrzekła wymijająco; skoro Andrew nie wtajemniczał matki w pomysły Jeffreya, ona też nie powinna tego robić.

Miała zresztą nadzieję, że uda jej się jakoś porozumieć z zięciem, uświadomić mu, jaką krzywdę chce wyrządzić tym ludziom, odbierając im dziecko.

Dzień był słoneczny, więc na spotkanie z Jeffreyem Julia udała się piechotą. Już z daleka zauważyła jakieś zgromadzenie na ulicy. Okazało się, że zorganizowano pikietę pod rosyjskim konsulem. Demon-

stranci, w większości ludzie młodzi, trzymali plansze z napisami w języku ukraińskim i angielskim. „Mordercy Maschadowa, ręce precz od Czeczenii” - przeczytała.

- Kim był ten człowiek? - zagadnęła młodego mężczyznę w rozpiętym kożuszku i grubym wełnianym golfie.

Nie wiadomo dlaczego zakładała, że zna angielski.

- Był nadzieją eksterminowanego narodu - odpowiedział. - Słyszała pani o Czeczenii?

Julia pokiwała ze zrozumieniem głową, chciała ruszyć dalej, kiedy chłopak spytał z uśmiechem:

- Nie dołączy pani do nas?

- Za mało wiem - odrzekła.

- Mogę pani opowiedzieć o tym malutkim kraju, któremu świat odmawia prawa do wolności.

- Moja córka tam była, dotarła nawet do powstańców w wysokich górach...

- Więc może i ona do nas dołączy? - ucieszył się młody człowiek.

Julia od razu poczuła do niego sympatię, miał tak jasną otwartą twarz. Mówił dobrze po angielsk i wyglądał na studenta.

- Ona niestety nie, ale ja... być może. Gdyby d mi pan swoją wizytówkę, skontaktuję się z panem.

Chłopak roześmiał się.

- Wizytówki nie mam. Nazywam się Mikołaj Kozłowski.

- Julia Veysey. Jest pan stąd?

- Niezupełnie, ale tutaj są moje korzenie. Dziadkowie mieszkali w tym mieście, byli Polakami.

„Jak to się wszystko miesza - pomyślała - właśnie wróciłam z Polski... ”

Na spotkanie z Jeffreyem przyszła spóźniona, umówili się w kawiarni nieopodal opery. O tej porze było tu pusto. Idąc pomiędzy stolikami w jego stronę, doznała uczucia, iż jest to ktoś obcy. A przecież znali się od tylu lat, kiedy Elizabeth przyprowadziła go do domu, był młodym chłopcem, oboje chodzili jeszcze do college'u. Zrobiło jej się nagle bardzo smutno.

Na jej powitanie Jeff wstał z trudem, widać z jego zdrowiem ciągle nie było najlepiej.

— Jak twoja noga? - spytała, zajmując miejsce.

— Podobnie jak moja głowa - odrzekł oficjalnym tonem. - Jeżeli ta odpowiedź może panią zadowolić.

— Jeff, daj spokój - odrzekła ugodowo. - Znamy się tyle lat, byliśmy rodziną.

— Ale już nią nie jesteśmy - wycedził, patrząc na nią zimno. - Znalazła się pani w obozie przeciwnika i muszę traktować to jako zdradę.

Nie wiedziała, jak ma z nim rozmawiać. Jeffrey został bardzo zraniony, ale to, co mówił i jak myślał, było takie niesprawiedliwe. Jej zięć zamknął się w sobie, otoczył murem i w żaden sposób nie można było do niego trafić.

— Jeff... Elizabeth i pan Sanicki bardzo się kochali, urodziła mu dziecko. Nie rozdzielaj ich.

— Nic z tego - odrzekł twardo. - Ten człowiek to złodziej cudzych żon.

Julia kręciła przecząco głową.

— Myśleliśmy, że nie żyjesz.

— Ona tak nie myślała. Szukała mnie.

- I zginęła! - odrzekła ostro. - Tylko dlatego, że zachciało ci się zbawiać świat, pchać się tam, gdzie cię nie proszono, nie ma jej teraz z nami. Najpierw ciągałeś ją po tropikach, wróciła stamtąd z biegunką i wysoką gorączką. Pamiętasz? Baliśmy się, że to ameba. Tutaj też podążyła za tobą. Więc zostaw ją w spokoju, daj jej żyć. Daj jej umrzeć - poprawiła się.

Miała wrażenie, że zięć nie słucha tego, co do niego mówi, i przebywa w jakimś swoim świecie, w którym na współczucie i zrozumienie racji drugiego człowieka nie ma miejsca.

-Naprawdę zamierzasz wywieźć malutką do Ameryki?

- Zamierzam.

Łzy zakreśliły jej się w oczach.

-To byłoby podłe - powiedziała zgnębionym głosem.

Jeffrey milczał.

- Co się z tobą stało? Byłeś człowiekiem pełnym dobrych uczuć...

Spojrzał na nią ze złością.

- Oduczyliście mnie tego.

- Ja? Ja ciebie oduczyłam?

- Między innymi.

Julia sięgnęła po filiżankę i wypiła łyk zimnej już kawy, z emocji zaschło jej w gardle.

- Ja tylko staram się być sprawiedliwa.

Zięć roześmiał się na to.

- To żart?

- Nie, Jeff, nie mam ochoty do żartów. Boję się o swoją wnuczkę, urodziła się za wcześnie, bo jej matka miała wypadek... Trzeba na nią chuchać i dmu-

chać... a ty, ty chcesz ją narazić na niebezpieczeństwo... Jak się będziesz czuł, jeżeli coś się z nią stanie w podróży?

- Jakoś sobie poradzę.

Julia oparła łokcie o stół i ukryła twarz w dłoniach. Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć, aby trafić do tego człowieka. Być może już nic.

Do stolika podszedł kelner i z troską w głosie spytał:

- Potrzebuje pani pomocy?

„O tak - pomyślała - potrzebuję jej, i to bardzo”.

Dziennik Jeffreya Connery'ego

Któregoś dnia Aborygen oznajmił mi, że wraz ze swoim kumplem wybiera się na ryby, a ja mam im towarzyszyć.,, Zeby mi coś nie przyszło do głowy”.

- A jeżeli zjawi się mój gość? - spytałem.

Roześmiał się na to.

- Twój gość już tylko myśli o swoim tyłku - odrzekł.

Z jego odpowiedzi nie mogłem wywnioskować, co miałoby to oznaczać. Że Oficer popadł w niełaskę? A może odwrotnie, awansował? I zastąpi go jakiś inny amator szachów? Oby nie była to zmiana na gorsze.

Najpierw jechaliśmy rozklekotanym autem, potem, łodzią przeprawiliśmy się na drugi brzeg jakiegoś jeziora.

Kumpel Aborygena był łudzaco do niego podobny, ta sama poorana bruzdami Warz i spojrzenie przekrwionych ślepi spode łba. Nawet ubiór miał identyczny: wyszmelcowane kufajka, podarte portki i gumowe

buty. No, może jednak się trochę różnili, towarzysz Aborygena nie potrafił wyartykułować chociażby jednego zrozumiałego zdania, bełkotał. Ale, o dziwo, Aborygen zdawał się go rozumieć.

Usiłowałem go podpytać, gdzie jesteście i jak się nazywa to jezioro, odparł, że ciekawość to pierwszy stopień dopiekania.

Ja już w nim jestem, pomyślałem.

Kazali mi pozostać w szałasie, a sami wypłynęli na połów, zdaje się, że zastawili tu sieci. To się potem potwierdziło. Sporo było tych ryb.

Rozpalili ognisko i piekli je na odpowiednio zaostrzonych kijach. Mnie też poczęstowali. Ryba upieczona nad ogniem miała delikatny smak, rozpływała się w ustach, co po serwowanej mi dzień po dniu strawie było uczną iście królewską. Ci dwaj raczyli się samogonem z karykaturalnie wielkiej butelki, mnie też namawiali, ale odmówiłem.

- Co to za chłop, co nie pije - powiedział na to z pogardą Aborygen, ale dal mi spokój.

Wkrótce obaj się spili, na czworaka doleżli do szałasów i niemal natychmiast zaczęli chrapać na dwa głosy. Nie było mowy, abym zasnął przy takiej orkiestrze. Wsłuchiwałem się w inną, dochodzącą od strony jeziora. Żaby dawały swój koncert. Pomyślałem, że to je dyne, „ludzkie” dźwięki, jakie docierają do mnie od wielu, wielu dni. Chyba łzy zakręciły mi się w oczach.

I nagle przyszło mi do głowy, że przecież mogli spróbować uciec. Tamci nie obudzą się już do rana, mam więc przed sobą wystarczająco dużo czasu, aby przeprowić się łodzią na drugą stronę. Jeżeli uda mi

się odnaleźć kluczyki, mogę skorzystać z pozostawionego na drugim brzegu samochodu.

Szczyście mi dopisało, bo kluczyki były w kieszeni porzuconej na ziemi kufajki Aborygena.

Z bijącym sercem, a chyba powinienem napisać, z łomotem serca, odpływałem od brzegu. Księżyc oświetlał powierzchnię jeziora, w której odbijała się moja łódź. I ta niezwykła cisza dookoła zmacona tylko odgłosem wiosel zanurzających się w wodzie. Nawet żaby umilkły.

Czy może mi się udać? - myślałem.

Byłem już daleko od brzegu i wydawało się to takie proste. Ale w życiu nic nie jest proste, powinienem już o tym wiedzieć. Przypomniał mi się film, który zrobił kiedyś na mnie duże wrażenie. Nie przepadam za kinem, uważam, że jest z natury prymitywne, ale kiedy w Nowym Jorku zorganizowano przegląd filmów „wypędzonego” reżysera Romana Polańskiego, Elizabeth iimnowiła mnie, abym jej towarzyszył.

Film nosił tytuł Nóż w wodzie i został bardzo dobrze przyjęty na Zachodzie, natomiast w kraju, w którym powstał, zabroniono jego rozpowszechniania, gdyż jakiś twardogłowy partyjny kacyk stwierdził, że jest przykładem kosmopolityzmu i deformuje rzeczywistość.

Dziennikarz, mężczyzna w pełni sił, wraz z piękną miotłą żoną jedzie nad jezioro, gdzie trzyma swój jacht. Po drodze zabiera młodego chłopaka, autostopowicza. Tych dwóch mężczyzn dzieli niemal wszystko, poczyna--- od wieku, a na statusie materialnym kończąc, a łączy chęć pokazania kobiecie swojej przewagi. Prosta

fabuła, a jednak przyciągająca uwagę do ostatniego kadru.

Czy moja historia nadawałaby się do sfilmowania? Jakie będzie jej zakończenie? Na razie miałem za zadanie bezpiecznie dopłynąć do brzegu. Jeśli wystarczy mi benzyny, aby wydostać się ze „strefy”, może potem dobrzy ludzie pomogą. Byłem tego właściwie pewien, trochę ich już poznałem w swoich peregrinacjach po tym kraju.

Łódka wpłynęła w trzciny, które z dużym oporem usuwały się na boki, a w końcu zupełnie ją zablokowały. Sprawdziłem wiosłem głębokość, niestety wiosło schowało się pod wodą. W tej sytuacji wyskakiwanie za burtę było raczej ryzykowne, zacząłem więc niemal bitwę z wodorostami, które z wolna ustępowały. W końcu nieudolnie zmęczony dopiąłem swego, dziób łodzi uderzył o brzeg. Moja wałka z oporną przyrodą musiała trwać dosyć długo, bo niebo pojaśniało na horyzoncie, a księżyc mocno przybladł. Czasu więc nie miałem już tak wiele, tym bardziej że spotkało mnie wielkie rozczarowanie. Mimo iż sądziłem, że przecinam jezioro w linii prostej, musiałem sporo zboczyć. Brzeg wyglądał zupełnie inaczej niż miejsce, w którym pozostawiliśmy samochód. Nie miałem zielonego pojęcia, w którą mam się udać stronę, w lewo czy w prawo. Przyszło mi nawet do głowy, aby wsiąść do łodzi i popłynąć z powrotem, zanim tamci się obudzą. Ale zaraz z tego zrezygnowałem, nawet gdybym miał przypłacić życiem swoją ucieczkę, nie wróćę do roli więźnia, która z tej perspektywy wydawała się czymś absurdalnym i nieprawdziwym.

)

Po namyśle postanowiłem nie okrążyć jeziora, bo mógłbym się kompletnie zgubić, gdybym pomylił kierunek. Ruszyłem przed siebie. Ten las musi się kiedyś skończyć... Po jakimś czasie dostrzegłem między drzewami sylwetkę leżącej sarny. Zdziwiło mnie, że na mój widok nie ucieka. Podszedłem bliżej i wtedy zauważyłem, że jest uwięziona w bagnie. Jej wysiłki, aby się wydostać, tylko pogarszały sytuację. Nie bardzo wiedziałem, jak mogę jej pomóc, postanowiłem więc się wycofać, ale i dla mnie okazało się to już niemożliwe. Nagle zapadłem się po kolana w grząskiej mazi, którą skrywało leśne poszycie podobne pod mchu.

Tak oto z jednego uwięzienia popadałem w drugie, które mogło się okazać śmiertelną pułapką. Widząc beznadziejną walkę zwierzęcia - szarpiąc się rozpaczliwie, przyspieszało tylko swoją zgubę - postanowiłem trwać w bezruchu. Byłem świadkiem umierania sarny, dość szybko bagno zamknęło się nad jej głową. Wchłonęło ją, jakby nigdy nie istniała.

Nie wiem, ile czasu trwało, zanim Aborygen i ten drugi mnie odnaleźli. Byłem już zanurzony po pachy. Oni dobrze wiedzieli, jak trzeba postępować w takiej sytuacji. Naznosili gałęzi, a potem Aborygen się na nich położył, podczołgał do mnie i silnie uchwyciwszy za ręce, wycofywał się powoli. Zdaje się, że jego kompan przytrzymał go za nogi.

Po tej eskapadzie nie wróciłem już do hotelu. Bez zbędnych wyjaśnień mój dozorca umieścił mnie z powrotem w lochu pod ziemią, z zemsty, a może ze strachu, że znowu będę próbował uciec. Spędzam długie godziny przykuty łańcuchem do ściany.

Gdyby nie migawka w dzienniku telewizyjnym, Julia nie zadzwoniłaby do młodego człowieka poznanego przed rosyjskim konsulatem. Ale to, co zobaczyła na ekranie telewizora, wstrząsnęło nią do głębi. Dwóch wojskowych, jak się okazało, oficerów rosyjskiej armii, pastwiło się nad zwłokami półnagiego mężczyzny. Początkowo sądziła, że to jakiś islamski terrorysta, nie rozumiała bowiem komentarza po ukraińsku, Andrew jednak wyjaśnił jej, że chodzi o czeczeńskiego prezydenta, Maschadowa.

Nigdy się specjalnie nie interesowała polityką, ale od pewnego czasu polityka przemocą wdzierła się w jej życie.

- Dlaczego Rosjanie go zabili? Nie był dobrym prezydentem?

- Przeciwnie, był bardzo dobrym prezydentem i dlatego musiał zginąć - odpowiedział Andrew.

Naprawdę trudno to było pojąć. Ten młody Polak, z którym spotkała się w kawiarni, opowiadał jej o dramacie małego kraju i jego mieszkańców, którzy upierali się, że chcą być wolni.

Maschadow dla Rosjan był niebezpiecznym terrorystą, bo chcieli go tak traktować. A on za wszelką cenę szukał kompromisu, dążył do przerwania bezsensownej, wyniszczającej wojny.

- Wie pani, że Ruscy nie wydali zwłok prezydenta rodzinie? - rzekł chłopak. - Obawiali się pielgrzymek do jego grobu. -

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Chciałabym coś zrobić dla tego biednego kraju - powiedziała - w miarę swoich możliwości... Mogłabym zaofiarować pieniądze...

- Pieniądze się oczywiście przydadzą, ale ważniejsze jest wsparcie moralne. Oni tego bardzo potrzebują.

„Nie mam na to siły” - pomyślała.

Mimo że na dworze był spory mróz, świeciło słońce, postanowiła więc wrócić do domu pani Sanickiej piechotą. Mijała właśnie katedrę Świętego Jerzego, kiedy zajechało przed nią kilka samochodów i poczęli wysiadać z nich odświętnie ubrani ludzie. Pomyślała, że to może jakieś kościelne święto, gdy tuż naprzeciw wejścia zatrzymał się elegancki mercedes przybrany wstążkami. Ktoś usłużnie otworzył drzwiczki i ukazała się w nich ubrana na biało młoda kobieta. Trzymała w ręku wiązankę kwiatów, zaraz za nią pojawił się mężczyzna w ciemnym garniturze.

Wkrótce państwo młodzi i ich goście zniknęli we wnętrzu katedry.

Pod wpływem nagłego impulsu Julia też tam weszła, zapraszali ją wykuci w kamieniu papież i patriarcha. Podczas jednego ze spacerów po mieście Borys wyjaśnił jej, że ich obecność miała symbolizować unię Kościoła wschodniego i zachodniego.

Wewnątrz olbrzymie wrażenie zrobił na niej widok złotej, misternie rzeźbionej ściany. To było wspaniałe dzieło sztuki i gdyby tylko mogła, zabrałaby ten ikonostas ze sobą. Mieć coś takiego na co dzień...

Tymczasem pojawił się ich ksiądz ze wspaniałą siwą brodą i rozpoczęła się ceremonia ślubna. Świadkowie trzymali nad głowami państwa młodych złote korony.

Ten ślub według obrządku prawosławnego był jak piękne widowisko, jak bajka, która rozgrywała się na jej oczach. Tego pragnął Borys, aby wymienili między

sobą obrączki i zaklęcia w obecności siwobrodego patriarchy. Niestety, nie żyliby potem długo i szczęśliwie, jak to w bajkach bywa, spotkali się o wiele za późno...

Już od progu Julia wyczuła nerwową atmosferę, matka Andrew krzątała się po kuchni, przygotowując obiad, ale wszystko leciało jej z rąk. W końcu usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach.

- Powie mi pani wreszcie, co się stało?

- Kiedy ja sama nie wiem - odrzekła bezradnie.

- Nikt mi nic nie mówi, ale dzieje się coś złego... Rano przyszła tu jakaś młoda kobieta, nie potrafiłyśmy się porozumieć, bo mówiła po angielsku... Chyba chodziło jej o Oksanę.

- Może to był ktoś z konsulatu?

- Może... ale potem dzwonił mój syn i prosił, aby nikogo obcego nie wpuszczać do domu.

Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Kobieta, która odwiedziła dom Sanickich, była ściągniętą przez Jeffa z Nowego Jorku pielęgniarką. A więc to nie były czcze pogrożki z jego strony, naprawdę miał zamiar wywieźć dziecko.

Julia naradzała się z Andrew, co robić. Można było zabarykadować się w domu i rzeczywiście nikogo nie wpuszczać, ale przecież Jeff mógł się pojawić w asyście milicji. Co wtedy?

-Wtedy będziemy się martwić - powiedział Andrew.

- A może wywieźć małą - myślała głośno Julia.

- Pojechałabym z nią do Borysa, do Kukoliwki. Kto nas tam znajdzie?

- Jak będą chcieli, to znajdą - odrzekł na to - ale należałoby i to rozważyć.

Zastanawiała się, co można jeszcze zrobić, aby zyskać na czasie. Porozmawiać z tą pielęgniarzką? Wyjaśnić jej, jaką niegodziwość chce popełnić człowiek, który ją zaangażował, i zaproponować odszkodowanie? Jeżeli jest uczciwa, wycofa się. Tak. To nie jest zły pomysł. Postanowiła jednak nie wtajemniczać w to Andrew, bo on, jak typowy mężczyzna, nie bardzo wierzył w takie kobiece sposoby.

Jeszcze tego samego dnia dotarła do tej kobiety. Nie mówiąc, o co chodzi, telefonicznie umówiła się z nią w hotelowej restauracji. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że będzie to jakieś młodziankie stworzenie, z którym sobie z łatwością poradzi, tymczasem „ta młoda kobieta”, jak ją określiła pani Sannicka, okazała się osobą słusznej postury, niewiele młodszą od niej. W jej twarzy wyróżniały się przede wszystkim okulary powiększające oczy i duży, mięsisty nos. Już na pierwszy rzut oka sprawiała odpychające wrażenie.

Julia zrozumiała, że powinna zmienić strategię, zamiast apelować do jej sumienia, uświadomić babie, że sprawa jest zagmatwana i może narazić ją na nieprzyjemności. Więc lepiej będzie, kiedy przyjmie od niej odpowiednie wynagrodzenie i wróci tam, skąd przyjechała.

- Zaangażował mnie pan Jeffrey Connery i muszę być wobec niego lojalna - odrzekło na to babsko.

- Pan Connery jest po ciężkich przejściach i podejmuje, powiedzmy, zbyt pochopne decyzje, których

potem będzie żałował. A pani chce przyłożyć do tego rękę.

- O ile mi wiadomo, żona pana Connery'ego nie żyje, a on pragnie przewieźć swoje dziecko do ojczyzny. Dziecko jest małe i wymaga fachowej opieki, nie widzę w tym nic nielogicznego.

- Poza jednym - że pan Connery nie jest ojcem tego dziecka - wypaliła.

Kobieta zamrugała oczami.

- Jak mam to rozumieć?

- Tak jak powiedziałam, Connery to ojciec tylko na papierze, ojcem biologicznym jest ktoś inny i będzie walczył o prawo do opieki nad córką. A ja mu w tym pomogę, bo jestem babką tej dziewczynki. Do pani mam tylko jedną prośbę, aby nam pani nie przeszkadzała.

Mimo argumentów, jakie Julia przedstawiła, jej rozmówczyni nie wyglądała na przekonaną. Rozstały się z niczym i nie wiadomo, jak by się sprawy dalej potoczyły, gdyby nie pewien fakt, który wszystko zmienił.

Zięć Julii znalazł się w szpitalu, okazało się, że w jego kolanie wytworzył się proces ropny, który wywołał wysoką gorączkę.

Julia postanowiła go tam odwiedzić.

- Cieszysz się, bo wyszło na twoje? - spytał na jej widok.

Był bardzo wymizerowany, chyba nawet wyglądał gorzej niż zaraz po uwolnieniu z tajemnego więzienia.

- Nie cieszę się, Jeff, ale być może to los daje ci ostrzeżenie.

- Nie, wierzę w takie bzdury - odburknął.

Był szorstki, ale Julia wyczuła w nim jakąś zmianę, tak jakby odrzucił wreszcie maskę, która nie pozwalała jej go rozpoznać. Kiedy znowu przyszła po kilku dniach, udało jej się nawet spokojniej z nim porozmawiać. Powiedziała mu, że wkrótce wyjeżdża i ma nadzieję, że on jeszcze raz wszystko przemyśli i zrozumie, że ani ona, ani Andrew Sanicki nie są jego wrogami. Wręcz przeciwnie, oboje życzą mu jak najlepiej i starają się zrozumieć jego trudną sytuację. Wszyscy troje zostali dotknięci cierpieniem, ale to nie powód, żeby dodatkowo nawzajem siebie ranić.

- Chyba żebym zraniony był tylko ja - odrzekł z goryczą.

- Czasu się nie cofnie, Jeff- odrzekła na to. - Myśl o tym, co przed tobą, i nie zapominaj, że czeka na ciebie syn.

- On na mnie czeka? - wyraził powątpiewanie.

- Żebyś wiedział! Ty i Alek macie już tylko siebie.

Kiedy przyszła się z nim pożegnać przed wyjazdem, spytała, czy nie byłoby dobrze, gdyby po wyjściu ze szpitala spędził wspólne wakacje z synem. Tutaj, na Ukrainie.

- Na razie jestem inwalidą i czeka mnie operacja kolana - odrzekł na to.

- Ale do lata jest jeszcze trochę czasu.

Nic już na to nie odpowiedział, jednakże sam fakt, że od razu tego nie odrzucił, był bardzo znaczący.

Odchodząc, Julia pochyliła się i pocałowała go w policzek:

- Wracaj do zdrowia i... wracaj do nas - wyszeptowała mu do ucha.

Kochany Borysie, kiedy list ten dotrze do Twoich rąk, ja już będę bardzo daleko. Wiem, że ta moja ucieczka jest czymś okrutnym i niesprawiedliwym, że sobie na to nie zasłużyłaś. Ale nie mogłam postąpić inaczej. Starałbyś się mnie zatrzymać, a ja może bym Ci uległa, bo kocham Cię całym sercem.

Gdybyśmy się spotkali dwadzieścia lat wcześniej, byłabym najszczęśliwszą kobietą pod słońcem i błogosławiłabym każdy kolejny dzień mojego życia. Mieć Cię przy sobie, budzić się ze świadomością, że tak będzie jutro, pojutrze, zawsze, to oznaczałoby jedno: udane życie. Niestety, teraz wiem, że żyłam źle, popełniałam błąd za błędem i niczego mnie to nie nauczyło, bo otaczał mnie straszny zgiełk, w którym nie słyszy się własnych myśli.

Trzeba było dopiero czegoś tak strasznego jak śmierć własnej córki, aby zapanowała wokół mnie cisza. Ty się wtedy pojawiłeś i dlatego docierało do mnie każde wypowiedziane przez Ciebie słowo, każdy Twój gest. Ale cały czas wiedziałam, że nasze spotkanie będzie krótkie, bo nie może być inne.

Cieszyłam się, że mogę Ci ofiarować resztkę mojej młodości. I niech tak pozostanie, Borysie. Nie umiałabym znieść prostego faktu, że patrzysz na klęskę mojego ciała. Zaczęłabym się bać przyszłości, bo nie wiedziałabym, co mi przyniesie.

Teraz, kiedy podjęłam wreszcie tę chyba najtrudniejszą w moim życiu decyzję, odczuwam ból, ale także jakiś wewnętrzny spokój. Ty jesteś ze mną i będziesz zawsze, a ja się czuję bezpieczna. Ten krótki czas, jaki spędziliśmy razem, pozwolił mi doznać uczuć, o jakich dotąd nie miałam pojęcia. Uczynił mnie szczęśliwą.

i ten stan trwa, pomimo wszystko. Po raz pierwszy czuję się naprawdę bogata, Borysie, i mam czym się wspierać.

Niestety nie jestem osobą wierzącą, ale Ciebie niech ma w opiece Twój prawosławny Bóg.

Julia

Kiedy żegnała się z panią Niną i swoją małą wnuczką, powiedziała ze łzami w oczach:

- Będę bardzo za wami tęskniła.

- To przyjeżdżaj do nas, kochana Julio - odrzekła na to matka Andrew. - Jak najczęściej.

- Postaram się.

Andrew odwoził ją na lotnisko z dość markotną miną. Może miał żal, że zdecydowała się wyjechać, a on nie był pewien, jak się zachowa jej zięć po wyjściu ze szpitala. Do tej pory miał w niej przecież sojuszniczkę.

- Czy naprawdę musisz wyjeżdżać? - spytał.

- Muszę.

- Bez pożegnania z Borysem?

- Napisałam do niego i nawet wysłałam już ten list.

- Ale on by chyba wolał pożegnać cię osobiście.

Zawahała się, co mu na to odpowiedzieć.

- Widzisz, są między dwójgim ludzi takie sprawy, których nie da się rozstrzygnąć, patrząc sobie w oczy.

- Więc postanowiłaś uciec?

- Być może, ale uciekam bardziej przed sobą niż przed nim...

Pani Julia wróciła do Nowego Jorku, no i się zaczęło. Wszystko było nie tak, kwiaty w jej mieszkaniu zmarniały, bo niby Alona je za często podlewała i pogniły im korzenie, Alek miał za długie włosy i niechlujnie leżały mu na kołnierzu, a poza tym zbyt często przesiadywał przy komputerze i zbyt późno chodził spać. Pewnie stąd jego podkrążone oczy.

- Jak wrócił z Ukrainy, miał sińce na pół twarzy
- odcięła się Alona.

To chyba na starszą panią podziałało, bo zaraz zmieniła ton.

- Wiem, Alonko, że dużo dla niego zrobiłaś, jesteśmy ci z tego powodu bardzo wdzięczni, ja i jego ojciec.

- A pan Jeffrey nie wybiera się tutaj? - spytała ostrożnie; to było w końcu jego mieszkanie i kiedy wróci, może sobie nie życzyć jej obecności.

Pani Julia jakoś tak dziwnie na nią popatrzyła. Może też jej przyszło do głowy, że Alona długo miejsca w tym domu nie zagrzeje.

- Wybierał się, ale zatrzymała go choroba. Leży jeszcze w szpitalu. Jest jednak taki plan, żeby Alek pojechał do niego zaraz po zakończeniu roku szkolnego.

- Może i dobrze, że ojciec pozna się z synem tam, na miejscu - powiedziała z ulgą, eksmisja jej osoby zostałyby bowiem odroczone.

A ona nie widziała już siebie w innym miejscu niż to na Manhattanie. Tu było tak wygodnie i elegancko, i ludzie dookoła tacy mili, uśmiechał się do niej portier przy drzwiach, uśmiechali się sąsiedzi jadący z nią razem windą, a co, to byli za sąsiedzi, sami bardzo bogaci

ludzie. I ona też się do nich uśmiechała, chociaż daleko jej było do bogactwa. Nie zdobyła nawet upragnionej zielonej karty, ale wszystko w swoim czasie.

- Rzecz w tym, że Alek przecież nie może podróżować sam - ciągnęła pani Julia. - Będziemy cię prosiłi, abyś z nim pojechała.

- Zawiozła go? - upewniła się.

- Zawiozła i tam mu towarzyszyła. To będzie dla niego bardzo trudne, tak jak i dla jego ojca. Mój zięć jeszcze niezbyt dobrze się czuje po latach odosobnienia, jest bardzo nerwowy. Wpada z nastroju w nastroj...

„A co ja mam do tego - pomyślała z żalem. - Ja wam pomogłam, teraz wy pomóżcie mnie. Nie chcę stąd wyjeżdżać”.

Pani Elizabeth obiecywała, że ją tu urządzi.

- Ale... ja się uczę - powiedziała cicho. - Chciałam kontynuować letni kurs angielskiego...

—Nic straconego - odrzekła surowo pani Julia - Ty to sobie nadrobisz, a pewnych rzeczy nie da się nadrobić, jeżeli już się wydarzą.

Opowiedziała Alonie o wszystkich wariactwach pana Jeffreya, o tym, że chciał odkopywać panią Elizabeth i przewozić do Ameryki, a potem odebrać dziecko panu mecenasowi.

- Myślę, że pobyt mojego zięcia w szpitalu to zrządzenie losu. Będzie miał czas wszystko przemyśleć i opamiętać się. A spotkanie z Alekiem może okazać się dla niego zbawienne.

- To może ja nie będę im potrzebna - powiedziała cicho.

Pani Julia wzięła ją za rękę i spojrzała prosto w oczy.

- Alonko, będziesz im bardzo potrzebna. Planujemy z panem Andrew wysłać ich obu do jego domku w górach. Nie mogą być tam sami, a angażować dla nich do towarzystwa jakąś obcą kobietę byłoby bardzo ryzykowne. To tylko miesiąc, a potem wrócicie tutaj.

- Ja też?

- Oczywiście. Jeśli przystaniesz na moją propozycję, będę się czuła twoją dłużniczką.

Alona biła się z myślami, bardzo nie chciała wyjeżdżać, ale nie bardzo też mogła tu zostać, bo była zdana ze wszystkim na tych ludzi. Nie miała ani własnego kąta, ani pieniędzy, a jej pobyt w Ameryce też stał pod znakiem zapytania. Władze mogły jej nie przedłużyć wizy. A pani Julia miała takie znajomości, że wszystko mogła załatwić. Więc lepiej jej się nie sprzeciwiać.

Ale tak bardzo bała się spotkania z panem Jeffreyem. Co prawda na fotografii, która stoi na biurku w pokoju pani Elizabeth, ma taki ładny uśmiech, ale teraz pewnie się już nie uśmiecha.

Zawsze się obawiała bliższych kontaktów z mężczyznami, wołała podziwiać ich na odległość. Kolekcjonowała fotosy znanych hollywoodzkich aktorów, ostatnio jej idolem był Keanu Reeves, ma takie piękne, trochę smutne oczy. Może się nawet troszkę w nim kochała, ale gdyby nagle zszedł do niej z ekranu, byłaby przerażona. Pani Elizabeth powiedziała kiedyś, że ci wszyscy filmowi idole to psychiczne kaleki. Są jak manekiny, które ożywia dopiero kamera filmowa. Alona się z tym nie zgadzała, jeżeli ktoś potrafi stworzyć

piękną rolę, musi coś z siebie dać, nie może być w środku pusty. Ale nie sprzeczała się z panią Elizabeth, zachowała to dla siebie. Taka już była, że zawsze zgadzała się ze swoim rozmówcą. Jedni mówili to, inni tamto, a ona im przytakiwała. Może dlatego ludzie ją lubili. A ona? Dla niej najważniejsze było, żeby utrzymać się na powierzchni i nie skończyć jak matka, z mężem pijakiem i gromadą dzieci. Dwóch rzeczy Alona bała się najbardziej: faceta, co zagląda do kieliszka, i zajścia w ciążę. Więc na wszelki wypadek trzymała się z daleka od płci przeciwnej. A teraz miała się znaleźć tak blisko obcego mężczyzny, który w dodatku dziwnie się zachowywał. Nie sądziła, aby coś jej groziło z jego strony, ale na pewno będzie się czuła skrępowana. A jak się ma zachować przy powitaniu, dygnąć przed nim jak mała dziewczynka i się zaczerwienić? To byłoby głupie. Albo wyciągnąć do niego rękę? A jak on jej nie poda swojej? To by dopiero było... No to może nie podchodzić blisko, tylko czekać, co on zrobi albo co powie. A jak nic nie powie i tak będą stali naprzeciw siebie jak dwa kołki?

Poczuła się rozżalona, że nikt jej nie spytał, co czuje i czego pragnie. Ludzie przedstawiali ją z miejsca na miejsce jak przedmiot. Najpierw pan mecenas powiedział: pojedziesz do Nowego Jorku, no i pojechała, potem pani Elizabeth kazała jej zostać z Alekiem, więc zamieniła się w niańkę, a teraz chcą z niej zrobić pielęgniarkę. A ona dość się już wyniańczyła, zajmowała się przecież swoim rodzeństwem. Ile tych kaszek musiała nagotować, ile pieluch uprać. Pan Jeffrey jest chory, więc też jemu będzie musiała usługiwać. Nawet nie może się zbuntować, ho co by jej z tego przyszło,

pani Julia by się na nią obraziła i nie kiwnęłaby palcem w sprawie przedłużenia wizy i zdobycia przez nią upragnionej zielonej karty. Więc jakie ma wyjście? Tylko jedno, zgodzić się na tę nową rolę, którą jej narzucają.

Kiedy starsza pani spytała, jaką podjęła decyzję, odrzekła:

- Pojadę na Ukrainę.

Pan mecenas wyjechał po nich na lotnisko. Alona była wstrząśnięta tym, jak się postarzał. Włosy miał już prawie zupełnie siwe, a wokół ust pojawiły się dwie głębokie bruzdy.

Wyraźnie ucieszył się na ich widok.

- Jak podróż? Bardzo jesteście zmęczeni?

- Alona to spała całą drogę, ale ja nie zmrużyłem oka - wyrwał się Alek.

- Na pewno - roześmiała się. - Chrapałeś, aż się kurzyło.

- A wcale nie! - odrzekł obrażonym tonem.

Pan mecenas się uśmiechnął.

- Widzę, że nic się nie zmieniło, nadal się kłóćcie.

- Bo Alona ściemnia!

- Sam jesteś ciemniak!

- Przestańcie, dobrze? - poprosił pan Andrew.

Zaproponował, żeby najpierw odwieźć Aleka do ojca, który od tygodnia przebywał w hotelu. Chłopiec wyraźnie się tego przestraszył. Rozumiała go i bardzo mu współczuła. Najpierw opuściła go jedna matka, potem druga. Podrzucano go jak kukułcze pisklę to tu, to tam, albo do sierocińca, albo do dziadków, wreszcie zawędrował aż do Nowego Jorku i też nie wiadomo,

czy tam jeszcze wróci. On po prostu nie wiedział, gdzie jest jego dom.

- Chciałbym najpierw zobaczyć się ze swoją siostrą - powiedział, spuszczać głowę.

- Dobrze - zgodził się pan Andrew. - Jak sobie życzysz.

Na twarzy Aleka pojawiła się ulga, więc jej też od razu ulżyło. Właściwie nie bardzo wiedziała, kim był dla niej ten dzieciak. Czy traktowała go jak młodszego brata? Chyba nie, miała kilku braci i żywiła do nich zupełnie inne uczucia, kochała ich, ale czasami miała ochotę jednego albo drugiego obedrzeć ze skóry. Alek też często dawał jej w kość, nie wyzwał w niej jednak niechęci. Kiedy pojawiła się u pani Elizabeth, był jak małe wystraszone zwierzątko i ona to zwierzątko oswajała. Patrzyła, jak się zmienia, jak się otwiera na ludzi. Oglądała kiedyś stary film o takiej kwiaciarce, która trafiła do domu uczonego profesora. Profesor starał się zrobić z niej prawdziwą damę. Nie bardzo mu się to udało, a w końcu się w niej zakochał. Alona chyba lepiej sobie poradziła. Alek stał się normalnym, wesółym dzieckiem, przedtem ust nie otwierał, a potem paplał nawet za dużo. Oczywiście do czasu tego nieszczęścia. Wrócił z pogrzebu pani Elizabeth jak cień dawnego Aleka i już nic na to nie mogła poradzić. Chociaż bardzo się starała.

Pan mecenas zatrzymał samochód pod domem swojej mamy. Powiedział jej, żeby zaczekała, to ją odwiezie do rodziców.

- Mogę pojechać autobusem - zaproponowała.

- Nie ma mowy, jesteś zmęczona po podróży, odwiezę cię — zaprotestował, wysiadając.

Alek pozostał na swoim miejscu.

- No, na co czekasz? - szturchnęła go w ramię.

- Alona - rzekł niepewnie - może być ze mną poszła...

- Po co ja tam jestem potrzebna?

- Przywitasz się z babcią Sanicką i z Oksaną...

- Jeszcze zdążę, teraz muszę się umyć i przebrać.

Patrzył na nią niemal błagalnie.

- No, co jest? - spytała.

- Boję się - odpowiedział cicho.

Przytuliła go do siebie.

- Daj spokój, nikt cię tutaj nie zje. A wkrótce się zobaczymy.

- Kiedy?

- No, niedługo... A teraz śmigaj, bo pan mecenas na ciebie czeka.

Patrzyła, jak idzie w stronę domu pani Sanickiej, powłócząc nogami. Nie potrafiła mu pomóc. Sam musiał odnaleźć swoje miejsce w nowej sytuacji.

- Nie wiem, czy to taki dobry pomysł, żeby Alek się spotykał teraz ze swoim tatą - powiedziała, kiedy pan mecenas podwoził ją do rodziców.

- Inaczej się chyba nie da - odrzekł.

- Alek jest jeszcze chory w środku i jak słyszałam, jego ojciec też. To jak ma wypaść takie spotkanie? Może ja bym się najpierw sama spotkała z panem Jeffreyem i coś mu powiedziała o Aleku? Łatwo go teraz skrzywdzić...

Pan mecenas spojrział na nią.

- Wiesz, to chyba dobry pomysł.

Być może pomysł był dobry, ale z jego realizacją mogło być gorzej. No bo jak to wszystko wypadnie. Wejdzie do tego hotelowego pokoju i co dalej? Co ten mężczyzna zrobi na jej widok, jak się zachowa. Czy się do niej uśmiechnie, czy też będzie na nią patrzył w milczeniu. Z całą pewnością wygląda teraz inaczej niż na fotografii. A jak zacznie na nią krzyczeć, że wsadza nos w nie swoje sprawy? Ale przecież zgodził się z nią porozmawiać...

To, co mówiła o nim jej matka, nie brzmiało zachęcająco, ale matka nie widziała przecież pana Jeffreya na oczy, powtarzała tylko to, czego się dowiedziała o nim od pani Sanickiej. A prawda zawsze leży gdzieś pośrodku. Mama poza tym zawsze lubiła przesadzać. Już od drzwi opowiedziała jej o romansie pani Julii z przyjacielem pana mecenasa, doktorem Hnatiukiem. A przecież to już starzy ludzie!

- Oboje piękni, to i uczucie było piękne - powiedziała matka. - Tylko ta Amerykanka się czegoś wystraszyła i wyjechała.

- Wyjechała, bo miała wyjechać. Mieszka w Nowym Jorku - odrzekła na to.

- Już ja swoje wiem, ona stąd uciekła.

Alona wzruszyła ramionami.

A teraz była naprawdę przestraszona, kiedy jechała windą na górę, trzęsły jej się łydki. Zanim zapukała, stała długą chwilę przed drzwiami pokoju nr 411.

- *Come in* - usłyszała.

Mężczyzna siedział w fotelu, miał ciemną, poprzetykaną siwizną brodę i to go bardzo zmieniło, ale ona by go chyba rozpoznała, bo rysy twarzy były takie same jak na fotografii.

-Jestem Alona... - powiedziała po angielsku -
... przyszedłam porozmawiać.

- Domyślałam się - uśmiechnął się lekko i wyglądało, że nie jest jakoś niechętnie do niej nastawiony. Niepotrzebnie tak się bała.

Poprosił, aby usiadła, poczęstował ją sokiem. Wypiła duszkiem całą szklankę, bo z emocji zaschło jej w gardle.

-Opiekowała się pani Alekiem, jak słyszałem - powiedział pan Jeffrey.

-Jestem Alona - odrzekła i zaczerwieniła się, wściekła na siebie, bo on to pewnie zauważył.

Te pałające policzki zawsze doprowadzały ją do rozpacy, ale nic na to nie mogła poradzić.

- No to ja jestem Jeff- odrzekł.

Nigdy w życiu nie ośmieliłaby się tak spoufalać, teraz będzie miała kłopot, jak z nim rozmawiać, żeby nie mówić ani pan, ani ty.

- Jaki Alek jest teraz? - spytał.

- Jakoś tak się chyba zagubił - pośpieszyła z odpowiedzią. - Nie wie, z kim będzie mieszkał, gdzie jego dom...

- Ale to, że jestem jego ojcem, wie?

- Tak, wie, ale on chyba mało pamięta...

Idąc na to spotkanie, ułożyła sobie całą długą przemowę, wszystko to jednak nagle gdzieś uleciało. Spuściła głowę i w milczeniu składała i rozkładała chusteczkę, którą trzymała w dłoni.

- Pojedziemy w Bieszczady - odezwał się wreszcie pan Jeffrey - i będziemy się sobie przyglądać. On mnie, a ja jemu. Zobaczymy, co z tego wyniknie...

- Ja też mam z wami jechać - rzekła cicho.

- Wiem — odpowiedział krótko.

Potem myślała, że może on nie będzie zadowolony z jej obecności, może wolałby być sam ze swoim synem. Powinna była go o to spytać. Ale nie spytała i teraz już nie będzie miała okazji, bo zobaczą się dopiero w dniu wyjazdu.

Dziwna rzecz, ale fakt, że niedługo znowu spotka tego człowieka, wcale jej nie przerażał, przeciwnie, nawet się z tego cieszyła. Pan Jeffrey nie był taki groźny, jak go inni przedstawiali. Wydał jej się poza tym przystojny i męski. Podkreślała to jeszcze ta siwiejąca broda. Przypominał jej trochę Nikitę Michałkowa z *Gorzkiego romansu*. Pierwszy raz oglądała ten film, kiedy była małą dziewczynką, nie chcieli jej wtedy wpuścić do kina, więc ciotka przemyciła ją pod płaszczem, a w czasie projekcji Alona siedziała u niej na kolanach. A potem kupiła sobie kasetę z tym filmem i kiedy matka sprzątała u pana mecenasa, Alona, za jego przyzwoleniem, puszczała ją na wideo. Michałków z brodą był naprawdę piękny. Ale potem, w drugiej części filmu, zgolił ją i czuła się z tego powodu nieco rozczarowana. Kilka lat kasetę przeleżała na półce, a kiedy znowu ją obejrzała, odebrała już film inaczej. Paratow, którego grał jej idol, był naprawdę przystojny, ale miał paskudny charakter. Doprowadził do zguby kobietę kochającą go całym sercem. Więc po co ta miłość? Przynosi cierpienie, a nawet śmierć. Lepiej już chyba, jak się nikogo nie kocha.

Okazało się, że to ona będzie musiała prowadzić auto, w dodatku terenowe, bo pan Jeffrey ma chore

«

kolano. Wystraszyła się na dobre, co prawda miała prawo jazdy, ale jeździła samochodem tyle, co na kursach. Powiedziała o tym panu mecenasowi, uspokajał ją jednak, że trochę poćwiczą razem i na pewno da sobie radę. Jest bardzo zdolna. A tutaj nie chodziło o zdolności, ale o praktykę. Przecież to wielka odpowiedzialność wieść innych ludzi.

- Alonka, nie mamy wyjścia - powiedział pan Andrew. - Ja was nie mogę odwieźć, bo pan Connery sobie tego nie życzy. I tak łaskawie się zgodził, żebyś ty prowadziła. Będzie siedział obok, to ci zawsze coś podpowie...

„Chyba jak się wydostać z rowu” - pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Nie było jednak tak źle, jak początkowo sądziła, pojeździła z panem mecenasem po mieście i jakoś szybko złapała dryg do prowadzenia, nawet jej to zaczynało sprawiać przyjemność.

W przeddzień wyprawy pan mecenas dał jej samochód, żeby sama trochę potrenowała. Początkowo była spięta, kurczowo trzymała się kierownicy, ale potem otworzyła sobie dach, nastawiła w radiu muzykę i poczuła się naprawdę wspaniale.

„Życie bywa piękne!” - pomyślała.

Miała jeszcze moment niepewności, kiedy pojawili się jej pasażerowie: pan Jeffrey i Alek. Nie była przy ich przywitaniu, ale wystarczyło rzucić okiem, aby stwierdzić, że nie wypadło ono najlepiej. Alek miał spiętą twarz, nawet na nią nie spojrzął. Może miał żal, że pozostawiła go samemu sobie, chociaż wcześniej obiecywała, iż tego nie zrobi. Ale nie ona o tym decy-

dowała, jak ma wypaść spotkanie ojca z synem, pan mecenas zarządził, że najlepiej, żeby byli sami. I tyle.

Pan Jeffrey siedział obok niej, a Alek z tyłu. Jechali ze trzy godziny i nikt się nie odezwał jednym słowem. Dopiero ona zaproponowała, żeby zrobić postój i coś zjeść albo się napić. Zatrzymali się w przydrożnym barze, w ładnym miejscu. Pod rozłożystymi dębami stały proste, zbite z desek stoły i ławy. Do wyboru były pierogi z kapustą i kiełbasa na gorąco. Oni z Alekiem zamówili pierogi, a pan Jeffrey tylko herbatę bez cukru, ale kelnerka przyniosła mu posłodzoną, więc jej wcale nie wypił.

Ruszyli dalej, a ona modliła się w duchu, żeby ta milcząca podróż już się wreszcie skończyła.

Domek stał na polance, zewsząd otoczony świerkowym lasem. Był drewniany i miał piękną rzeźbioną werandę, przez którą wchodziło się do środka. Wewnątrz była wolna przestrzeń, tylko niewielki barenki oddzielał kuchnię. Po schodach wchodziło się na antresolę, która zamiast ścianki miała ażurowe szczeble.

Alona rozejrzała się bezradnie. Gdzie tu było miejsce dla nich trojga? Pan Jeffrey, który wniósł bagaże, nie pozwolił sobie pomóc, też chyba coś takiego pomyślał, bo stanął obok i w milczeniu oglądał wnętrze.

- Pan może spać na dole - powiedziała wreszcie - Alek tam wysoko, a ja coś sobie przygotuję w szopie. Na szczęście jest ciepło.

Spojrzał na nią, chyba pierwszy raz spotkały się ich oczy, zdziwiła się, że jego są takie niebieskie.

- Nie ma mowy — odrzekł - ty zajmiesz galerię, a my z Alekiem jakoś tu się rozlokujemy.

-Ale... — zaczęła.

Była wściekła na siebie, że w ogóle zaczęła ten temat. Pan Jeffrey teraz ją wypytywał, a ona wolała nie rozmawiać z nim o planach wspólnego życia pani Elizabeth i pana mecenasa. I tak nic z tego nie wyszło, więc po co to drażnić.

Na szczęście pan Jeffrey, widząc, że nie kwapi się z odpowiedzią, wrócił do swojej gazety.

Ciekawa była, co naprawdę o niej myślał, czy uważał ją za głupią dziewczynę? Ciągłe strzelała jakieś gafy i czerwieniła się z byle powodu. Raz spytał, co robiła przed przyjazdem do Stanów, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, Alek powiedział:

- Napisała doktorat o życiu seksualnym afrykańskich motyli!

- Nie napisałam, tylko miałam zamiar pisać - odrzekła z pałającymi policzkami.

Więcej nie było już o tym mowy.

Więc nie wiedziała, co o niej sądzi. Może nic, może traktuje ją jak powietrze. Ona natomiast po raz pierwszy uświadomiła sobie, że w towarzystwie tego mężczyzny poczuła się kobietą. To było coś zupełnie nowego, gdyż do tej pory nie chciała o tym pamiętać, denerwowały ją wszelkie oznaki zainteresowania ze strony płci przeciwnej. Najchętniej chodziłaby w worku, z twarzą wysmarowaną sadzą, wtedy czułaby się najbezpieczniej. Miała tylko jedno męsko-damskie doświadczenie, jeszcze w liceum. Umówiła się z chłopakiem, nawet jej się podobał, miał ładną twarz, był wysoki, rozrośnięty w ramionach. Należał do drużyny koszykówki i ciągle jeździł na jakieś mecze, dlatego miał kłopoty w nauce. Alona pomagała mu trochę przed klasówką z biologii, a potem poszli na spacer.

To znaczy, wyobrażała sobie, że to będzie spacer, a on zaciągnął ją w krzaki. Kiedy się broniła, porwał na niej sukienkę, ledwo zdołała się uwolnić. Od tej pory, ilekroć jakiś facet zwracał na nią uwagę, w jej mózgu zapalało się czerwone światło. „Uwaga! Niebezpieczeństwo!”

A gdyby pan Jeffrey chciał ją pocałować? Już na samą myśl oblała ją fala gorąca. Czy zgodziłaby się? Może, może... Ale on miał inne problemy na głowie, niedawno stracił żonę, nie potrafił nawiązać kontaktu z synem. Po co mu Alona.

Wiedziała, że nie ma u niego żadnych szans, że nie zrobi żadnego kroku w jej stronę. Może właśnie dlatego czuła się bezpieczna w jego obecności i mogła sobie pomarzyć. Ale czy naprawdę by tego chciała?

Kursując między domkiem w lesie i miasteczkiem, miała dużo czasu na myślenie, a jej myśli uporczywie wracały do „zakazanego tematu”, jakim była miłość. Stało się to za przyczyną mężczyzny, który godzinami przesiadywał w fotelu na werandzie drewnianego domku, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Cieszyła się, że kiedy wróci z zakupów, zostanie go siedzącego w tym fotelu. Więc może już była zakochana? Nie umiała na to odpowiedzieć, bo nie wiedziała, jak to jest, kiedy się ktoś zakocha. Nie miała żadnych własnych doświadczeń. Miłość znała tylko z literatury i z kina.

Któregoś dnia pan Jeffrey zaproponował, że pojedzie z nią do miasteczka, a jej serce skoczyło do gardła.

- A Alek nie będzie się bał zostać sam? - spytała, żeby pokryć zmieszanie.

- Alek to twardy wiking - odpowiedział.

Dłuższy czas jechali w milczeniu.

- I co z tymi motylami i z ich życiem seksualnym, masz zamiar do tego wrócić? - spytał.

- Chyba nie, mam inne plany.

Nie powiedziała jakie, a on nie wypytywał.

W miasteczku były dwa sklepy na krzyż, ale mieszkańcy tej dziury i okolicznych wiosek robili zakupy na targu, gdzie wszystkiego było pełno: świeżych warzyw, jaj, mięsa. Alona wybierała produkty ze straganów, a pan Jeffrey nosił za nią koszyk.

- Może kupimy kurczaka i zrobię potrawkę, Alek lubi, a pan?

- Wszystko, co ty ugotujesz, bardzo mi smakuje - odrzekł na to, a ona oczywiście się zaczerwieniła, ale na szczęście nie widział tego, bo była odwrócona tyłem.

W pewnej chwili zobaczyli dwóch chłopców, którzy siedzieli na ziemi obok przepastnej torby. Wystawały z niej łebki szczeniaków. Alona chciała iść dalej, ale pan Jeffrey się zatrzymał.

- Te pieski są do sprzedania? - spytał.

- Do sprzedania - odpowiedzieli chórem - i tanio!

Jeden z nich wyjął z torby puchatego szczeniaka niewiadomej rasy, był biały ze śmieszoną czarną plamą na oku.

- To co, może go weźmiemy? - zwrócił się do niej pan Jeffrey. - Mówiłaś, że Alek marzył o psie.

- Ale co potem z nim będzie? Przecież zabrać go nie można...

- Potem się zobaczy - odrzekł.

W drodze powrotnej pan Jeffrey prowadził, a ona trzymała szczeniaka na kolanach. Wiercił się i piszczał, widocznie tęsknił za matką. Wreszcie obsusiał jej spodnie i musieli się zatrzymać. Zjechali w leśną, boczną drogę, Alona zdjęła džinsy i zawiązała sweter wokół bioder.

- Masz ładne nogi - powiedział pan Jeffrey. - Po co je ukrywasz?

Nic nie odpowiedziała, tylko oczywiście zapiekły ją policzki.

-I piegi masz śliczne - dodał on - ale to, co ci prawi stary dinozaur, nie ma chyba znaczenia.

- Ma, ma znaczenie - odrzekła gorąco.

Pan Jeffrey się uśmiechnął.

Myślała, że Alek będzie szalał z radości na widok szczeniaka, ale on tylko popatrzył, a potem nagle odwrócił się i pobiegł w stronę lasu, wkrótce zniknął za drzewami.

- Chyba mu jednak przeszło z tym psem - powiedział pan Jeffrey. — Trzeba będzie odwieźć szczeniaka z powrotem.

Alona pokręciła na to głową.

- Alek to takie dziwadło, poszukam go.

Poszła jego śladem, ale nie było go w szafasie, znalazła go dopiero za pagórką, siedzącego pod drzewem. Na jej widok spuścił głowę.

- Co ty wyprawiasz! — zaczęła ostro. - Ojciec ci zrobił wspaniałą niespodziankę, a ty tak się odwdzięczasz?

Odpowiedziało jej milczenie.

- Chciałeś mieć psa czy nie?

Znowu cisza.

- Mowę ci odjęto, odpowiadaj!

Ukłęka przed nim i chwytając za włosy, uniosła mu głowę. Patrzyli sobie teraz w oczy.

- Co jest? - spytała.

- Nie chcę go - powiedział wreszcie.

- Dlaczego?

- Bo... to miał być prezent od Elli, a jak jej nie ma, to nie chcę nic.

Alona puściła chłopca i usiadła obok, opierając się plecami o pień drzewa.

- Tak to sobie wykombinowałeś - powiedziała już łagodniej. - Tylko rzecz w tym, że ten piesek też już nie ma mamy, bo go od niej zabraliśmy...

Alek nic na to nie odrzekł, a ona podniosła się i otrzepała spodnie z paprochów.

- Pomyśl o tym, co ci powiedziałam.

Szła wolno w stronę domu, mając nadzieję, że chłopiec ją dogoni. Obejrzała się, ale nie było go.

Pan Jeffrey siedział na werandzie w fotelu, patrzył na nią pytająco, nie powtórzyła mu jednak rozmowy z Alekiem.

- Ma muchy w nosie - rzekła - ale mu przejdzie.

Chłopiec pojawił się po kilku godzinach. Wolno wszedł na werandę, gdzie przy misce z mlekiem urządował szczeniak.

- Jak go nazwiemy? - spytał.

- Ty mu wymyśl imię - odrzekła, spoglądając znacząco na pana Jeffreya

- To twój pies.

- Niech będzie Łatek...

A następnego dnia przy śniadaniu Alek powiedział do ojca: «

- Dziękuję, tatusiu, za tego pieska.

Alona triumfowała, bo jednak wyszło na jej. Alek nie odstępował szczeniaka na krok, karmił go, czesał, bez szemrania ścierał kałuże z podłogi, a na noc, mimo jej protestów, brał go do łóżka. W ciągu kilku dni stał się na powrót wesołym, szczęśliwym dzieckiem.

Nawet ona nie była taką optymistką. Tym bardziej przeraziło ją coś, co się wydarzyło pewnego słonecznego poranka. Siedzieli we troje przy śniadaniu. Pogoda była piękna, więc wynieśli stół na werandę. Szczeniak bawił się przy schodkach.

Alek pierwszy zauważył bociana, który dostojnie kroczył brzegiem lasu. Teren był tam lekko podmokły, więc pewnie polował na żaby. Zauważył go też piesek i niewiele myśląc, pognął w jego stronę. A bocian, zamiast odlecieć, zamachnął się i dziobnął go w głowę. Prawie jednocześnie ona i Alek rzucili się na ratunek, ptak odleciał, ale jakby z ociąganiem. Pies nieruchomo leżał w trawie. Kiedy Alona niosła go w stronę domu, był zupełnie bezwładny, ze zwisającą głową i wywalonym językiem. Nie miała odwagi spojrzeć na Aleka, który jej towarzyszył, słyszała tylko wymowne pociąganie nosem. I nagle stał się cud, właśnie zbliżała się do werandy, gdy szczeniak nagle ożył. Wyrwał jej się i pognął do swojej miseczki.

Wszyscy troje patrzyli na to jak oniemiaли, potem Alek rzucił się do pieska, zaczął mu obmacywać głowę. Wyglądało, że nie odniósł żadnych obrażeń.

- Może bocian tylko się na niego zamierzył - zastanawiał się pan Jeffrey - a Łatek zemdlał z wrażenia.

- Albo udawał nieżywego - wtrąciła Alona zwięznięta czasami tak robią żeby zmylić przeciwnika.

- To bardzo prawdopodobne - zgodził się z nią pan Jeffrey.

Wieści, które nadchodziły z domku w górach, były pomyślne, i Andrew zaczął odczuwać coś w rodzaju ulgi. Z tego, co mówiła przez telefon Alona, ojciec i syn wreszcie się ze sobą porozumieli, a ich wspólny wyjazd do Ameryki miał nastąpić na początku października. Więc być może Connery zrezygnował z planów wywiezienia jego córeczki.

- A ty, Alonko, jedziesz z nimi? - spytał ostrożnie.

- Nie wiem - odrzekła. - Pan Jeffrey nic na ten temat nie mówi.

- Dlaczego chce wyjechać z synem dopiero w październiku, przecież Alek powinien pójść do szkoły?

- Tutaj zaczyna się piękna jesień, może dlatego - powiedziała niepewnie. - Wiem też, że ma coś do załatwienia we Lwowie...

Po tych słowach Andrew stał się czujny. Może jednak Connery postanowił skompletować sobie rodzinę i nadal chce odebrać mu córkę. Bo cóż innego miałyby do załatwienia we Lwowie? Z pomysłu ekshumacji zwłok Elizabeth zrezygnował chyba już wcześniej. Mogło też chodzić o sprawy medyczne, przecież z jego nogą nie wszystko było w porządku. Alona mówiła, że ciągle kuleje, a są dni, kiedy ta noga bardzo go boli. Ale przecież u siebie ma lepszych lekarzy... Może są i lepsi, ci jednak byli już wprowadzeni w historię jego choroby, tutaj poddał się przecież operacji kolana. Z pewnością to jest ten powód, dla którego przełożył wyjazd. I w jakimś sensie się to potwierdziło, bo sekre-

tarka Andrew sprawdziła, iż Connery zapisał się na wizytę do chirurga pod koniec września. Więc niedługo wszystko się wyjaśni.

„Oby jak najszybciej” - pomyślał.

Dosyć już tych nieszczęść i złych wiadomości. Jedna była dobra: komisja parlamentarna wydała oświadczenie, że zleceniodawcą zamordowania dziennikarza Georgija Gongadzego był nie kto inny, ale były prezydent. Co dalej z tym zrobią, nietrudno było przewidzieć, nikt Kuczmy nie aresztuje, nie wymierzy mu sprawiedliwej kary, bo taką karą byłoby dożywotnie więzienie. Ale to i tak wielki postęp, że głośno powiedziano o tym, o czym już wszyscy wiedzieli.

A ta zła wiadomość to „wojna na górze”, zupełnie jakby się powtarzał polski scenariusz. Tam namieszał legendarny przywódca „Solidarności” Wałęsa, a tutaj wyraźnie miesza Julia. Oświadczyła w telewizji, i to niestety poszło w świat: „Wiktor Juszczenko zniszczył naszą jedność, zniszczył przyszłość państwa”.

Obawiam się, Julio, że to ty chcesz ją zniszczyć, dla swoich wybujałych ambicji. Opanuj się, kobieto, i pomóż biednemu Wiktorowi. On ma wizję naprawy państwa, ty mu w tym tylko nie przeszkadzaj... A że korupcja, że nieuczciwi urzędnicy? Chorego organizmu nie da się tak od ręki uzdrowić, bo kiedy się za dużo wytnie chorej tkanki, pacjent może tego nie wytrzymać. Zadzwoń i powiedz jej o tym? Chyba nie ma sensu, dawna przyjaciółka przypomina teraz rozwścieżoną kocicę, jeszcze i jego draśnię boleśnie swoim pazurem... Może się jednak opamięta, Andrew zna ją dobrze., jest porywcza, często najpierw coś robi, a potem pomyśli, ale w gruncie rzeczy to osoba

uczciwa. I nieco infantylna, jak chyba wszystkie kobiety. Ten pomysł, że Juszczenko zabiegał, aby nie dostała nagrody Człowieka Roku przyznawanej podczas Forum Ekonomicznego w Polsce, jest wprost śmieszny. Wyznała w wywiadzie, że o knowaniach Juszczenki dowiedziała się z „jakiejs strony internetowej”. Problem w tym, że najpierw ogłoszono, iż dostała nagrodę, a potem, że jej nie dostała, ale ostatecznie jednak ją nagrodzono. Zawiedli organizatorzy, którzy pojedą teraz do Kijowa, aby jej to wyróżnienie wręczyć...

Dzień był niemal upalny, Andrew postanowił więc wybrać się ze swoją córeczką do parku. Ostatnio miał tyle zajęć, że rzadko ją widywał. Oksana rosła jak na drożdżach i była niezwykle pogodnym dzieckiem, stale się uśmiechała. Teraz, kiedy sporo przybrała na wadze i buzia jej się zaokrągliła, podobieństwo do matki nie było już tak uderzające. A matka Andrew twierdziła nawet, że wnuczka staje się coraz bardziej podobna do niego.

- Przestań, mamó - śmiał się - bo zaraz urosną jej wąsy.

- Mów, co chcesz - odrzekła na to - ale córki podobne do ojców mają więcej szczęścia w życiu.

„No tak - pomyślał z nagłym smutkiem - Elizabeth była podobna do swojej matki... ”

Z Julią Veysey utrzymywał stały kontakt, najbardziej interesowało ją to, co się dzieje w domku w górach.

- Z tego, co mówi Alona, obaj, ojciec i syn, robią postępy - uspokajał ją.

- Alek do mnie telefonował, ale na moje pytanie, kiedy przyjedzie do Ameryki, odpowiedział: nie wiem. A przecież szkoła się już zaczęła...

- Widocznie Jeffrey uważa, że naprawa jego stosunków z synem jest ważniejsza od chwilowej przerwy w nauce - odrzekł. - A według mojej wiedzy mają wrócić na początku października.

- Wszyscy troje?

Andrew zamilkł na długą chwilę.

- Mam na myśli Alonę - pośpieszyła z odpowiedzią matka Elizabeth.

- Ona też tego jeszcze nie wie.

- Obiecałam jej pomoc, jeżeli Jeff nie zechce jej u siebie zatrudnić, może zamieszkać u mnie.

- Mam jej to przekazać?

- Alona o tym wie - odparła. - A jak moja ukochana wnuczka, już się strasznie za nią stęskniłam. Pewnie urosła przez ten czas...

- Przyjedź do nas, sama zobaczysz, zapraszamy.

- Na pewno przyjadę.

- Kiedy?

- Jak tamci wrócą. Uważam, że powinnam tu wtedy być, bo spodziewam się nowych problemów - powiedziała z ciężkim westchnieniem. - Jeff jest ciągle taki rozchwiany? Ani razu do mnie nie zadzwonił.

- Myślę, że jest dużo lepiej. Ja z nim też nie rozmawiałem, ale z tego, co mówi Alona, twój zięć wyraźnie wraca do równowagi.

- Były zięć, Andrew, teraz ty nim jesteś...

„Ja też już jestem twoim byłym zięciem, Julio” - pomyślał ze smutkiem, ale nie powiedział tego głośno.

- A... jak się miewa Borys? - spytała z nutą wahania w głosie.

- W porządku, widzujemy się od czasu do czasu. Mam go od ciebie pozdrowić?

- Pozdrów go ode mnie - powiedziała wolno, a potem zaraz dodała - albo nie, raczej nie, tak będzie lepiej. Co z jego mamą?

- Ma się świetnie.

- To zdumiewająca osoba...

- A nie daję ci to do myślenia?

- Owszem, Andrew, ale człowiek sam wybiera, kiedy chce być stary.

- Nie powiesz mi, że ty już wybrałaś.

- A jednak tak - usłyszał w odpowiedzi.

Widząc z daleka bramę parkową uczuł nagły skurcz w gardle, to było przecież to miejsce, gdzie parę lat temu Elizabeth czekała na nich, na niego i na Aleka. Ci dwoje spotkali się wtedy po raz pierwszy. Jak wiele się od tego czasu zmieniło... Ale czy naprawdę? Ta niezwykła kobieta nadal pozostała w jego sercu. Tak dobrze pamiętał jej twarz, to, jak mówiła, żywo gestykulując, jak się śmiała, odchylając głowę do tyłu. Jej obraz towarzyszył mu w każdej sekundzie życia, a więc Elizabeth tak do końca nie odeszła, czuł tuż obok jej obecność. I to się już nie zmieni do dnia jego śmierci. To była ta jedyna rzecz, jakiej był naprawdę pewien.

Oksana zasnęła, Andrew ustawił więc wózek w półcieniu pod drzewem, a sam usiadł na ławce i wyjął gazetę. Przeglądał ją kiedy zadzwoniła komórka.

- Mówi Jeffrey Connery - usłyszał i z wrażenia zaschło mu w gardle. - Chciałbym panu podziękować

za umożliwienie mi pobytu wraz z synem w pańskim letnim domu... Początkowo uważałem ten pomysł za nedorzeczny, ale to właśnie wiele między mną i Alekiem naprawiło.

- Mogą się tylko z tego cieszyć - odrzekł Andrew szybko.

-Zbieramy się pomału do wyjazdu, najwyższa pora - ciągnął Amerykanin. - Mamy też duży kłopot, gdyż nie możemy wrócić na Manhattan. Trzeba będzie poszukać nowego domu, bo nam się rodzina powiększyła... „O czym on mówi” - pomyślał Andrew w półochu, ale zaraz usłyszał: - Mamy teraz psa.

Muszę go spytać wprost o Oksanę, nie ma na co czekać, niech tamten sobie to przemyśli, zanim wróci z Bieszczadów.

- Ja... - zaczął, nerwowo przełykając ślinę - chciałbym też pewną rzecz wyjaśnić...

- Nie ma czego wyjaśniać - przerwał mu Connery. - Zrzeknę się ojcostwa pańskiej córki. Już się dowiedziałem, jak to załatwić...

Do wyjazdu pozostał niecały tydzień i Alona myślała o tym z niepokojem. Jej los był przecież bardzo niepewny. Pan Jeffrey nie rozmawiał z nią o przyszłości, nawet tej najbliższej, nie wiedziała więc, czy jej opieka nad Alekiem właśnie się kończy, czy też poproszą ją, aby jeszcze z nim została. Ale kto by ją miał o to prosić? Pani Julia? Ona już chyba będzie miała niewiele do powiedzenia, skoro odnalazł się ojciec chłopca. To on będzie teraz decydował o jego losie. A co z nią? Jeżeli nie będzie mogła zamieszkać z nimi

na Manhattanie, gdzie się podzieje? Co prawda pani Julia obiecywała swoją pomoc, ale mogło jej się coś odwdzieć. Ona już taka była, raz mówiła tak, innym razem całkiem co innego. Ale Alona nie da się zbyć byle czym, starsza pani obiecała załatwić jej zieloną kartę, to niech teraz dotrzyma słowa.

To wszystko jednak nie było takie ważne, zawsze dawała sobie radę w życiu, to i teraz sobie poradzi. Było jej smutno z innego powodu. Że może już nigdy nie zobaczyć pana Jeffreya. Ta myśl była jak katastrofa. A on o tym nie wie i nigdy się nie dowie, no bo w jaki sposób? Ona mu przecież o tym nie powie. Zresztą gdyby nawet się odważyła i wyznała mu swoją miłość, mógłby ją tylko wyśmiać. No, może nie śmiałby się z niej wprost, ale co by sobie pomyślał! Nie. Nigdy się na to nie zdobędzie, raczej wolałaby umrzeć.

Po co jej to było, po co zgodziła się tu przyjechać, teraz czuła się nieszczęśliwa i rozbita.

Pan Jeffrey chyba jednak coś zauważył, bo spytał ją, czy ma jakiś kłopot.

- Nie, dlaczego? - udała zdumienie, ale nie patrzyła na niego, tylko gdzieś tak w bok.

- Tak mi się wydaje, że coś cię gryzie. Ty pomogłaś mnie, może ja teraz mógłbym pomóc tobie?

I wtedy wyrwało jej się:

- Bo ja pana kocham!

Tak się przeraziła tym wyznaniem, że nie czekając na jego odpowiedź, uciekła do domu i ukryła się na górze. Po długiej chwili usłyszała skrzypnięcie drzwi. Byli sami, bo Alek poszedł ze swoim psem nad strumień. Próbował tam łapać rękami pstrągi, raz mu się nawet udało, przyniósł rybę, którą potem usmażyła.

- Alona, zejdź na dół - usłyszała, ale nie odezwała się nawet jednym słowem.

Leżała na tapczanie z twarzą wciśniętą w poduszkę.

To on wszedł na górę, usiadł obok.

- Dlaczego to powiedziałaś? - spytał.

- Bo to prawda - odparła stłumionym głosem.

- To nie może być prawda - powiedział gorzko.

- Nie można zakochać się w starym kuternodze.

Zerwała się na to i przywarła twarzą do jego piersi, łzy spływały jej po policzkach.

- Ja się nie zakochałam, ja kocham. Kocham i już. Nie wiem, dlaczego tak jest, i to mnie nie obchodzi.

Zaczęli się całować i stało się między nimi to, czego Alona tak bardzo się obawiała i uważała dotąd za niemożliwe. Leżeli potem obok siebie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jeszcze nie byłaś z mężczyzną? - spytał cicho.

Ale ona milczała.

Do kolacji pan Jeffrey otworzył wino.

- Czy my już jutro wyjeżdżamy? - spytał Alek.

- Dlaczego? - zdziwił się jego ojciec.

- Bo otworzyłeś wino.

- Otworzyłem wino z innej okazji - rzekł, mrugając do niej.

- A jakiej? - spytał Alek.

- A takiej, że jesteśmy tutaj we troje i dobrze nam razem. Mam rację?

Alek skinął twierdząco głową. Potem, kiedy już zasnął, pan Jeffrey wszedł do niej na górę. Trzymał ją w ramionach, a ona znowu płakała.

- Przestań— poprosił.

- Kiedy nie mogę - odrzekła, wycierając nos.
- Kochanie, czuję się szczęśliwy i obdarowany, ale nie możesz wiązać ze mną swojego młodego życia. Zasługujesz na kogoś lepszego niż taki rozbitek jak ja.
- Ale ja nikogo innego nie chcę - odrzekła.
- Tak mówisz teraz.
- Tak będę mówiła zawsze - powiedziała zdecydowanie. - Ja nie jestem jak te wszystkie dziewczyny, co gonią nie wiadomo za czym, ja jak coś sobie postanowię, to tak musi być. I to mi nie przechodzi... Myślałam, że zakochanie to nie dla mnie, ale teraz wiem, że nie miałam racji...

Pan Jeffrey długo milczał.

- Naprawdę chciałybyś ze mną zostać?

- Tak.

- Więc zgoda, Alonko. A jak ci się znudzę, to mi powiesz.

Potem zszedł na dół, a ona nie mogła zasnąć do rana. Więc to wszystko naprawdę się stało? Pokochała mężczyznę. Jaka była do tej pory głupia, że bała się miłości. Ale ona na szczęście przyszła, nie pytając jej o zdanie.

Okno z wolna rozjaśniało się, a potem na poddasze wpadły pierwsze promienie słońca. Ałona boso, w koszuli nocnej, zeszła na dół i wyniknęła się na dwór, cicho zamykając za sobą drzwi, aby nikogo nie obudzić.

Na polanie przed domem trawa była mokra od rosy i przyjemnie chłodziła stopy. Od środka rozpierała ją energia. Chciało jej się śpiewać, skakać z radości, wyrzuciła więc ramiona w górę i poczęła wirować jak w tańcu. «

W pewnej chwili wydało jej się, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła głowę w stronę domu i zobaczyła pana Jeffrey'a. Stał na werandzie, oparty łokciami o balustradę.